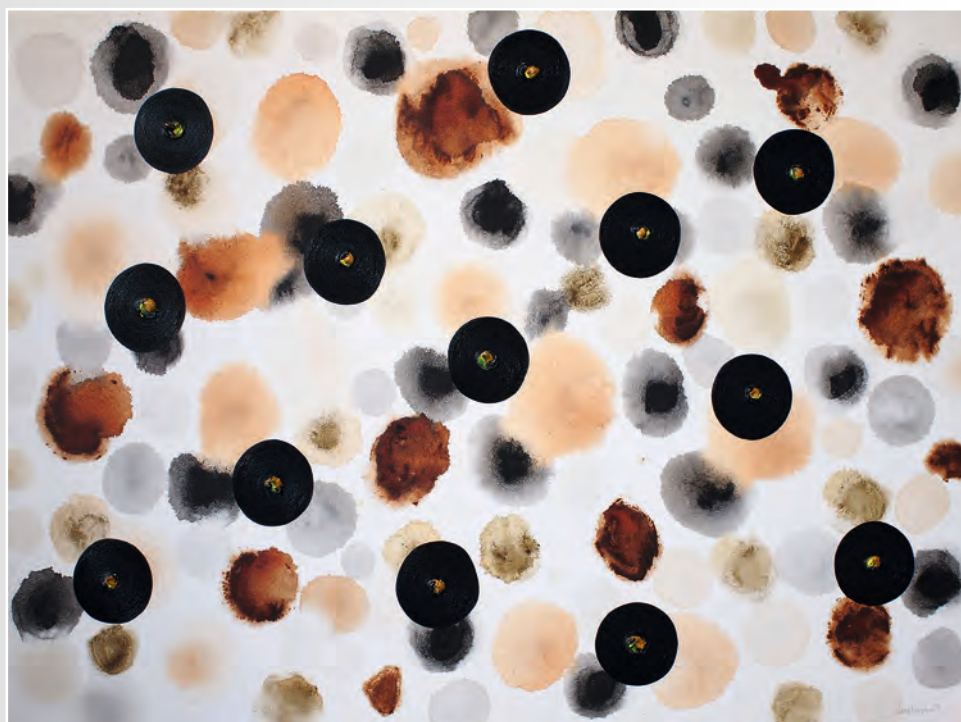


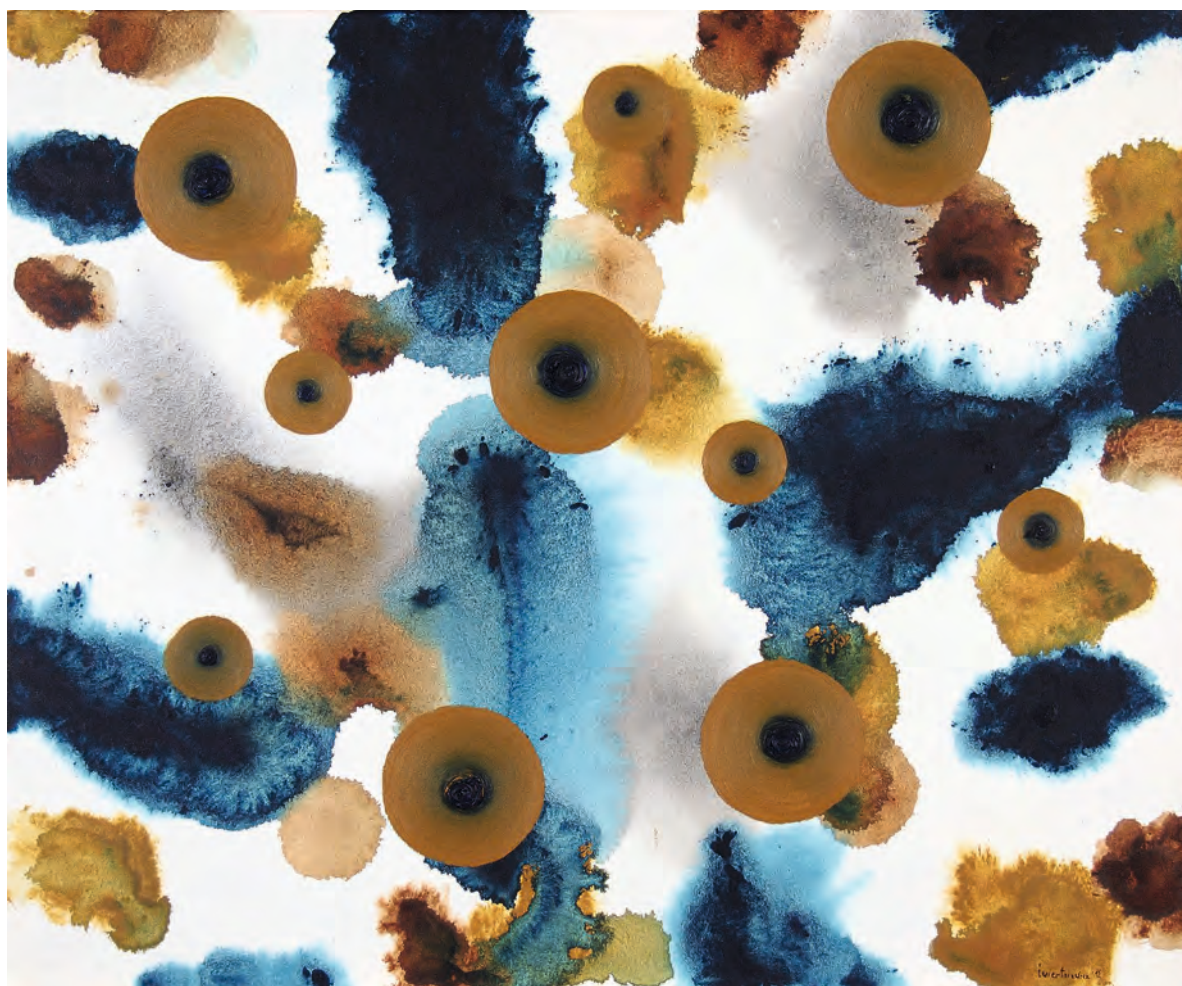
październik - grudzień 2015
styczeń - marzec 2016

36
37
ISSN 2449-5328

częstochowski magazyn literacki
Towarzystwa Galeria Literacka



poezja ■ proza ■ szkice ■ recenzje ■ eseje ■ felietony ■ humoreski ■ fraszki ■ satyra



Wojciech Ćwiartniewicz – Bez tytułu (266), 2013, 50x60, olej i akryl na płótnie.

SŁOWO OD REDAKCJI

Dlaczego zmiana 3

POCZTYLION

Drodzy Czytelnicy CML „Galeria” 4

WYDARZENIA

Kalendarium: październik – grudzień 2015/styczeń – marzec 2016 8

Bogdan Knop, *Niakłaje w Częstochowie*. 9

LAURÓW WIENIEC

Barbara Major, *Tworzenie oglądanego. Retrospektywa Mariana Panka* 11

Elżbieta Hurnikowa, *Marian Panek – publicysta* 15

POEZJA – DEBIUT

Anna Jędryka, *Kobieta i samotność*. 20

Małgorzata Franc, *Meandry samotności poetyckiej podróży Anny Jędryki na podstawie wierszy „Kobieta i samotność”* 22

POEZJA

Bożena Gorska, *Kołęda* 23

Elżbieta Stępień, *Mysli luźne – wiersze* 23

Justyna Lander, *Bądź moim parasolem* 26

Wiesława Owczarek, *Wiersze z tomu „Rozmowa z nieznajomym”* 28

Janusz Orlikowski, *Wiersze z tomu „Raj, który widziałem”* 31

Jan Ciesielski, *Miasteczko – Nasza Dola*. 33

PROZA

Hanna Brakoniecka, *Małe prozy*. 35

Wiesława Owczarek, *Kochanek*. 42

Panama 44

Ida Jadwiga Łubińska, *W cieniu eukaliptusów*. 47

CONVERSATIO

Kilka opowieści o życiu. Z Hanną Brakoniecką rozmawia Barbara Strzelbicka 58

NA SZTALUGACH

Wojciech Ćwiertniewicz 68

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

Arkadiusz Frania, *Akwedukty snu, miłości i śmierci. O poezji Lidii Żukowskiej* 70

Janusz Orlikowski, *Nowy król* 82

Danuta Sułkowska, *W poszukiwaniu prawdy* 87

Monika Jacenik, *Dominikana dzisiaj – współczesny „Raj utracony”?* 91

Barbara Strzelbicka, *Wszyscy jesteśmy winni. O „Skazanej” Barbary Rosiek* 94

Pytania, do postawienia których zmusza „Proca” 95

Ida Jadwiga Łubińska, *Częstochowianka: Janina Plucińska-Zembrzaska (1922 – 1987)* . 98

Altea Leszczyńska, *Stereotyp kobiety w oparciu o filmy na DVD oferowane w prasie* .. 101

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

Małgorzata Nowakowska-Karczevska, *Sny* 108



HISTORIA W GALERII

Magdalena Syguda, <i>Kalendarium rocznic historycznych</i>	113
<i>Maria Beatrix z Krasieńskich Raczynska – niedoszła królowa Szwecji</i>	119
Jarosław Kapsa, <i>Bez gorsetu</i>	125
<i>Bunt młodych.</i>	131

RELACJE

Barbara Strzelbicka, <i>Spektakl dla przyjaciela.</i>	137
Ida Jadwiga Łubińska, <i>Poplenerowa wystawa malarstwa „2015 Praga</i>	139
Tomasz „Aztenty” Barański, <i>Sensacja-rewelacja, międzyplanetarna akrobacja!</i> <i>O filmie Ridleya Scotta „Marsjanin”</i>	140

Z PODRÓŻY

Krzysztof Muskalski, <i>Dym, który grzmi</i>	142
--	-----

NOTY O KSIĄŻKACH

Marcin Zegadło, <i>Hermann Brunner i jego rzeźnia</i>	149
Małgorzata Januszevska, <i>Slajdy z kucykami.</i>	149
Joanna Szymańska, <i>Puszek z poduszek. Kołysanki. Przebudzanki.</i>	150
<i>Pod skrzydłami świętecznych aniołów</i>	150
Agnieszka Złota, <i>Częstochoowskie szkice literackie 2014 – 2015</i>	151
<i>Częstochowa w czasie II wojny światowej. Materiały z konferencji naukowej pod red. R. Stefaniaka, R. Piotrowskiego.</i>	151
<i>Marek Perepeczko w Częstochowie. Wspomnienia przyjaciół,</i> <i>w opracowaniu Andrzeja Kalinina.</i>	152
Janusz Orlikowski, <i>Raj, który widziałem</i>	152
Cezary Jan Lis, <i>„Kapitan Paweł”. Czesław Kubik – 1910 – 1952. Przemilczany</i> <i>i zapomniany dowódca partyzantki</i>	153
Katarzyna Maria Bodziachowska, <i>Wieniawski. Droga do gwiazd</i>	153

FELIETON

Jan Nitka, <i>O obrotach</i>	154
--	-----

NOTY O AUTORACH

Barbara Major.	14
Anna Jędryka	21
Elżbieta Stępień	25
Janusz Orlikowski.	32
Jan Ciesielski	34
Hanna Brakoniecka	42
Danuta Sułkowska	90
Monika Jacenik.	93

DLACZEGO ZMIANA?

Pojawienie się 36/37 numeru „Galerii” wiąże się ze zmianą. Kwartalnik ma teraz nowego wydawcę – Towarzystwo Galeria Literacka – i nowego redaktora naczelnego – Bogdana Knopa. W sensie organizacyjnym zmiana jest istotna, w sensie personalnym – wymuszona okolicznościami.

Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji Li-TWA, dotychczasowy wydawca „Częstochowskiego Magazynu Literackiego GALERIA” dotarło do swego kresu. Teraz pozostanie tylko proces likwidacyjny pod nadzorem sądowym z udziałem likwidatora. Władysław E. Piekarski – długoletni prezes, a przede wszystkim spiritus movens Li-TWY i jeden z pomysłodawców „Galerii” w liście otwartym do członków i sympatyków z dnia 12 lutego 2016 r. szczegółowo omówił osiągnięcia, personalia, nagrody, ważne wydarzenia. Nie ma powodów, by zaprzeczać zawartym w liście treściom. Oczywiście, co zrozumiałe, były prezes nie podniósł ciemniejszych stron funkcjonowania Li-TWY, ale i my nie chcemy tego roztrząsać, ograniczając się do krótkiej konstatacji – nie znaleźliśmy innego wyjścia, zatem koniecznym stało się uczynić to, co uczyniono.

W imieniu zarządu mogę zapewnić, że Towarzystwo Galeria Literacka dołoży wszelkich starań, by „Galeria” wydawana była na odpowiednim poziomie.

Bardzo liczymy, że Olga Wiewióra, której praca, wysiłek i zaangażowanie wzniosły kwartalnik na poziom, który znamy, pozostanie w kręgu współpracowników zespołu redakcyjnego i zechce nam doradzać przy jej wydawaniu. Pomoc ta jest dla nas nieoceniona, choć musimy miarkować swe zamiary możliwościami naszej dotychczasowej redaktor naczelnnej.

„Galeria” ma teraz nowy skład redakcji. Sekretarzem redakcji pozostanie Barbara Strzelbicka; jej obecność, ten rys kontynuacji jest bardzo ważny: pozycja Basi, jej empatia i niekwestionowany dorobek są rękojmią ciągłości. Funkcję zastępcy redaktora naczelnego

przyjął Jarosław Kapsa, co stanowi o znaczącym wzmocnieniu strony lokalnej i historycznej magazynu. Nawet się nie odważę omówić tu dorobku Jarka – jego autorytet i wiedza są powszechnie znane. Skład redakcji uzupełniają: Jadwiga (Ida) Łubińska, której doświadczenie dziennikarskie i solidne podejście do zadań będą dla nas nieocenione oraz Magdalena Syguda, która poprowadzi dział historyczny. Pozostaje otwartą kwestia obsadzenia stanowiska redaktora technicznego odpowiedzialnego za skład, tudzież osoby wspierającej plastyczną stronę „Galerii”. Zobaczmy – tu daliśmy sobie jeszcze trochę czasu na rozmowy.

Jesteśmy i chcemy pozostać związani z drukarnią „GRYF” Andrzeja Szczepańczyka, bo mamy tam nie tylko partnerów, ale i przyjaciół. To samo możemy powiedzieć o księgarni-antykwarni „Niezależna” Zbigniewa BERNACKIEGO – jedyne miejsce, gdzie „Galerię” można nabyć zaraz po wydaniu.

Trzeba wspomnieć o Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater”, gdzie znaleźliśmy życzliwy kąć i gdzie będziemy promować kolejne numery naszego kwartalnika. Rola „Gaude Mater” wykracza zresztą daleko poza sprawy „Galerii”, bo tu dzięki pomocy (nieocenionej) i przychylności Dyrektora – Tadeusza Piersiaka – oraz pracowników OPK mamy swe centrum promocji, spotkań i wydarzeń całego Towarzystwa.

Nie zapominamy także o wsparciu Urzędu Miasta z Prezydentem Krzysztofem Matyjaszczykiem i Wydziału Kultury tegoż Urzędu w osobie Aleksandra Wiernego. Staramy się odwdziżyć naszą pracą i zaangażowaniem, by miasto mogło się pochwalić „Galerią” i jej poziomem.

Wreszcie Wy wszyscy, dla których wydajemy to pismo, Wy, którzy do niego piszecie i Wy, którzy je czytacie – wiedzcie, że jednak to Wy jesteście najważniejsi, bo bez Was „Galeria” nie ma racji bytu, a z Wami możemy wszystko – nawet świat zawojować.

Bogdan Knop – *redaktor naczelnny*

DRODZY CZYTELNICY CML „GALERIA”

Niełatwo napisać list, w którym trzeba podziękować i odejść, podsumować i zamknąć pewien etap swojej działalności – intensywnej i obfitującej w paletę różnorodnych doświadczeń. Uznałam jednak, że tak właśnie trzeba. Przede wszystkim z szacunku dla tych wszystkich, dla których CML „Galeria” była i jest pismem ważnym. Tak trzeba – także dlatego, by godnie przekazać funkcję następcom, służyć im zdobytym doświadczeniem i życzyć im wszystkiego dobrego w pracy redakcyjnej, która oprócz satysfakcji niesie ze sobą wiele wątpliwości i trosk. Błogosławieństwo tym bowiem różni się od przekleństwa, że szczęści ludziom i ich pracy, pozwala patrzeć w przyszłość z nadzieją i bez fałszywych przesądów.

Funkcję redaktor naczelnej CML „Galeria” przyjął 5 stycznia 2013 roku z rąk Prezesa Li-TWY i dotychczasowego redaktora naczelnego – Władysława Edwarda Piekarskiego – a moja kandydatura została zatwierdzona przez ówczesny Zarząd Towarzystwa, w którym zasiadali – Kazimierz Kowalczyk, Bogdan Knop, Władysław E. Piekarski, Marian Panek oraz Izabela Kołdej-Ptak. O ile Zarząd był pewny podjętej decyzji, o tyle sama kandydatka pozostawała daleko bardziej zdystansowana do czekających ją wyzwań. Nie obyło się bez łez, fochów i hysterii, co dziś być może brzmi komicznie, ale na samym początku komizmu w tym było niewiele. Być może nie był to dobry moment na wprowadzanie tak zdecydowanych zmian w dotychczasowym układzie Towarzystwa, jednak... któż to wie, który moment jest na zmianę najodpowiedniejszy? Sądząc, że o trafności podejmowanych decyzji świadczą ich następstwa.

Szczęśliwi mistrzowie, którzy mają swoich następców. Ci, kontynuując dzieło prekursorów, przyczyniają się do żywotności idei, rozwijają ją i tym samym świadczą o wielkości dzieła. W jednym z wywiadów opublikowa-

nym w 33. numerze magazynu Zbigniew Biernacki – słynny częstochowski antykwariusz i społecznik – zauważył, że Częstochowa, ze względu na przemysłowe funkcje, była miastem robotniczym, w którym warstwa miejskiej inteligencji była dość wąska i zasilana przez fabrykantów-obcokrajowców. Stąd ruch literacki, czy też pojmowany szerzej jako ruch kulturotwórczy, był słabo zakotwiczony w przestrzeni Częstochowy. Dlatego na szczególne uznanie zasługuje fakt, że „Galeria” wywodzi swój rodowód właśnie ze środowisk robotniczych, świadomych konieczności powołania stowarzyszenia, które mogłoby trwale oddziaływać na rozwój kultury miasta, a tym samym tworzyć jego tożsamość i inspirować do intelektualnego rozwoju.

„Galeria” jest czasopismem literackim – i tu nie zawaham się użyć jednoznacznego stwierdzenia – z najdłuższym jak dotąd czasem istnienia w Częstochowie. Formalnie jej początek datuje się na maj 2007 roku, choć poprzedzały ją ukazujące się nieregularnie od lat 90. XX w. numery pod nazwą „mini-Galerii”, a potem „Li-TWY” – dziś archiwalne i niemal kolekcjonerskie. Pomysłodawcami założenia pisma byli literaci wywodzący się z Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury Województwa Częstochowskiego, wśród których należy wymienić Janusza Orlikowskiego, Elżbietę Jeziorowską-Wróbel i Władysława Edwarda Piekarskiego. Wkrótce dołączyli do nich: Tadeusz Gierymski, Ryszard Sidorkiewicz, Andrzej Kalinin, Wiesław Wyszyński, Włodzimierz Grabowski, Piotr Głowacki, Zbigniew Wołczyński, Małgorzata Nowakowska-Karczeńska czy Jacek „Mikołaj” Olszewski (odpowiedzialny za skład). Wiele osób współtworzyło „Galerię” i nadało jej rys periodyku o określonej tematyce, zasięgu czy estetyce. Ich nazwiska – nazwiska twórców, którzy wywarli znaczący wpływ na literacką Częstochowę z II połowy XX wieku – stano-

wią o ogromie odpowiedzialności, jaki muszą udźwignąć na swych barkach ich następcy. Przyszło mi bowiem podjąć pracę nad „Galerią” zapoczątkowaną przez Władysława Edwarda Piekarskiego, a kontynuowaną przez Małgorzatę Nowakowską-Karczewską i Zbigniewa Wołczyńskiego (śp.).

Do listopada 2012 r. – jak słusznie zauważył w „Liście otwartym” Władysław E. Piekarski – Towarzystwo „Li-TWA” wydało 24. numery CML „Galeria”.

Minęły dwa lata i w chwili obecnej „Galeria” liczy sobie już 35. numerów, których wydanie dwukrotnie zostało wsparte dotacjami przyznanymi przez Urząd Miasta Częstochowy. Co najistotniejsze – w roku 2016 otrzymaliśmy miejską dotację po raz trzeci, która umożliwi sfinansowanie kolejnych numerów kwartalnika. To dobra wiadomość, bo „Galeria” zdobyła uznanie miejskich decydentów. Sądzę, że na ich decyzję wpłynęła nie tylko unowocześniona szata edytorska (zaprojektowana przez profesjonalną plastyczkę i graficzkę – Martę Konieczny), ale przede wszystkim jakość i różnorodność zamieszczanych tekstów. Wśród autorów wywodzących się z częstochowskiego środowiska – Elżbiety Jeziorowskiej-Wróbel, Barbary Rosiek, Barbary Strzelbickiej, Małgorzaty Franc, Małgorzaty Nowakowskiej-Karczewskiej, Izabeli Kołdej-Ptak, Idy Łubińskiej, Agnieszki Złotej, Olgi M. Bąkowskiej (śp.), Alicji Nowak, Elżbiety J. Goli, Wiesławy Owczarek, Beaty Brodowicz-Szymanek, Andrzeja Kalinina, Tadeusza Chabrowskiego, Wiesława Wyszyńskiego, Janusza Mielczarka, Kazimierza Kowalczyka, Bogdana Knopa, Jacka Gieraśińskiego, Rafała Sochy, Jana Łączewskiego, Tomasza „Aztzentego” Barańskiego – znaleźli się także debiutanci i doktoranci kierunków humanistycznych AJD.

„Galeria” wzbudziła zainteresowanie wśród kadry naukowej wielu ogólnopolskich uczelni wyższych, m.in. prof. Elżbiety Hurnikowej

(AJD), prof. Adama Regiewicz (AJD), prof. Grzegorza Banaszkiewicza (AJD), prof. Joanny Grygiel (AJD), prof. Bogdana Wszółka (AJD), prof. Adama A. Zycha (DSW Wrocław), prof. Andrzeja Waśki (UJ, Akademia „Ignatianum” Kraków), prof. Wojciecha Kajtocha (UJ), prof. Mieczysława Jackiewicza (UWM), dr. Tadeusza Karabowicza (UMCS), dr. Tomasza Niedokosa (UMCS), dr. Dymitrego Kliabanau (UJ), dr. Józefa Januszkiewicza (UAM), dr. Konrada Ludwickiego (UJK), dr. Arkadiusza Frani (AJD), prof. Artura Żywiołka (AJD).

Na naszych łamach publikowali dotąd gościnnie uznani literaci spoza Częstochowy – Bożena Gorska, Wojciech Pestka, Agnieszka Jarzębowska oraz autorzy przebywający poza granicami Polski – Anna Maria Mickiewicz i Piotr Kasjas (oboje z Wielkiej Brytanii), Andrzej Niewinny-Dobrowolski (ze Szwecji), a także przedstawiciele korpusu dyplomatycznego RP – Krzysztof Sawicki (konsul RP na Ukrainie) oraz Mariusz Maszkiewicz (konsul RP na Białorusi).

„Galeria” popularyzuje także literaturę obcojęzyczną w przekładach. Dotychczas zaprezentowaliśmy twórczość Wasyła Ślępczuka i Alesia Nawarycza (z Ukrainy, w przekładzie Wojciecha Pestki), Ihora Pawluka (z Ukrainy, w przekładzie Tadeusza Karabowicza), Uładzimiria Niaklajewa (z Białorusi, w przekładzie Jakuba Biernata), Wahana Teriana i Wardgesa Petrosiana (z Armenii, w przekładzie Nairy Makhchanyan), Edgara Lee Mastersa (z Wielkiej Brytanii, w przekładzie Wioletty Grzegorzewskiej), Auszry Kaziliunaite (z Litwy, w przekładzie Bogdana Knopa), Karlisa Verdinsa (z Łotwy, w przekładzie Aleksandry Keller), Gottfrieda Benna (z Niemiec, w przekładzie Bogdana Knopa), Antonina Peliszka (z Czech, w przekładzie Lecha „Lele” Przychodzkiego).

Wychodzimy z założenia, że tekst może być także obrazem, dlatego jako Zespół Redakcyjny dokładamy starań, by „Galeria” spełniała funk-

cje estetyczne w obszarze wizualnym. Jej szata graficzna z numeru na numer prezentuje prace artystów-plastyków wywodzących się z częstochowskiego środowiska i spoza niego – Marty Konieczny, Arkadiusza Zająca, Karola Bartona, Żanety Wojtali, Aleksandry Jakubczak, Mariana Panka, Edwarda Gałustowa (z Armenii), a także fotografików – Janusza Mielczarka, Małgorzaty Kozakowskiej, Jacka Koniecznego, Dariusza Gawrońskiego, Macieja Skalika.

Wśród numerów wydanych w ciągu tych dwóch lat znajdujemy trzy numery specjalne poświęcone określonej tematyce – sacrum w ikonie (nr 30, pod red. Agnieszki Złotej), jubileusz 80. urodzin Haliny Poświatowskiej (nr 34, pod red. Barbary Strzelbickiej) oraz literatura i historia Białorusi (nr 35).

„Galeria” z każdym kolejnym numerem rozszerza przestrzeń swojego oddziaływania. Z magazynu wydawanego w pewnym okresie dla dość wąskiej i hermetycznej grupy, przeistoczyła się w ciągu tych dwóch lat w czasopismo o charakterystycznej specyfice – jest jednocześnie lokalne, a zarazem zwraca uwagę poza ścisłymi granicami miasta, a nawet województwa. Dzięki swoistej „galeryjnej” hybrydowości – wspartej staraniami Prezesa Towarzystwa, Bogdana Knopa – nawiązaliśmy współpracę z Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka Jeziorańskiego oraz Zakładem Narodowym Ossolińskich z Wrocławia. „Galeria” dociera do Londynu przez ręce Anny Marii Mickiewicz – członkini Rady Programowej Zarządu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie i redaktora roczników londyńskiego „Pamiętnika Literackiego”. Jako Towarzystwo mamy swój „czwartek” w grafiku Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie, a samą „Galerię” można nabyć w Antykwarni-Księgarni „Niezależna” u Zbigniewa Biernackiego. Byłoby sporym nietaktem, gdybym nie wspomniała Domu Poezji Muzeum Haliny Poświatowskiej i Zbigniewa Mygi, który wspierał nasze redakcyjne

działania podczas przygotowywania numeru specjalnego „Galerii” poświęconego pamięci i twórczości Jego słynnej siostry-poetki. Do zaprzyjaźnionych z „Galerią” i Towarzystwem instytucji działających na terenie miasta trzeba włączyć także Regionalny Ośrodek Kultury i jego dyrektor – Małgorzatę Majer, za zgodą której mogliśmy opublikować wiersze poetów nagrodzonych podczas ubiegłorocznego 36. Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Haliny Poświatowskiej. Dzięki staraniom Agnieszki Złotej na galeryjnych łamach publikują prace naukowo-badawcze z dziedziny literatury i historii doktoranci kierunków humanistycznych oraz uczniowie częstochowskich szkół średnich. „Galeria” udostępnia swoje strony do prezentacji prac asystentów i studentów wydziału plastycznego Akademii Jana Długosza w Częstochowie.

Wreszcie „Galeria” zyskała wielkie i nieocenione wsparcie od Andrzeja Szczepańczyka – właściciela Drukarni „GRYF” w Częstochowie. Praca drukarza nie polega wyłącznie na obsłudze maszyny drukarskiej – wymaga wyjątkowej świadomości wobec społecznej roli, jaką odgrywa książka, druk w ogóle. To tutaj powstawał fizycznie z wirtualnego niebytu każdy egzemplarz magazynu. To tutaj mogłam poznać tajniki składu i druku, dotykem rozpoznawać gramaturę papieru czy odróżniać krój „fontu z szeryfem”. „Galeria” trafiła w „Gryfie” po prostu w dobre, profesjonalne ręce, dlatego dziękuję drukarzom – Andrzejowi Szczepańczykowi i Jarosławowi Leszczukowi – za wyrozumiałość dla moich fanaberii i cierpliwość wobec przekleństwa pedanterii.

Kwartalnik tworzą ludzie – ci, którzy dla niego piszą; ci, którzy go czytają. Dziękuję autorom za zaufanie i подарowane „Galerii” teksty. Czytelnikom zaś dziękuję za lojalność wobec tytułu i akceptację dla zmian. Mam nadzieję, że nowa „Galeria” nie zawiodła Państwa oczekiwań. Wierzę, że nasz magazyn może być jeszcze lepszy niż dotychczas.

„Galerię” tworzą także i ci, którzy pracują nad wyborem tekstów, by mogły przeistoczyć się w zwarty numer magazynu. Pozwólcie Państwu, że właśnie tej dziedzinie poświęcę nieco więcej miejsca, bowiem odnoszę wrażenie, że zwykliśmy podziwiać twórczą wenę hołubiącą pisarzy, zwykliśmy schlebiać czytelnikom, lecz pomijamy – przecież także twórczy – wysiłek tych, którzy nie pozwalają ginąć tekstom w przepastnych szufladach i niepamięci, dopieszczają redakcję, czelują korektę, dobierają elementy szaty graficznej, wreszcie odmierzają godziny składu i niekończące się katalogi poprawek. To Zespół Redakcyjny „Galerii” – Agnieszka Złota, Barbara Strzelbicka, Rafał Socha, Maciej Skalik – oraz redaktorzy techniczni odpowiedzialni za skład – Jarosław Leszczuk oraz Jacek M. Krasucki. Dzięki Waszej pracy „Galeria” jest dziś wiarygodnym źródłem wiedzy o Częstochowie, jej historii, literaturze czy wydarzeniach kulturalnych. Jestem pełna uznania dla Waszych kompetencji, rzeczowości i odwagi do podejmowania obiektywnych decyzji. Chciałabym bardzo gorąco podziękować Wam za wsparcie i zaufanie, jakich udzieliliście mi w chwilach najtrudniejszych. Dzięki Wam wciąż wierzę, że ludźmi nie kierują wyłącznie zachwyt merkantylizm do pary z tchórzliwym oportunizmem.

W ciągu tych dwóch lat nauczyliśmy się w Towarzystwie mieć własne czasopismo, które nie jest wyłącznie medialnym fajerwerkiem, osobistą własnością, ale organizmem o żywej, złożonej strukturze i określonych funkcjach. Jego istotą jest transformacja i rozwój. To naturalny proces, którego nie da się uniknąć ani powstrzymać, choć wzbudza wiele kontrowersji, polaryzuje stanowiska i nęci iluzją samowładztwa. Dlatego dziękuję także krytykom, gdyż jestem przekonana, że „Galerii” służy dyskusja o stanie rzeczy – dyskusja otwarta, merytoryczna i konstruktywna. Tylko w ten sposób, dzieląc się spostrzeżeniami i wątpliwościami, możemy dowieść, że „Galeria” wciąż jest naszemu środowisku potrzebna, że zdajemy

sobie sprawę – pochłonięci realizacją indywidualnych pomysłów twórczych – z konieczności redagowania magazynu, który bezpośrednio przyczynia się do promocji naszego miasta i, przede wszystkim, naszego środowiska oraz naszej twórczości. W dyskusji dajemy wyraz naszej świadomości, że wspólnie, jako środowisko twórcze czy też Towarzystwo pod jakąkolwiek nazwą, ponosimy odpowiedzialność za kształt „Galerii” i jej istnienie.

Pozostawiam „Galerię” w dobrej formie – nie tylko finansowej, ale także „logistycznej”, z szerokim gronem autorów i terytorium oddziaływania. Dzięki „Galerii” rozrosła się sieć literackich kontaktów. Magazyn stał się rozpoznawalny, zyskał zaufanie czytelników, a także jest traktowany poważnie przez gremia naukowe i przedstawicieli magistratu. Zostały w ciągu tych dwóch lat uporządkowane sprawy wydawnicze w myśl obowiązujących przepisów nadzorowanych przez Bibliotekę Narodową.

Tym, którzy podejmą trud pracy nad „Galerią”, życzę wiele wytrwałości i pogody ducha. Będą potrzebne, gdy braknie wiary w sens pracy po kolejnym telefonie z uwagami o literówkach i nieopublikowanych tekstach. Życzę Wam przychylności czytelników i wsparcia od ludzi kultury – te z kolei przywrócą redagowaniu czasopisma sens. Życzę Wam dobrego zdrowia i sportowej kondycji – przydadzą się podczas „biegania” za tekstami do numeru, które czasem z nonszalancją odnoszą się do punktualności. Życzę poczucia humoru, które pozwala przezwyciężać wszystkie redakcyjne zmary. Życzę patrzenia na otoczenie jako na niewyczerpane źródło inspiracji i tematów do opisan. Życzę Wam wreszcie odwagi i mądrości. Te pozwalają tworzyć rzeczy dobre, prawdziwe i piękne.



Częstochowa, 28 listopada 2015 r.

KALENDARIUM



PAŹDZIERNIK – GRUDZIEŃ 2015

4 października – Jubileusz 40-lecia Regionalnego Ośrodka Kultury w Częstochowie;

6 października – wieczór poetycki z Robertem Baranowskim w Klubokawiarni Pestka;

7 października – spotkanie autorskie z Katarzyną Rygiel w Bibliotece Publicznej;

7 października – wernisaż wystawy „Haśka” Częstochowskiego Stowarzyszenia Plastyków im. Jerzego Dudy Gracza w OPK „Gaude Mater”;

10 października – 12. Noc Kulturalna;

21 października – promocja książki Ewy Czakiert „Ostatni ocean” w OPK „Gaude Mater”;

4 listopada – wieczór literacki poświęcony pamięci Olgi Bąkowskiej w OPK „Gaude Mater”;

18 listopada – spotkanie z Uładzimirem Niaklajeu w OPK „Gaude Mater”;

18 listopada – promocja książki Katarzyny Boddziachowskiej „Wieniawski. Droga do gwiazd”;

9 grudnia – promocja książki o Tomasza Maniury „Radość życia” w OPK „Gaude Mater”;

22 grudnia – spotkanie z Anną Orzolek, autorką książki „Geny Elfa” w Klubokawiarni Pestka.

Rafał Socha

STYCZEŃ – MARZEC 2016

13 stycznia – Szopka Noworoczna Zbysława Janikowskiego w OPK „Gaude Mater”;

20 stycznia – promocja książki Tomasza Haładyja „Historia komunikacji miejskiej w Częstochowie” w OPK „Gaude Mater”;

22 stycznia – otwarcie wystawy „Muzeum Zdzisława Beksińskiego 10 lat w Częstochowie” w Miejskiej Galerii Sztuki;

27 stycznia – promocja tomiku poetyckiego Małgorzaty Januszewskiej „Slajdy z kucykami” w OPK „Gaude Mater”;

5 lutego – wernisaż wystawy malarskiej poświęconej Kalinie Jędrusik „Bo we mnie jest seks” w OPK „Gaude Mater”;

10 lutego – promocja książki „Częstochowa w czasie II wojny światowej” pod red. R. Stefaniaka i R. Piotrowskiego w OPK „Gaude Mater”;

18 lutego – spotkanie otwarte Towarzystwa Galeria Literacka, dedykowane pamięci poety Waldemara Gaińskiego – OPK „Gaude Mater”;

24 lutego – promocja książki Marka Maculewicza „Zapiski barmana” w OPK „Gaude Mater”;

2 marca – promocja książki Cezarego Jana Lisa „Kapitan Paweł” w OPK „Gaude Mater”;

3 marca – Walne Zebranie podjęło decyzję o likwidacji Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”;

3 marca – wernisaż wystawy poplenerowej „Mazuria 2015” w foyer Filharmonii Częstochowskiej;

4 marca – wernisaż wystawy Rafała Olbińskiego „Podteksty” w Miejskiej Galerii Sztuki;

8 marca – wernisaż wystawy malarskiej „OSIEM KOBIET” w Konduktorowni;

11 marca – wernisaż wystawy Jacka Pałuchy w OPK „Gaude Mater”;

16 marca – promocja tomu poetyckiego Joanny Szymańskiej „W drodze na Golgotę. Rozważania pasyjne” w OPK „Gaude Mater”;

19 marca – wernisaż wystawy fotograficznej Janusza Mielczarka „In memoriam – Jerzy Duda-Gracz – w 75. rocznicę urodzin” – OPK „Gaude Mater”.

Barbara Strzelbicka

Bogdan Knop

NIAKLAJEU W CZĘSTOCHOWIE

Lotnisko Chopina w Warszawie, wieczór 16 listopada. Stoimy w poczekalni z Jazepem Januszkiewiczem oczekując na przylot samolotu z Mińska. Jest! Ale dopiero za ponad pół godziny w drzwiach sali przylotów pojawia się ON – Uładzimir Niaklajeu, najwybitniejszy żyjący poeta białoruski, niezłomny człowiek, nasz gość.

Bo właśnie w dniach 17-18 listopada 2015 r. na zaproszenia Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji Li-TWA gościliśmy w Częstochowie ikonę białoruskiej poezji, prozaika, działacza opozycji politycznej, wspomnianego już Uładzimira Nialejeua. Program wizyty był szczerze wypełniony, zaplanowaliśmy w tych dniach trzy spotkania autorskie z udziałem gościa ze Wschodu: ze studentami AJD w auli przy ul. Armii Krajowej 36a w Częstochowie, w Koziegłowach w Miejsko-Gminnym Ośrodku Promocji Kultury Galerii – Gallery Promo-Arte oraz w OPK „Gaude Mater” w Częstochowie. Ponadto nasz gość wystąpił w Radiu FIAT, gdzie udzielił wywiadu redaktor Aleksandrze Mieczyskiej.

Z okazji wizyty ukazał się specjalny, „białoruski” numer „Galerii”, znakomicie przygotowany przez Olgę Wiewiórę. Ci, którzy czytali – wiedzą.

Każde ze spotkań miało specyficzny koloryt i szczególne konotacje, ale też wiele je łączyło. W trakcie wszystkich Poeta czytał swe wiersze w wersji oryginalnej, ich przekłady na polski czytał z równą swadą Jazep Januszkiewicz, a drugim tłumaczem i prowadzącym spotkania był Bogdan Knop.

Tak, jak Uładzimir Nialejeu, już w Polsce chyba nikt nie recytuje swoich wierszy, z tym tembrem głosu, z tą gestykulacją i takim zaangażowaniem. Wydawałoby się, że cechy języka białoruskiego, jego melo-



*Uładzimir Nialejeu w AJD w Częstochowie,
foto: Barbara Strzelbicka.*

dyjność i miękkość, szczególnie sprzyjają ekspresji, ale Jazep Januszkiewicz pokazał, że i po polsku można czytać tak, że ciarki przechodzą.

Na pierwszym spotkaniu gościliśmy w wypełnionej do ostatniego miejsca sali przy ul. Armii Krajowej. Słowa powitania należały do prodziekana Wydziału Humanistyczno-Filologicznego AJD dr. Przemysława Sznurkowskiego. Półtoragodzinna prezentacja poezji, aplauz młodej widowni, a potem rozmowy w kuluarach.



Spotkanie w AJD w Częstochowie: dr Przemysław Sznurkowski, Bogdan Knop, Wojciech Pestka, Uładzimir Niaklajeu, foto: Barbara Strzelbicka

W Koziegłowach wieczór autorski rozpoczął się od występów uczniów, piękny patriotyczny wstęp. Sala znów pełna. Przemówienie Burmistrza Koziegłów Jacka Ślęczki, wystąpienie dyrektor Miejsko-Gminnego Ośrodka Promocji Kultury, kilka słów od Bożeny Kolasy – szefowej Biblioteki Publicznej. Tu przyjęcie poezji Niaklajeua jest bardzo żywe, ludzie zasłuchani, potem mnóstwo pytań, długa biesiada przy bufecie zorganizowanym przez Burmistrza i z jego udziałem. Wracamy późnym wieczorem – do składu dołączył Wojtek Pestka, zaprzyjaźniony z Częstochową, z Niaklajeuem, z Jazepem. Nasi goście zmęczeni, ale wyraźnie zadowoleni. Przyjęcie zgotowane przez koziegłowian ujęło nas wszystkich.

Wreszcie wieczór środy w OPK „Gaude Mater”. Jak zwykle wypełniona sala, publiczność wymagająca, dociekliwa, oczekująca niełatwych odpowiedzi. Opowieść poety jak zawsze przejmująca, na koniec kwiaty i długie, długie oklaski.

W czwartek przed południem pożegnaliśmy naszych gości na dworcu, przed nimi wyjazd do Radomia i Lublina, przed nami powrót do rzeczywistości bez poety czytającego swe wiersze, z jego głosem jeszcze brzmącym w uchu.

Specjalne podziękowania dla osób i instytucji, które przyczyniły się do organizacji wizyty poety z Białorusi w Częstochowie:

- Rektora AJD, prof. dr. hab. Zygmunta Bąka,
- Dziekan Wydziału Humanistyczno-Filologicznego prof. dr hab. Agnieszki Czajkowskiej,
- Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater” i jego dyrektora Tadeusza Piersiaka,
- Wydziału Kultury i Sportu UM Częstochowy i jego naczelnika Aleksandra Wiernego.

Zanotował Bogdan Knop

Barbara Major

TWORZENIE OGLĄDANEGO. RETROSPEKTYWA MARIANA PANKA

[...] *tworzenie oglądanego*

*czwarty
na dowód oka
wymiar*

*tworzy
oglądane
oglądanego*

(Miron Białoszewski, *Krajobraz jako oko*)

Wystawa przygotowana z okazji czterdziestolecia twórczości Mariana Panka, ale też każdego innego artysty, aspiruje do prezentacji całości twórczości. Jak należy rozumieć to zadanie? Przecież niemożliwą rzeczą jest pokazanie wszystkich dzieł, zaś dokonanie wyboru musi odbyć się wedle pewnego klucza. W takiej sytuacji nasuwają się kolejne pytania o kryteria, na przykład: czy ekspozycja powinna być historią działań artystycznych, skomponowaną od „początku” do „końca”? Niewątpliwie taki przegląd ma swoje zalety, ale czy rzeczywiście pozwala na zrozumienie wysiłku twórczego, towarzyszących mu wizji, czy pozwala uchwycić sens, idee tej konkretnej sztuki? Wskazaniem tutaj może być słowo: retrospektywa. Aby zgłębić sens jakiegoś słowa, przydatna jest jego etymologia: łacińskie *retro* „wstecz”, *retrospectus*, od *retrospicere* „oglądać się”, *specere* to „spektakl”, i dalej: *spectacle* „widok”, *spectaculum* „widowisko” od *spectare* „przyglądać się”, to zaś łączy się ze *specere* „zobaczyć”. W retrospekcji współbrzmia więc i spojrzenie pozwalające „zobaczyć”, i pewien spektakl. Retrospektywa nie jest, a przynajmniej nie powinna być po prostu przeglądem dzieł danego artysty, w tym przypadku Mariana Panka, winna być natomiast swojego rodzaju sceną, na której odbywa się

widowisko. Takie podejście pozwala na ujawnienie swoistego labiryntu stanowiącego ramy ewokowania, czyli ustanawiania obrazu. Obrazu pojmowanego tu w szerokim sensie, jako wizja artystyczna, która urzeczywistnia się poprzez nadanie struktury jako poszczególne dzieło. Pojedyncze prace, zachowując swoją wyjątkowość, we współgraniu ze sobą, odsłaniają horyzonty, otwierają i pozwalają spotkać i wejść w dialog z tą konkretną Sztuką. Znakomity francuski semiotyk, Roland Barthes zadał kiedyś następujące pytanie: „[...] jakie teksty chciałbym napisać (prze-pisać), jakich bym pragnął, jakim przypisałbym moc w świecie, który jest moim światem?”¹. Retrospektywa ujęta jako spektakl być może pozwoli zobaczyć, jakich dzieł pragnął artysta, jakim przypisał moc w świecie, który był/jest jego światem.

Marian Panek tworzy od lat cykl obrazów noszący tytuł *OBRAZY MEDYTACYJNE*, każda praca jest kompozycją barwnych plam, punktów, swoistą kolorystyczną grą. „Istotnym budulcem jest tutaj – wyjaśnia artysta – świat powidoków zostawionych na siatkówce mojego oka, w czasie ich procesualnego wizualizowania. Uruchomienie elementów tego świata, wprowadzenie ich w strukturę obrazu to podstawowe, przyjęte przeze mnie założenie. W praktyce dzieje się to przez ustawiczne, ciągłe, impulsywne, dynamiczne ponawianie punktowego, barwnego elementu”². Zrytmizowane, nawarstwione elementy barwne nie pozwalają na zatrzymanie się w określonych punktach płaszczyzny malarskiej, zmuszają natomiast do „wędrowania”, zagłębiania się

¹ Roland Barthes, *S/Z*, tłum. P. Markowski i M. Gołębiowska, Wydawnictwo KR, Warszawa 1999, s. 38.

² Marian Panek, *Ewokowanie obrazu*, katalog wystawy, Muzeum Ziemi Kłodzkiej, Kłodzko 2016, s. 12.

w swoisty labirynt, który w tym „błądzeniu” otwiera przed nami kolejne poziomy *ad infinitum*. Płaska, dwuwymiarowa płaszczyzna obrazu staje się w uważnym patrzeniu dynamiczną strukturą eksponującą ruch, jest abstrakcją ruchu. Czy możemy stwierdzić w takim razie, że dzieła Mariana Panka są reprezentacją pewnej dynamiki? Pomocne w tym miejscu będzie odwołanie się do niektórych wątków filozofii Henri Bergsona, szczególnie tych, które wskazują na różnicę między reprezentacją i obrazem (*image*). Francuski myśliciel zakładał, że podstawową daną świadomości jest czasowość, w owej czasowości nie występuje zestawienie zdarzeń, nie istnieje mechaniczna przyczynowość, to czysta jakościowa wielorakość. W niedoskonały sposób jakościową wielorakość symbolizuje spektrum barwy, w niedoskonały, ponieważ czasowość jest czystą mobilnością. Dla Bergsona ruch jest zawsze pierwotny wobec poruszających się rzeczy, rzeczy które się poruszają są abstrakcjami ruchu:

W pewnym sensie moja percepcja jest w pełni wewnątrz mnie, ponieważ ściska w jakimś jedynym momencie mojego trwania to, co samo w sobie rozdzieliłoby się na nieprzeliczalną liczbę momentów. Lecz gdybyście wyłączyli moją świadomość (...) Materia rozkłada się tym sposobem na niezliczoną mnogość drgnień, z których wszystkie powiązane są w nieprzerwanej ciągłości, wszystkie uzależnione jedno od drugich i biegnące we wszystkich kierunkach niczym dreszcze. Słowem, połączcie ze sobą nieciągłe przedmioty waszego codziennego doświadczenia; następnie rozłóżcie nieruchomą ciągłość ich jakości na drgania w miejscu; tymże ruchom nadajcie znaczenie, uwalniając was od podzielnej przestrzeni podtrzymującej owe ruchy, by mieć na uwadze już tylko ruchomość, ów niepodzielny akt, który ujmuje waszą świadomość w ruchach przez was samych wykonywanych: otrzymacie pewną wizję materii trudną być może dla waszej wyobraźni, ale

czystą i uwolnioną do tego, co wymagania życia dorzucają w percepcji zewnętrznej. A teraz proszę przywrócić moją świadomość, a wraz z nią wymagania życia: w bardzo rzadkich odstępach i za każdym razem przebywając ogromne okresy wewnętrznej historii rzeczy, będą zrobione jakby natychmiastowe zdjęcia, zdjęcia, tym razem barwne, których bardziej wyraźne kolory kondensują nieskończoność powtórzeń i elementarnych zmian. To właśnie w ten sposób tysiące następujących po sobie pozycji jakiegoś biegacza ścieśnia się w jednej symbolicznej postawie, którą nasze oko postrzega, sztuka odtwarza, a dla wszystkich staje się ona obrazem biegnącego człowieka³.

W koncepcji Bergsona obraz jest czymś mniejszym/słabszym od samej rzeczy, ale jest większy/mocniejszy niż reprezentacja. To „mniej” i „więcej” wskazuje, że reprezentacja różni się od obrazu natężeniem/poziomem oraz że percepcja jest ciągłością obrazów materii. Dzieła Mariana Panka z cyklu *OBRAZY MEDYTACYJNE* rozpatrywane z perspektywy Bergsonowskiej ujawniają ruch w dwóch kierunkach: od jedności (homogeniczności) do wielokrotności powtórzeń, od pojedynczych obrazów do istniejącej potencjalnie generalizacji/reprezentacji, drugi zaś od generalizacji, który dzięki wysiłkowi intuicji pozwala umiejscowić nas w czasowości/ruchu, niepodzielnym pierwotnym impulsie życiowym. Światy estetyczne, które stwarza Panek, mają zdecydowanie charakter witalistyczny, nic w nich nie stanowi stałej, zamkniętej całości, są ciągłym ruchem, stawaniem się czy wzrastaniem w rozlicznych hybrydycznych konfiguracjach, stanowią swojego rodzaju ciągłe „obrazowanie”. Uczestnictwo w nich wymaga od widza pełnej aktywności, ruchu od interpretacji do fragmentacji, z jedności do wielokrotności ewokowanych obrazów. Nie możemy już mówić o opozycjach natura/

³ Henri Bergson, *Materia i pamięć. Esej o stosunku ciała do ducha*, tłum. Romuald J. Wexler-Waszkineł, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2006, s.164-165.



Marian Panek, spektakl „Rekonstrukcja rekonstrukcji, reinterpretacja reinterpretacji happeningu Tadeusza Kantora «Lekcja anatomii wedle Rembrandta»”, MGS w Częstochowie, kwiecień 2016, foto: Barbara Strzelbicka.

kultura, śmierć/życie, czas/przestrzeń i wynikających z nich rozlicznych innych dystynkcji, ale mamy do czynienia z kontinuum, gdzie podmiotowość artysty i/lub patrzącego jest płynną konfiguracją.

Marian Panek w swoich dziełach malarских zmusza nas, widzów, do przekroczenia nawyków percepcyjnych związanych z dziedzinami artystycznymi. Owe różnice w percepcji mogą powodować inne rozumienie tego, co faktycznie spotykamy. Konwencjonalnie obraz malarski postrzegamy jako kompozycję – zestawienie niejako w całości natychmiast „podane” widzeniu. Ta statyka i pasywność znajduje się nawykowo w opozycji do sztuk performatywnych, budowanych na czasowości i aktywności. Artysta w jednej z wypowiedzi stwierdza: „Aktywna i aktywizowana percepcja procesu powstawania czasoprzestrzeni w wyobrażeniu malarskim – konstytuowanie się jej obrazu w oglądającym, stanowi szeroki horyzont moich malarskich działań.

Tak więc uczestnictwo w ponownym jego powoływaniu, przeżywanie, widzenie, jego wielokrotne percepcje, to również sfera moich performatywnych badań”⁴. W takiej perspektywie dziełem nie jest jedynie obraz malarski jako płaska powierzchnia zamknięta w ramach, ale włączona jest w nie strefa tradycyjnie uznawana za zewnętrzną. Słuszne tutaj wydają się konstatacje W.J.T. Mitchella, że medium to więcej niż materiał, więcej niż przesłanie, medium stanowi szereg praktyk, które umożliwiają ucieleśnienie obrazu⁵.

Marian Panek niewątpliwie znajduje się w gronie artystów, którzy reprezentują nurt sztuki współczesnej poddający w wątpliwość, problematyzujący nawykowe, konwencjonalne podejście do obiektów sztuk wizualnych. Owi twórcy badają potencjał innych mediów artystycznych, między innymi czasowość

⁴ Marian Panek, *op. cit.*, s. 13.

⁵ W.J.T. Mitchell, *What Do Pictures Want? The Lives and Loves of Images*, University of Chicago Press, Chicago 2006.

i sceniczność wywodzące się ze sztuki teatralnej. Działania Panka podążają w dwóch kierunkach, pierwszy to swojego rodzaju „testowanie” w malarstwie czasowości/akcyjności przynależnej twórczości performatywnej, drugi zaś to eksplorowanie samego performance i jego zdolności do wytwarzania obrazów. Przywołajmy tutaj dwa wydarzenia.

W 1973 roku Marian Panek zrealizował happening *Biała Lokomotywa*, rozpoczynający II Festiwal Studentów Szkół Artystycznych w Nowej Rudzie. Pomalowana na białą lokomotywa (czynność tę wykonał Panek wraz z Andrzejem Grabowskim) wjechała na dworzec. „Studenci z Gdańskiej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych – wspomina artysta – zawiesili na Białej Lokomotywie transparent „Jedna Biała Lokomotywa niczego nie zmieni”. Ja wraz z kolegami i innymi uczestnikami pod nadzorem maszynisty, wprowadziliśmy ten pojazd szynowy na dworzec. Gdy wyszedłem z kabiny i odczytałem manifest, którego i tak nikt nie słuchał, w ogólnym radosnym zamieszaniu i tumulcie związanym z otwarciem festiwalu”⁶. Istota tego wydarzenia zdaje się zawierać w jego „zdarzeniowości”. Medium dzieła jest całkowicie otwarte, ta otwartość buduje jego spontaniczność, jedynym w miarę przewidywalnym elementem jest ruch białej lokomotywy i ona sama. Lokomotywa, z jednej strony została potraktowana jako obiekt artystyczny, stanowi materię obrazu, z drugiej strony zaś, jako taka traci swą zwykłą funkcję pojazdu mechanicznego na szynach, wytrąca patrzących z utartych przyzwyczajień percepcyjnych i uruchamia moc obrazowania.

W ramach 8. Triennale Sztuki Sacrum w 2013 roku Marian Panek zaprezentował spektakl *Autoportret rytualny na trzydzieści trzy parasole i trzydzieści trzy czarne kapelusze w trzydziestu trzech etiudach z białym gołę-*

biem w tle. Przedsięwzięcie składające się z 35 odsłon, było bardzo „gęste”, zawierające wiele odniesień literackich, dla naszych rozważań interesujący jest ruch/proces budowania autoportretu z powrotów i powtórzeń rozlicznych czynności, na przykład: 16. Cięcie folii, folii cięcie, ostrzenie, noży ostrzenie, fletowanie, recytacja; 17. Solą sypanie, malowanie, fletowanie poprzeczne, recytacja; 19. Wynoszenie sztalugi sztalugowanie⁷. Autoportret jest więc swoistego rodzaju kontinuum, płynną konfiguracją wielokrotności obrazów powoływanych do życia.

Jakie są więc estetyczne światy Mariana Panka, czym dla niego jest sztuka? Wydaje się, że sam artysta doskonale wskazuje drogę, którą powinny przebiegać nasze poszukiwania, nadając tytuł wystawie retrospektywnej – *Ewokowanie obrazu*. Ewokowanie, by ponownie odwołać się do definicji słownikowej, oznacza wywołanie skojarzeń, wizji. Źródł słów stanowi łacińskie *e* (z, od) i *vocare* od *voco* wzywać, wołać. Kreacje artysty można porównać do kalejdoskopu, zmiennych, płynnych konfiguracji, są to światy permanentnej metamorfozy.

Barbara Major – doktor nauk humanistycznych. Autorka scenariuszy i kurator wystaw w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie, m. in. „Refleksja o śmierci. Tematy wyobraźni”, „Czas w fotografii. Czas fotografii”, „Żywoty zwierząt”, „Ślady. Dotyk czasu”, „I stało się światło”. Wielokrotny kurator przeglądów sztuki współczesnej „Triennale Sztuki Sacrum”; W 2007 r. odznaczona Brązowym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis.

⁶ Marian Panek, *Teksty. Akcje, happeningi, instalacje, ostrzenie, obecności*, Wydawnictwo Akademii im. J. Długosza w Częstochowie, Częstochowa 2009, s. 5.

⁷ Program wydany do spektaklu *Autoportret rytualny...*, Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie, Częstochowa 2013.

Elżbieta Hurnikowa

MARIAN PANEK – PUBLICYSTA



*Łeba, listopad 2014 r. Performance „Śniadanie na plaży w Łebie według Piwnicy pod Baranami z Krakowa”.
foto: Andrzej Zembik*

Marian Panek to artysta, któremu bliskie są różne formy sztuki. Znany jest przede wszystkim jako malarz – malarz abstrakcjonista, jak twierdzą znawcy. Sam autor *Porad dla performerów*, po publicznej prezentacji cyklu malarskiego „Ewokowanie Obrazu – Obrazy energetyczne” w Konduktorowni w 2013 roku wyraził pragnienie: „chcę (...) by widz w moich kompozycjach uczestniczył, odnajdywał się w nich. Każdy kto chce wejść w tę czasoprzestrzeń może zobaczyć konteksty własnej wrażliwości, postrzegania tego, co dla niego jest najważniejsze...” („Gazeta Częstochowska. Kultura” 10 marca 2013, s. 7).

Tworzenie obrazu, według Panka, to „rodzaj performatywnego działania”. Do tych działań należy też pisanie wierszy, traktowanych w dużej mierze jako słowne eksperymenty, a zatem i jako dopełnienie performace’u, skoro jeden z nich wygłoszony został z okazji „Częstochowskiego Dnia Wolności” w czerwcu

2014 roku („Performowanie wolności”). Jego „bohater”, pan Pantofelek „poszukiwał/żywej/kinetycznej/ materii obrazu/ utożsamiał ją/ z żywym ciałem/ zmiennym/ i efemerycznym („Galeria”. Częstochowski Magazyn Literacki Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”, lipiec-grudzień 2014, s. 30). Autor nie tylko pisze wiersze, ale też inicjuje imprezy literackie, do jakich należał projekt: Pierwszy Miejski Salon Poetycki „Ale... poezja?”; meeting poetycki odbył się w czerwcu 2014.

Wśród artystycznych pasji Mariana Panka ważne miejsce zajmuje teatr i jego przestrzeń. A w tej przestrzeni – współdziałanie z publicznością, otwartość na obecność innych, ewokowanie poczucia wspólnoty, uruchamianie jej kontekstów. O swoich wystąpieniach performatywnych oraz o wielu znanych postaciach ze świata teatru, z którymi miał okazję spotkać się i rozmawiać podczas pierwszych performace’ów bądź słuchać ich wykładów

(Jonasz Stern, Jerzy Skarżyński, Konrad Swinarski, Tadeusz Kantor, Jerzy Grotowski) pisał artysta w artykule *Krótki tekst o performance*. *Porady dla performerów* opublikowanym w pracy zbiorowej *Klasyki i adepci polskiej sztuki performance* (red. S. Brzoska, Katowice 2015). Tego rodzaju inspiracje nie mogły pozostać bez wpływu na kształtowanie się artystycznej wizji Panka.

O Marianie Panku – malarzu piszą artyści i krytycy sztuki. Moim zamiarem jest przedstawienie – w dużym skrócie – innego rodzaju Jego działalności, tej, w której również znalazły ujście zainteresowania i pasje artystyczne. Panek przez całe lata zajmował się publicystyką kulturalną: pisał relacje z wystaw odbywających się w częstochowskich galeriach sztuki, tworzył portrety postaci związanych z naszym środowiskiem, recenzował przedstawienia teatralne, przeprowadzał wywiady ze znanymi malarzami i pisarzami. Działalność tę prowadził przede wszystkim na łamach częstochowskiego pisma kulturalnego „Aleje 3”, które ukazywało się (jako dwumiesięcznik lub kwartalnik, co było określone w nazwie) przez kilkanaście lat i w którym wypowiadali się przedstawiciele wielu dyscyplin twórczych. Czasopismo ma swoją odrębną historię w życiu kulturalnym Częstochowy, w rozwoju prasy, w konsolidowaniu środowisk twórczych. Marian Panek poznał dobrze kulturę miasta, w dużej mierze dzięki sprawowanym ongiś funkcjom, do jakich należało kierowanie Wydziałem Kultury i Spraw Społecznych Urzędu Wojewódzkiego i Biurem Wystaw Artystycznych, a także dzięki obecności w środowisku akademickim Częstochowy. A przede wszystkim poznał kulturę dzięki własnym twórczym poszukiwaniom i więziom z przedstawicielami różnych dziedzin sztuki.

Zawartość pisma „Aleje 3” dzieliła się na różne działy (zmieniające się nieco na przestrzeni czasu), a teksty Mariana Panka pojawiały się w działach, takich jak: „Plastyka”, „Teatr”,

„Poezja” „Wywiad”. Znalazły się tu zapisy ważnych rozmów, między innymi z Tadeuszem Gierymskim, pisarzem przybyłym w latach 50. do Częstochowy, która stała się miejscem Jego życia na ponad pół wieku. W wywiadzie zatytułowanym *Będziemy ciągle rozmawiać* („Aleje 3” nr 53, styczeń-luty 2006, s. 4-9) Gierymski, udzielając odpowiedzi na konkretnie sformułowane pytania, omawia wydarzenia z własnej biografii, w tym życia zawodowego, komentuje swój udział w powstaniu pisma „Aleje 3”, prezentuje ulubionych pisarzy, od których czerpał inspiracje, wypowiada się na temat twórczości własnej i innych pisarzy w Częstochowie. Wywiad ten może służyć jako znaczące źródło informacji dla biografów autora *Notatek z czasu*, zmarłego w roku 2009. W innym miejscu, w dziale poświęconym poezji, Marian Panek przedstawia poetę, który wywodzi się z Częstochowy, ale od kilkudziesięciu lat mieszka w Stanach Zjednoczonych, utrzymując więzi z miejscem urodzenia. W wywiadzie *Bo życie nas wykrusza... Z Tadeuszem Chabrowskim, polskim poetą mieszkającym w Nowym Jorku, rozmawia Marian Panek* („Aleje 3” nr 71, styczeń-luty 2009, s. 38-41) przedstawione zostały etapy edukacji Chabrowskiego, w tym okres pobytu w seminarium i w zakonie, wyjazd do Stanów Zjednoczonych, wystąpienie z zakonu i dalsze losy osobiste, drogi rozwoju twórczego i poszerzania doświadczeń, skali duchowej. Rozmowa z poetą kończy się na Częstochowie, na odpowiedzi na pytanie, jak postrzega on miasto.

W centrum uwagi Autora znalazły się wystawy prezentowane w różnych placówkach kulturalnych: w Muzeum Częstochowskim, w Miejskiej Galerii Sztuki, w Konduktorowni oraz w innych miejscach. W przywołanym wyżej numerze 53 z 2006 roku zamieszczona jest na przykład relacja *Trzy wystawy* dotycząca wernisaży artystek: Jolanty Winiszewskiej w Filharmonii, Elżbiety Chodorowskiej w lokalu Regionalnego Towarzystwa Sztuk Pięknych „Zachęta” przy alei Wolności 44,



*Łeba, listopad 2014 r. Performance „Śniadanie na plaży w Łebie według Piwnicy pod Baranami z Krakowa”.
foto: Andrzej Zembik*

Joanny Jeżewskiej-Desperak w Ośrodku Promocji Kultury „Gaude Mater” (s. 18). W numerze 55 pisma ukazał się tekst *Kolekcja „Zachęty”. Pierwsza wystawa* („Aleje 3” nr 55, maj-czerwiec 2006, s. 19), w tym samym numerze (s. 18) przedstawiona jest wystawa w Miejskiej Galerii Sztuki: *Okno na mistrza – Włodzimierza Karankiewicza*. „Zachęta” pojawia się częściej w polu uwagi Mariana Panka, zwłaszcza wtedy, gdy Regionalne Towarzystwo Zachęty sztuk Pięknych uzyskało siedzibę w Konduktorowni. Na przełomie sierpnia i września 2008 roku zaprezentowano w niej dwóch malarzy związanych z Częstochową – Kamila Kuskowskiego i Tomasza Musiała, których prace Marian Panek komentuje w tekście zatytułowanym *Dwaj muszkietierowie* („Aleje 3” nr 69, wrzesień-październik 2008, s. 22). W listopadzie 2008 roku odbyła się ważna impreza: otwarcie trzeciej części Triennale, w kilka dni później spotkanie z publicznością. Panek przedstawia zwięźle ekspozycje, omawia cztery przestrzenie, które definiowały zgromadzone w ich obrębie prace; kończy tekst refleksją dotyczącą sztuki najnowszej, jej stosunku do tradycji i do sfery wartości („Aleje 3” nr 70, listopad-grudzień 2008, s. 16-17). Autora

tekstów interesują zarówno manifestowane przez malarzy i rzeźbiarzy postawy artystyczne, podejście do materii twórczej, rozmaite formy ekspresji, jak również sposoby eksponowania prac na wystawach, aranżacje przestrzeni wystawienniczej.

W dziale poświęconym plastyce pojawił się z czasem cykl „Truchcikiem po galeriach” będący rodzajem sprawozdań z imprez o charakterze plastycznym, aranżowanych w różnych miejscach. W jednym z numerów z 2007 roku czytamy: „W lutym i marcu w częstochowskich galeriach odbyło się kilka wernisaży wystaw malarstwa oraz obiektów rzeźbiarskich”. Autor zamieszcza tu krótkie komentarze dotyczące kilku twórców, dokonując przy tym syntetycznej, czasem jednozdaniowej oceny ich prac („Aleje 3” nr 60, marzec-kwiecień 2007). Skrótowo, ale wnikliwie analizuje przesłania zawarte w artystycznych kompozycjach; na przykład Tomasza Musiała, którego prace pokazane zostały po raz kolejny w Konduktorowni, określa jako artystę „progresywnego, poszukującego” (*Tomasz Musiał – Architektura PTCL*, „Aleje 3” nr 77, styczeń-luty 2010, s. 11). W wypowiedziach



*Łeba, listopad 2014 r. Performance „Śniadanie na plaży w Łebie według Piwnicy pod Baranami z Krakowa”.
foto: Andrzej Zembik*

na temat sztuki trafiają się niekiedy dowcipne zalecenia pod adresem artystów, na przykład w relacji o „Wzorowym dizajnie” Katarzyny Pełki pokazanym w tak zwanej „Przejsiówce” w 2008 roku: „Pani Katarzyno, proszę bardziej zmysłowo, mniej sztywno, a wszystko będzie cacy” („Aleje 3” nr 69, wrzesień-październik 2008, s. 23). Są też wśród tekstów Mariana Panka obszerniejsze omówienia. Na przykład w roku 2011 w cyklu „Na skróty przez galerie” ukazują wydarzenia artystyczne mające miejsce w Częstochowie, a także własne refleksje na ich temat, w tekście poprzedzonym zapowiedzią: „Selekcji i podsumowania najciekawszych wydarzeń ostatnich miesięcy w dziedzinie sztuk plastycznych dokonał Marian Panek przy wsparciu Jerzego «Dudka» Zimnego” („Aleje 3” nr 83/84, styczeń-kwiecień 2011, s. 18-23).

Czasem omawiany artysta reprezentuje warsztat, który szczególnie odpowiada Autorowi. Tak jest w przypadku Dwurnika, którego dzieła pokazano w Konduktorowni „Zachęty” w roku 2009; były wśród nich obrazy przedstawiające Częstochowę i inne

miasta, przywódców religijnych i politycznych. „Wszystko bardzo kolorowo, komiksowo, krzywozwierniactwo, z poczuciem humoru namalował Dwurnik” – pisze Panek w dziale poświęconym plastyce („Aleje 3” nr 77, styczeń-luty 2010, s. 11).

Większe rozmiarami teksty w tym dziale to przede wszystkim wywiady z malarzami, na przykład z Szymonem Parafiniakiem (*Sztuka to niezła zabawa*, „Aleje 3” nr 61, maj-czerwiec 2007, s. 4-9), z Piotrem Staszczykiem (*Realność niecodzienna*, „Aleje 3” nr 64, listopad-grudzień 2007), s. 4-5), z Januszem Rafałem Głowackim (*Malarz z cysterskiej dolinki*, „Aleje 3” nr 65, styczeń-luty 2008, s. 4-7), z Jackiem Pałuchą (*Podejrzone światy w obrazach Jacka Pałuchy*, „Aleje 3” nr 79/80, maj-sierpień 2010, s. 8-9). Rozmowy opatrzone są tytułami streszczającymi stosunek artystów do własnej sztuki lub jej główne przesłania, dotyczą zagadnień związanych z rozwojem twórczym rozmówców, a także ich poglądów na temat kultury w Częstochowie.

W dziale „Teatr” Marian Panek ujawnia swoje fascynacje teatrem i tekstem dramatycznym. W numerze 50 (kwiecień-czerwiec 2005, s. 9-10) pod nagłówkiem *Grochowiak w częstochowskim teatrze* ukazała się recenzja zatytułowana „*Lęki poranne*” aż nadto ładne, recenzja, jak można wnosić już z tytułu, krytyczna (lektura dowodzi, że to krytycyzm umiarkowany). Spektakl w reżyserii Bogdana Michalika został przedstawiony pod względem aktorstwa, plastyki scenicznej, muzyki. W listopadzie roku 2007 miała miejsce premiera przedstawienia *Nowonarodzony* w ramach Międzynarodowego Przeglądu Przedstawień Istotnych „Przez dotyk”; autorem scenariusza był Łukasz Wyleżałek. Marian Panek w swojej recenzji docenia zalety tekstu, kreacji aktorskiej Michała Kuli, scenografii i „dźwiękowej przestrzeni” zbudowanej przez Janusza „Yaninę” Iwańskiego („Aleje 3” nr 64, listopad-grudzień 2007, s. 16-17). W omówieniu wystawienia sztuki *Mały światek Sammy Lee* w Teatrze im. A. Mickiewicza w 2008 roku zawarł Autor najważniejsze treści związane z inscenizacją (odwołując się przy tym do historii kariery tego utworu), podkreślił znaczenie dobrego aktorstwa, ocenił sposób posłużenia się przez Piotra Machalicę tekstem monodramu („Aleje 3” nr 66, marzec-kwiecień 2008, s. 14).

Teksty Mariana Panka publikowane na łamach pisma „Aleje 3” stanowią swego rodzaju kronikę życia kulturalnego Częstochowy pierwszej dekady obecnego stulecia (czasopismo przestało się ukazywać kilka lat temu). Kulturę w mieście prezentowali, rzecz jasna, również inni publicyści, artyści, pisarze, jak Krystian Piwowarski, Marek Czarnołęski, Władysław Ratusiński (który ilustrował często swoje teksty rysunkami bądź fotografiami); rozmowy z artystami przeprowadzała między innymi Dominika Radkowska. A przecież w Częstochowie toczy się życie muzyczne, również komentowane w różnego rodzaju wypowiedziach.

Ludzie, miejsca, instytucje, wydarzenia – to elementy współtworzące panoramę naszej rzeczywistości. Do budowania tej panoramy Marian Panek znacznie się przyczynił, rejestrując fakty z życia kulturalnego, obejmując uwagą różne jego rejony, konstruując portrety twórców, prowokując ich do wypowiedzi na tematy ogólne i osobiste.

Aby nie stwarzać wrażenia, że Marian Panek jest postacią koturnową, pragnę zaakcentować na koniec, że mimo pełnienia funkcji eksperta od sztuki (nie tylko w Częstochowie), budował i buduje On wokół siebie atmosferę „pół żartem, pół serio”, co podkreślają znajomi i przyjaciele. Pozwolę sobie zatem zacytować żartobliwy tekst (bez podpisu), zamieszczony w dziale „Z miasta” w przywołanym wyżej numerze 77 z 2010 roku. Nosi on tytuł *Nowa odłona Mariana Panka*, dotyczy głównie bohatera niniejszej wypowiedzi, ale jednocześnie jest satyrycznym ujęciem ról przypisywanych (każdemu chyba) artyście przez publiczność i krytykę:

Współpracownik naszego pisma, znany częstochowski malarz, Marian Panek, na wernisażu wystawy swoich prac w Konduktorowni „Zachęty” zaprezentował się od nowej strony. Licznie zebrani wielbicieli talentu artysty mogli go podziwiać w zupełnie innej niż do tej pory marynarce. Zaraz po imprezie rozgorzała długa dyskusja, podczas której próbowano rozszyfrować tę tajemniczą przemianę, zwiastującą najpewniej nowe ścieżki twórczości MP. Kupił nową marynarkę – dowodzili konserwatyści. Koloryści – że pożyczyl od kolegi. Undergroundowcy, że wypożyczył w teatrze. Zaś przedstawiciele performance i najmłodszych nurtów w sztuce – że osobiście uszył.

„Styl to człowiek” – czy można krócej i bardziej zwięźle powiedzieć o Marianie Panku?

Anna Jędryka

KOBIETA I SAMOTNOŚĆ

CZEKAM

Czekam, przyjdź tu znów,
Moje miękkie włosy ujmij w swoje dłonie,
Cicho do mnie mów, kilka ważnych słów,
Znów zakwitną w moim oknie pelargonie.

Zajrzyj do mnie znów,
Może spojrzę przez różowe okulary,
Będę spijać z ust, kilka ważnych słów
I na moment zatrzymają się zegary.

Powróć jeszcze raz,
Odmierz każdą wspólną chwilę serca biciem,
Niech złudzenie trwa, że nie minął czas
I powtórnie zostań nowym mym odkryciem.

KTOŚ

Ktoś całował mnie dziś w nocy,
Ktoś przytulał mocno mnie,
Ja pragnęłam czyichś ramion,
Tak mi bez nich było źle.

Ktoś zaglądał w moje oczy,
Ktoś pomocną dłoń mi dał,
Ktoś rozmawiał ze mną miło,
Dużo czasu dla mnie miał.

Ktoś mi przyniósł piękne kwiaty,
Wdzięczny uśmiech posłał mi,
Ktoś mnie okrył ciepłym płaszczem,
Otworzył przede mną drzwi.

Ktoś dotykał moich włosów
I z czułością gładził je,
Ktoś mi mówił komplementy,
Ktoś zatroszczył o mnie się.

Tak mi było z tobą dobrze,
W oczach miałam dziwny blask,

Szkoda, że ten sen się skończył,
Że już razem nie ma nas...

NIKT NIE CZEKA

Nikt nie czeka na mój powrót,
Nie trzyma otwartych drzwi,
Nie wygląda za mną oknem,
Nie mówi „Dzień dobry” mi.

Nikt nie stawia mi kołnierza,
Gdy zawiewa zimny wiatr,
Nie rozkłada parasola,
Kiedy w deszczu moknie świat.

Nikt nie pragnie mego śmiechu
I widoku moich łez,
Nie słucha mego oddechu,
Ani bicia serca też.

Bo nikogo przy mnie nie ma,
Gdzieś miłości umknął czas,
Życie nas przez lata zmienia,
Dziś za późno szukać nas.

SAMOTNOŚĆ WE DWOJE

Zapłątani w swym kokonie,
Zapatrzeni w swoje racje,
Tkwią od siebie odsunięci,
Snują dziwne medytacje.

Każde żyje w swej skorupie,
Drugie nie ma prawa wstępu,
Pilnie strzegą swego świata
I do myśli swej dostępu.

Już nie znają swoich pragnień,
Dawno pierzchły gdzieś marzenia,
W dal odleciał zwykły uśmiech,
Smutek im oblicza zmienia.

Już nie kłóćą się codziennie,
Nie unoszą się w zachwycie,
Już umilkły wszystkie słowa,
Czy w nich jeszcze drzemie życie?

SAMOTNOŚĆ

Samotność puka w moje okno,
Choć nie chcę, lecz otwieram drzwi,
Nie może przecież w deszczu moknąć,
Z nią raźniej chyba będzie mi.

Stała się moją przyjaciółką,
Cierpliwie znosi dąsy me,
Bezwiednie do niej się przytulam,
Kiedy nadchodzą chwile złe.

Jesteśmy teraz nierozłączne
W długie wieczory, puste dni,
Choć nigdy jej nie zapraszałam,
To zawsze wierna bywa mi.

Nieraz chciałabym się z nią rozstać
I zostać sama – tylko ja,
Ale po chwili do mnie wraca,
Bo drogę do mnie dobrze zna.

Więc akceptuję jej istnienie,
Bo jakież wybór dzisiaj mam:
Z obcymi ludźmi krążyć w tłumie?
Być z samotnością, którą znam?

ZAPOMNIANE POCAŁUNKI

Zapomniane pocałunki
Jaki miały smak?
Może mięty, może róży?
Tak ich dzisiaj brak...

Zapomniane pocałunki
W nocy mi się śnią,
Takie słodkie, takie czułe,
Znów powrócić chcą...

Zapomniane pocałunki
Gdzieś przepadły już,
Zaginęły pośród wichrów
I gwałtownych burz...

Anna Jędryka (z d. Płusa) – wiersze pisze od wczesnej młodości. Pierwsze z nich powstały już w szkole podstawowej. Od roku 2011 należy do Klubu Literackiego „Fraszka” działającego w ramach Uniwersytetu Trzeciego Wieku Politechniki Częstochowskiej, a od roku 2014 należy również do Klubu Literackiego „Złota Jesień”. Obecnie, od roku 2016, należy także do Towarzystwa Literackiego „Galeria”. Niektóre jej utwory były drukowane w wydaniach zbiorowych. Otrzymała wyróżnienie w Konkursie Literackim Kolegium Nauczycielskiego w Wieluniu. W 2015 r. wydała debiutancki tomik poetycki *Moje wiersze*.

Małgorzata Franc

MEANDRY SAMOTNOŚCI W POETYCKIEJ PODRÓŻY ANNY JĘDRYKI NA PODSTAWIE WIERSZY „KOBIETA I SAMOTNOŚĆ”

Tak jak rzeka wiję się, tworząc zakola i daje pozorny obraz bezruchu i uspokojenia, tak i w naszym życiu bywają chwile, w których czujemy, że to wszystko, co przynosiło nam wiele pozytywnych wzruszeń, oddala się od nas i zmienia swój bieg, pozostawiając nas na kamienistym, pustym brzegu.

I rzeczywiście – motyw osamotnienia i oddalenia pojawia się w cyklu wierszy Anny Jędryki *Kobieta i samotność*. Jednak po bliższym przyjrzeniu się tekstom i wnikięciu w ich delikatną i klasyczną strukturę odnajdziemy z łatwością także inne elementy, które pozwolą nam poznać kobietę i jej zmagania z samotnością, która prędzej czy później staje się udziałem nas wszystkich.

„Już nie kłóć się codziennie,
Nie unoszą się w zachwycie,
Już umilkły wszystkie słowa,
Czy w nich jeszcze drzemie życie?”
(A.Jędryka, *Samotność we dwoje*)

Kolejnym motywem tej poezji jest tęsknota, poszukiwanie bliskości i powrotu takiej miłości, która daje nam poczucie bezpieczeństwa i jest podporą zarówno w dobrych, jak i złych momentach naszego życia. W poezji tej czytelnicy mogą także odkryć tajemnicę skrywanych pragnień kobiety, która zachowuje w sercu cichą nadzieję na ich spełnienie.

„Zapomniane pocałunki
W nocy mi się śnią,
Takie słodkie, takie czułe,
Znów powrócić chcą...”
(A.Jędryka, *Zapomniane pocałunki*)

Wydaje się, że to właśnie miłość i głębokie jej przeżywanie jest inspiracją do napisania tych wierszy, chociaż autorka sama nie utożsamia się z podmiotem lirycznym, a jedynie przedstawia problemy wielu kobiet.

Kobieta i samotność to także podróż. Podróż poetycka i sentymalna, powrót do szczęśliwych wspomnień i wzruszeń, których niegasnąca pamięć pozwala ocalić to, co nadal jest piękne, a także oswoić to, co jest smutne i trudne.

„Nikt nie czeka na mój powrót,
Nie trzyma otwartych drzwi,
Nie wygląda za mną oknem,
Nie mówi „Dzień dobry” mi.”
(A.Jędryka, *Nikt nie czeka*)

Ta podróż może stać się również naszym udziałem, jeśli przeczytamy wiersze Anny Jędryki, autorki debiutanckiego tomu poetyckiego *Moje wiersze* i chociaż z pewnością nie będzie należała do łatwych, to jednak może kiedyś pozwoli nam lepiej odnaleźć się w meandrach samotności.

Bożena Gorska

KOLEDA

Trwasz, owinięta szalem,
mróz ciągle wzmaga się,
pewnie dasz radę, ale
dla nagich skrzypiec to źle.

I grasz biegnącym do metra,
tym kilku, by słyszeli,
pieśń o zielonych rękawach,
na wyspie nowej nadziei.

01.01.2016

Elżbieta Stępień

MYŚLI LUŻNE - WIERSZE

MYŚLI LUŻNE

znów wyje mój pies
Ewa skusiła Adama jabłkiem. czy
muszę cierpieć za błędy prababki?

nie mów, że mnie kochasz, do cholery!
tamta dziewczyna umarła. zabiłeś ją,
pamiętasz? spakowałeś do kufra
znoszone lata. jakieś poranki,
do których wstyd się przyznać. uciszyłeś
zawzięty szelest dawnych wyznań
wyrrywający się z nagłą pomocą.

widziałam jak zawijasz naszą przestrzeń
mieszając westchnienia i krzyki: koniec raj!

łaskawie zostawiłeś mi sierpniowe niebo
z upiorną samotnością. a teraz co?
mówisz, że... kochasz

znów wyje mój pies. pewnie też
tęskni za tobą...

CZAROWNICA!

do serca mgieł skradam się
potykam o porzucone niechlujnie obietnice
dzikie zioła pachną zmysłowo

w tej woni mdleje opętany pragnieniem
skrawek sukienki, pomyłony z niebem

tam gdzie błyszczało wczoraj moje
wyobrażenie miłości odbite w twoich oczach
ślady naszych stóp przytulają się
do ledwie wyczuwalnych kęp trawy

wodziłam cię po rozstajach pragnień
kusiłam nieodkrytym pożądaniem

– czarownica... – szeptałeś
a oczy śmiały się z rozkoszy

nie chcę przysiąść cieniem
na martwej róży...
uśpiłam cię więc w sercu mgieł
i tylko ja znam drogę...

DYLEMAT

...zgadzam się na świat bez ciebie
...lubię gdy cisza dręczy uszy
...chcę samotnie witać wschody słońca
...smakuje mi nawet kawa w ulubionej
filizance
...myli mi się już miłość i nienawiść
...wspiera mnie mój przyjaciel Anioł
...przychodzi na wieczorne pogaduszki
...było przecież w jego mocy uratować naszą
miłość
...wydaje mi się że jestem szczęśliwa
...bije już moje serce roztrzaskane
złudzeniami
...nabierają barw nowe marzenia
...trwają nawet w przestrzeni nierealnych
pragnień

(czytać... nie czytać...? z „nie” ...)

JESIEŃ WINOGRONOWA

Czas
słodko schowany
w księżycach
wrześniowych winogron
chwytam
pełnymi garściami
jak ostatnie przebliski lata

myśli
już prawie wrzosowe
unoszą
w dal babie lato
daję
się ponieść nostalgii
smakując fiolet winogron

złocą się
chwile spełnione
kuszą
kolorem nieprzeszłe
jesień
winogronowa
zachwytem okrywa serce

Z WIOSNĄ WE WŁOSACH

Zaplątała mi się wiosna we włosy
Te matowe z siwymi pasmami
Jak się teraz ludziom pokażę
Powiedzcie sami?

Zaplątała mi się wiosna w myśli
Te ponure mgłą straszące
Teraz nie mogę się nad sobą użalać
Czy więc sobą będę nadal?

Zaplątała mi się wiosna w słowa
Te poważne czasami za bardzo
Teraz cieszę się z każdej głupoty
I rozdaję wiosenne przesłanie!

Zaplątała mi się wiosna w serce...

DLA M.

pachniesz milczeniem
uśpionego lasu w którym
szukasz ukojenia
przytulam policzek
do oczekiwań ukrytych
w kwiatach dzikiej róży
schowanych jak
stłumione pragnienia
zawieszeni pomiędzy
tęsknotą a nadzieją
pełną złudnych przyrzeczeń
boimy się zrobić krok
w stronę miłości

Ona mówi:
„to tylko jakiś wiersz”

kładzie wyćwiczony uśmiech
na smukłe wersy.
a tam
dzieje się
to smutek, to radość
obok niedokończony
profil miłości co jeszcze boli
zioła łaknące dotyku i bliskość przyjaciół
odbicia niewygodnych słów burzą
twierdzą przeszłości która jest we mnie.
falują kosmyki czasu, wiatr porywa do lotu
upiękkszzone zadumy dmuchawce
pająk huśta się refleksyjnie na nici życia
tyle tego jeszcze....

Ja mówię:
„otwórz oczy
naucz się dostrzegać meandry uczuć
dopiero potem wypuść swe słowa na
wolność”

JESTEM TAM...

Kiedy otuli mnie
 aksamit czarnej ciszy
 Opuść
 nie poznane drogi
 niby życia
 A z twojej pamięci
 uleć motyle wspomnień
 Znajdziesz mnie w wierszu
 On ukoj twą tęsknotę
 powiedzie w przestrzeń zamyśleń
 gdzie cząstka mej natchnionej
 duszy jeszcze gości
 Tam mocą słowa
 ciągle trwam...

„NIEZAUWAŻONY EKSHIBICJONIZM UCZUĆ”

Snuję się między niepotrzebną kawą
 zbyt wczesnym przebudzeniem
 A natłokiem codziennych wierszy
 Wczoraj rano pokazałam ci smutek
 Wymalowany twoją nieobecnością
 W południe przykleiłam uśmiech
 Ten z rodzaju „mimo wszystko”
 Po południu powitała cię rozpacz
 Wystraszone łzy szybko wsiąkły w ziemię
 Wieczorem zapłonęłam ogniem
 Tym od wiecznej miłości
 I... nic!
 Zbłądziły twe spojrzenia
 Kiedyś tylko dla mnie
 Czy tak rodzi się obojętność?
 Dziś spróbuję na nowo...

KOLORY CIERPIENIA

Pajęczyną promieni
 świt odsłania miasto
 a z mej duszy
 wciąż szarość nie znika
 I pytam Cię Panie
 jaki kolor ma cierpienie
 może... to biel szpitalnej sali
 czy też purpura spod Krzyża
 a może czerni żałobna
 Milczysz...
 Lecz ja już wiem
 To kolor oczu...
 mego syna



foto ze zbiorów Autorki

Elżbieta Stępień – urodzona w 1966 roku, mieszka w Radomsku. Absolwentka Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego w Piotrkowie Trybunalskim, nauczycielka przedszkola i pasjonatka wspierania dziecięcej twórczości. Autorka tomiku poetyckiego *Okno z widokiem na duszę* (2011) i współautorka tomiku *Życie zapisane w słowach*. Laureatka wielu konkursów w dziedzinie poezji i prozy, w tym między innymi: Nagrody głównej w Ogólnopolskim Konkursie Literackim „O pióro Reymonta” i I. miejsca w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. ks. Jerzego Popiełuszki „Cena Miłości Ojczyzny”. Wiersze i opowiadania Elżbiety Stępień można znaleźć w antologiach pokonkursowych.

Justyna Lander

BĄDŹ MOIM PARASOLEM - WIERSZE

gdzie nie istnieje czas, gwiazdy oświetlają
ulice
Apollo w zamku wyprawił ucztę
półnagie muzy bawią setki gości
śpiewem, tańcem, orgią, rozmową
przy dźwiękach harfy
nieśmiertelność przestała nudzić
spragnionych Tanatosa tylko pocałunków
mieszkańców POZACZASU

Jeszcze nie teraz
może potem
spotkam się z tobą i opowiem
o drogach, którymi chodzę zawsze sama
o wietrze z którym tańczę tylko w deszcz
ubrana
o dziewczynie, która ze szczęścia śpiewa na
łące
za starą chatą i
o drzewach, które jesień otuliła złotą szatą
Jeszcze nie teraz
może potem
spotkam się z tobą i opowiem...

Teraz stoję w cieplej, zalanej słońcem ciszy
którą za chwilę burza rozerwie
krzykiem błyskawicy

bądź moim parasolem
chron przed deszczem zła, zawiści, nienawi-
ści
gradem nieszczęść, bólu, strachu
wiatrem zakłamanych pokus, płaczu

w domu cię złożę
na szafce położę
wreszcie odpoczniesz
zanim
znowu
zmokniesz

Przepraszam, że cię zachwyciłam Świecie
m n ą Doskonałością, której tobie brakuje
to nie moja wina
Przepraszam, że cię nauczyłam Świecie
tej Doskonałości, której nikt nie rozumie
to nie twoja wina
Przepraszam, że nie zobaczyłam Świecie
zawiści, której mnie brakuje
Przepraszam, że się pogubiłam
w tej zawiści tłumie
to nie nasza wina

Wiesz jednak, że nie żałuję
ofiarowanej ci Doskonałości, bo nikt
nikt poza m n ą
nie nauczyłby cię
MIŁOŚCI

prawą dłoń
trzymam w lewej dłoni
mojej
lewe głaszczę prawą
trzymam się w objęciach
trzymam się mocno
a kiedy słabiej
mam parasol
lustro
i ścianę

Brzask obudzony rosą
nie chce wpuścić.
Błąka się więc aż do zmroku,
który mgła przyzywa
i tak już wieki
MYŚL NIESZCZĘŚLIWA

Południe otworzyło drzwi
i wieczór nastał
a przez słońca wędrówkę
MYŚL BYŁA JASNA

i może nie do końca
Bo koniec JEJ

Brzask i zmrok zabrał.

Wiesława Owczynek

WIERSE Z TOMU ROZMOWA Z NIEZNAJOMYM

KOBIECY PORTRET WIELOKROTNY

nikt
tak jak Ty
z łagodnym zarysem szyi
w apasze w lamparci wzorek
nie ujmie rąbka krynoliny w dłonie
by lekkim krokiem
przeskoczyć horyzont
i mknąć przed siebie
do siebie tylko
wiadomego celu

ach
i te Twoje suknie
z aksamitnej skóry
podbite sierścią, która zimą grzeje
ciało podatne na dotyk
i na spojrzenia
które gonią strzałą
aby Cię dopaść w uliczce
w pokoju, w ogrodzie
i zasiać niepokój

zza
piór wachlarza
w niebieskich džinsach
w słonecznym bikini
to zawsze Ty
kobietę wielostrunna
gra wiatr na Twych włosach
swą śpiewną barkarolę
i cały Wszechświat się zachwyca
teorią strun
i Twym pytaniem

– dlaczego?
to nic, że nie ma odpowiedzi
bo przecież ona

ona już jest
w Twoich kolczykach
w niecierpliwym Casanowie
który składa pocałunek
na Twoich wargach
nie zawsze chętnych
i słodkogorzkich jak życie

ULICA KOBIEĆ

szli ulicą
mąż
szedł lekko przygarbiony
i szurał podeszwami
płyty chodnika były
jak chwiejna kładka

spojrzał z boku
na sępi profil żony
wyłaniający się
spod śmiesznego kapelusika

szli
a tymczasem przez niego
przeływały kobiety
od których roilo się
na ulicach miasta
tego dnia

biegły naprzeciw
opływały go
stroną prawą i lewą
przeszywały na wskroś
napierały z tyłu
i czuły ich młode oddechy

kobiety wychylały się
z samochodów
ze sklepowych wystaw

trudno było oddychać
powietrzem ciężkim
od ich perfum

włosy kobiet wplątywały się
w korony drzew, wysysały soki
z zielonych listków
i z niego

płakał całym sobą
za tymi kobietami
które były obok
i tak niedostępne
jak odległe mgławice

spojrzał znowu
na znajomy profil
który oglądał
od tylu lat

spod powiek żony
spłynęła łza

ona też widziała te kobiety

i jego żal

OBCY I

On mieszka
przy innej ulicy
a ona
kocha człowieka
człowieka – mówię!
ponoć niezgodnie
z obyczajem

wieś górna
wieś dolna
jak dwa obozy
nieprzyjaznej armii
wybić by trzeba
tych, co słabsi

my górą!
my pany!
my naszej drużyny stanica
strażnica w szalikach
naszych nie damy
za naszych
krew przelewamy
nie naszą – waszą
nasza zbyt cenna

A ona
z tej innej ulicy
z innego miasta
blokowiska
a on
co kocha
nie tak, jak trzeba
i ci
ze wsi dolnej
ze wsi górnej
nie z tej
drużyny
partii
co nasza
nie z tego
blokowiska

ci inni
ci drudzy
gorsi
nie nasi

obcy

OBCY II

Boi się
syta Europa
dzieci nie swoich
choć tyle już przygarnęła
jak Matka, nie macocha

przeraża ta mnogość,
mnogość, mnogość,
nienasycenie
głodnych oczu i ust

stawia Europa
mury, zasieki –
nie dziw się,
że strach ją dławi,
tyle ma do stracenia

choć na obcych plecach
budowała potęgę
teraz
nie chce się podzielić

A oni?
z ogniem za sobą
z pożogą
z gwałtem
z wojną
łądem, wodą
wciąż przybywają

co zrobisz, Europo?
na co sobie pozwoliś?

na co pozwoliś
temu,
którego nazywaś

obcym

OBCY III

Wyobraź sobie,
a myślę, że masz
wyobraźnię, człowieku
a więc wyobraź sobie
że
z dalekiej galaktyki
z nieprawdopodobną
prędkością
zmierza do nas
statek kosmiczny
z Onymi
z Innymi
z Obcymi
na pokładzie

to już nie koleś,
którego nie szanujesz,
to już nie ten
z pejsami,
to nie uchodźca
udręczony wojną
i nie oszołom
z wrogiej partii

to obca planeta
przybywa

to Inny
naprawdę

świecie nasz
jak powitasz
w naszym świecie
inny świat?

A ty
pomyśl

dla nich wszystkich –
nie z tej ulicy
nie z tego kraju
nie z tej planety
to ty
możesz być

obcym

(Za cykl: OBCY I, OBCY II, OBCY III Autorka otrzymała II miejsce w VIII Konkursie Literackim Związku Nauczycielstwa Polskiego, Oddział Chorzów)

Janusz Orlikowski

WIERSE Z TOMU RAJ, KTÓRY WIDZIAŁEM

W ZACISZU

dom – słodka cisza
gdzieniegdzie tylko ktoś z kimś
półgłosem opowiada zdarzenia

dobrze emocje
wtulone w poduszki
zerkają na siebie toną w cicho sza

ktoś wszedł i wyszedł
i pozostawił ciszę
za drzwiami przecież
może dziać się tyle

dom – słodka cisza
czasem przygniata
jak stumilowy głąz

zbudzony krzyk
nagle poczuł się różniej
otworzył oczy

i tylko jej niewzruszone imię
przytrzymało go za ramię

TYLKO

tylko grafomani umierają szczęśliwi
po cóż więc drażyć szukać – pytam?

bo jednak słowo kiedy źle użyte
błaznem jest co nie znalazł króla

wpadła mu czapka gdyż głowa za mała
z nadmiaru szczęścia tu na ziemi raj

i nie jest jak dziecko które nieświadome
uczy się mówić później czytać i pisać

OPOWIEŚĆ

wychodząc zapukałem do drzwi
szedłem obok dni dobrego jutra i
natknąłem się na żółty kamień
był niczym słońce

dlaczego idziesz? – zapytał
na mostek, nad rzekę – odpowiedziałem
i tam poszedłem

dzikie kaczki bez trudu wędrowały pod prąd
dzieci bawiły na huśtawce
brakowało tylko na tej fotografii
osoby która uzupełni z lewej strony mostek

wychodząc zapukałem do drzwi
pomyślałem

i szedłem obok dni dobrego jutra
natknąłem się na żółte słońce które przez
mgłę
coś mi opowiadało nad ranem
poranek bywa czasem niepokorny

dlaczego idziesz? – w końcu zapytało
na mostek, nad rzekę – odpowiedziałem
i tam poszedłem
ale nie było już tam i tej huśtawki i fotogra-
fii

JEST

żonie

jest we mnie ta kobieta
której na imię Lilith

pierwsza żona Adama
nie odeszła z Raju on
okazał się właściwym:
bez pożądania i w kontemplacji
rozkosz

i
nic nie wiedzieli o tym

wąż zgiął się w pól
wściekle wytrzeszczając oczy
połknął język

jest w Tobie ta kobieta
której na imię Lilith

ocalałe drzewo w nas

WIERSZ O PISANIU

tworzenie jest aktem wiary
pesymizm przychodzi później
niczym czarna polewka

długie dni i noce
ta straszliwa niechęć
do tego co napisane

czy to
rozdęta pycha mały człowiek który się
napuzonił
i teraz wstyd?

Bóg jedyny nie wie
dlaczego
pesymizm przychodzi później

bo jednak są światy
o których się nie śniło
a tylko zauważone
milkną ostatnim słowem

tworzenie jest aktem zgody
gdy poeta mówi nie



foto: zlp-krakow.pl

Janusz Orlikowski – poeta, eseista, zajmuje się również krytyką literacką. Nauczyciel matematyki w gimnazjum w Dobrodzieniu. Autor jedenastu tomów poetyckich i trzech tomów esejów i szkiców. Stale współpracuje z ogólnopolskim miesięcznikiem literackim „Akant” oraz miesięcznikiem „Gazeta Kulturalna”. Wiersze, eseje i recenzje publikował poza tym w „Twórczości”, „Życiu Literackim” i in. Członek Związku Literatów Polskich od 1993 r. Autor prawie trzystu esejów i recenzji opublikowanych w pismach literackich na terenie kraju. Jego wiersze tłumaczone były na język serbski.

Jan Ciesielski

MIASTECZKO – NASZA DOLA

Wesołe miasteczko,
wesołe miasteczko,
I śmiechu tu sporo
I smutku też deczko!

Jakiś starszy jegomość
za ulgowe bilety
wcisnął się przez okienko
do dziecięcej rakiety.

Nim pomyłkę zauważył
ktoś z obsługi naziemnej,
gościu już wystartował
w pozie mało przyjemnej.

Dwie panienki, co w mini
dosiadały konika,
trochę oponowały,
gdy im zdjęcia ktoś pstrykał.

Obok, przy karuzeli,
to obrazek typowy,
pani zwraca... uwagę,
żeby nie na głowy!

Babcia, co już stanęła
w swej łódce powietrznej,
wrzeszczy: Dziadziu, kup bilet,
chcę popływać jeszcze!

Po skończonej podróży:
wysadź mnie wreszcie!
Dziadzio babcię wysadził...
choć wolałby w powietrze.

Na strzelnicy do kwiatka
trzej strzelają facci,
a kwiatek przyspawany!
Trafiony nie zleci.

W czasie pełnego biegu
wskoczył ktoś do gondoli
i zażądał biletów...
w wyrwykowej kontroli.

Czyjś wujek w kolejce
po bilet do kasy
zgubił buty w kałuży.
Wujek jest bez klasy!

II

Inna znowu babcia
wpychana do łodzi,
żegna się ze wszystkimi
bo podróż jej szkodzi.

A dziadek jest super,
A dziadek jest ekstra.
W głowie mu się nie mieści
- skąd łódka powietrzna.

Personel ostrzega
i zwraca uwagę,
pani na łabędziu
mająca nadwagę.

Ptaszek tak przeciążony
aż mu jazda zbrzydła,
za karę za nadwagę
ma zwinięte skrzydła.

Paniusia z sąsiadką
wdały się w rozmowę,
o tym by uważać
na pieniądze nowe.

Dwóch maluchów swe głowy
zakleszczyło w karecie,
muchę chcieli złapać,
podarować tacie.

Na dużej zjeżdżalni
zamiast na kocyku,
zjeżdża gość na czapce
będący „na cyku”.

Jakaś dwójka rodzeństwa
krzyczy na swego tatę:
Tatusiu! Nic nie widzimy
przez cukrową watę!

Wesołe miasteczko,
Wesołe miasteczko!
Teatru tu sporo,
I cyrku też deczko!

I jeszcze, i jeszcze, i jeszcze raz w koło
I jeszcze chwil kilka i kończysz się
dolo!

Jan Ciesielski – urodził się w Bydgoszczy, studia rozpoczął na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, a ukończył na Uniwersytecie Śląskim z powodu przeprowadzki do Częstochowy. Jest żonaty, ma troje dorosłych dzieci, obecnie jest na emeryturze. Należy do Klubu Literackiego „Złota Jesień” i do Towarzystwa Galeria Literacka. Pisanie traktuje jako hobby, preferuje twórczość o zabarwieniu satyrycznym.



Wojciech Ćwiertniewicz. Bez tytułu (150), 2013, 70x100, akryl i olej na płótnie.

Hanna Brakoniecka

MAŁE PROZY

KOLANO

Iwona powąchała swoje kolano. Cuchnęło. Piekielnie cuchnęło. Przyjrzała się mu uważnie. Było rozkopane, w środku jakieś palenisko. W palenisku robaki. Cuchnęło. Obrzydliwe. Chciała odejść stamtąd. Może odlecieć. Smród ciągnął się jednak za nią. To było obrzydliwe. Nie chciała więcej tego czuć. Spojrzała na swój łokieć. Tam też był jakiś dół i też śmierdzał. Dosyć tego! – krzyknęła i obudziła się.

Sen, dobrze. Nie, niedobrze! Nadal cuchnie. Co tak cholernie śmierdzi? Chciała wypchnąć męża z łóżka, żeby poszedł sprawdzić, ale przypomniała sobie, że ten pracoholik siedział wczoraj z tym swoim katarą przy pisaniu referatu na konferencję w Kopenhadze prawie do północy. No to mu odpuści i nie będzie wysyłać na nocną wyprawę po mieszkaniu. Wstała. Kapcie jak zwykle rozlażyły się po pokoju. Jak tylko spuści je z oczu, natychmiast zaczynają szaleć. Pieprzone kapcie, na dodatek włożą jej nie na te stopy, jakby ich nie miała już od dwóch lat z okładem i nie mogły, kurde, się nauczyć, która lewa, a która prawa. Idzie. Człapie do kuchni, bo stamtąd chyba leci ten zapaszek. Zapaszek? Zapaszydło! Światło. O nie, o nie, jej ukochany czajnik, który wzbudzał w kumpelach tę przyjemną dla niej zazdrość, spalony na czerwono bordowy guzik. Szlag! Teraz będą miały satysfakcję. Ciągłe głądziły, żeby sobie kupiła elektryczny albo chociaż z gwizdkiem. Mogła wtedy robić wyniosłą minę i mówić, że dla niej estetyka ważniejsza. Bo był taki śliczny. Czerwony w białe kropczki. Miała sześćdziesiąt lat temu taką sukieneczkę, wie, bo zostało zdjęcie. Stała taka urocza, trzyletnia dziewczynka na krześle przy ścianie, na której wisiało prześcieradło. Nie widać wprawdzie kolorów, ale

się domyśla, że tak musiało być. A teraz jakiś guzik został z czajnika.

Poślizgnęła się otwierając okno. Co to jest, co tu leży?! No tak, kiełbasa w tych ohydnych plastikowych opakowaniach. Wczoraj sobie kupiła krakowską na kolację, co ona tu robi na podłodze? Wściekła na głupią kiełbasę otworzyła lodówkę. Aha, to dlatego dziwiła się, że właśnie przy poprzednim siusianiu wyjęty papier toaletowy nagle zniknął. Leżał tutaj, w lodówce. Włożyła kiełbasę, wyjęła papier. Popatrzyła na zegar. Czwarta piętnaście. Zamknęła kuchnię, Niech się wietrzy. Otworzyła drzwi ponownie. Obrzuciła uważnym wzrokiem całą przestrzeń. No, zmarszczyła groźnie brwi. Nie ruszać mi się, powiedziała do mebli, naczyń, żywności i innych przedmiotów, i zgasła tym razem światło.

Położyła się do łóżka napominając kapcie, żeby się nie ważyły przestawiać. Zasnęła. Powąchała kolano. Było gładkie i miłe w dotyku. Nic nie czuła. Sprawdziła łokieć, na nim rosła maleńka stokrotka. Delikatnie pachniała.

6. 02. 2 015 r.

UKARTOWANIE

To teraz opowiem o nas.

To było zaplanowane, powiedział. Wszystko to ukartowałem.

Nie wytrzymam, to ja przez trzydzieści dziewięć lat, właśnie dziś mija rocznica, wspominałam, jak to się zakochałam w jego patrzeniu. Gdy podnosił do oczu jakąś rzecz z mojego biurka czy z półek na książki, widziałam jak tym spojrzeniem przenika na wyłot, widzi więcej, gdzieś poza dostrzegalną przestrzenią. Jego spojrzenia, tak jak i słowa, były nie z tego świata. Nikt się nie mógł z nim równać, bo wiedział, czuł więcej. Był chodzącą metafizyką, nieosiągalną transcendentą. Ja z tym swoim zdruzgotanym sercem, po kolejnej nieszczęśliwej miłości już na nic liczyć nie mogłam i wcale nie chciałam się zakochiwać. Ale te jego spojrzenia nagle zawieszono w pół myśli, gdy zobaczył coś, czego

my, zwykli, przyziemni nie zobaczymy nigdy, były tak obezwładniające, że serce, absolutnie wbrew mojej woli, zaczynało szaleć.

A on teraz mi mówi, że to sobie ukartował. Że to zaplanowane. No nie, jak mógł. Cwaniak. Muszę się jeszcze głębiej dopytać. Choć teraz bardzo z tym trudno, bo wszystko obraca w żart.

Zaczęłam go pytać oczywiście o zmysły. Najpierw się wyglupiał w stylu staruszka-świntuszką myśląc wzrok ze wzwodem, ale w końcu powiedział, że to właśnie jego najważniejszy zmysł i patrzeć z niczym nie może się równać. Tak to jest u mężczyzn, a u niego tym bardziej. Patrzy więc na chmurę i ptaka, na mnie i siebie, na drzewo, kałużę, mrówkę. A potem piszesz wiersz, rozczuliłam się. Niekoniecznie, tyle już napisałem, stwierdził, że już nie muszę.

Tak, to patrzeć u niego najważniejsze. Pstryka tymi oczami jak aparatem fotograficznym, galerie malarstwa, kościoły, cmentarze, lasy, góry, morza, kwiaty drzewa, zwierzęta. Wszystko ogląda, zapamiętuje, przetwarza na słowa, łączy. Nic a nic nie pasujemy do siebie. Ja mam przed sobą korę drzewa, kamień, dziecko. Nasycam się tym na cały dzień. On musi więcej i więcej. Ja stoję, albo jeszcze lepiej siedzę, przed jednym obrazem, on przebiega sale w górę i w dół. Ja muszę ciągle pytać foty, bo nie będę za chwilę wiedziała, gdzie byłam, jemu fotografowanie przeszkadza w patrzeniu. Nawet z dalekich, samotnych podróży przywozi kilka nędznych, wymuszonych przeze mnie zdjęć. Patrzymy inaczej, widzimy inaczej.

Żeby razem tworzyć doskonalszą pełniejszą całość.

A słuchanie? Przecież, gdy wchodzę do twojego gabinetu, mówię, zawsze słyszę przepiękną muzykę. Już teraz nie, nasyciłem się. Szczególnie orkiestrowej nie cierpię. Ale co lubisz, no powiedz. Współczesną: Pawła Szymańskiego, Arvo Pärta, Garbarka, La Faure. Jazz, ale taki z pogranicza. Komeda mój najulubieńszy, Davies'a, Coltrane'a. I ptaki lubię. I szum drzew.

No tak, tutaj czujemy podobnie, tego samego chcemy słuchać, choć raczej w domu, rzadko chadzamy na koncerty. Muzyka i słowo towarzyszą nam w każdym miejscu mieszkania. Tylko w toalecie nie mamy radia nastawionego na dwójkę. A tak wszędzie. Nawet w łazience. Choć tam tylko on słucha pluszcząc się w wannie.

No i kino jeszcze. Nauczył mnie uwielbiać braci Coenów, oglądaliśmy razem Smarzowskiego i von Triera. Sama bym nie umiała.

Ale, z tym ukartowaniem to mnie zaskoczył. A wyglądał na tak spontanicznego. No, no.

7. 08. 2015 r.

KURWA

– Najbardziej byłam zbulwersowana w Amsterdamie, gdy patrzyłam na Polaków. Idą tacy i drą się na cały głos: „Kurwa, jak ona wygląda, kurwa. Taka jebana, kurwa, grubaska!” Nie zdają sobie sprawy, że inni ich słyszą. I Polak kojarzy się tylko ze słowem KURWA. To straszne, kompromitują kraj, ośmieszają naród. Wstyd mi wtedy, że jestem Polką.

– Pozwoli pani, że się z nią nie zgodzę. Takie słowa są zupełnie normalne. Pełnią rolę interjeksi. Nie są niczym bulwersującym. Są naturalnym elementem ekspresji językowej. Niech pani posłucha Holendrów, Francuzów, Niemców. Tam co drugie słowo to merde, shit, schaise.

– No jakże pan może tak mówić, profesorze! Uważa pan, że nie można tych okropnych słów zastąpić innymi?

– Można, ale po co, jeśli te tak doskonale pełnią swoją funkcję. A nasze słowo KURWA jest przy tych schaise i shitach bardzo eleganckie. W tamtych zawiera się znaczenie odchodów, fekalii, gówna po prostu. Obrzydliwe.

Słowo KURWA występuje tylko u Polaków, Rosjan, Białorusinów i Ukraińców. Mówi się, że pochodzi od łacińskiego słowa curva, curvus- krzywa, krzywy. W rosyj-

skim od tego zakręt. Stąd niby znaczenie kobiety chodzącej po krętych drogach. Ale , doczytałem się, proszę państwa, że znaczy coś innego. No, bo proszę mi powiedzieć, dlaczego to słowo w tym znaczeniu nie występuje poza słowiańskimi językami? Ani we włoskim, ani fracuskim, w żadnym ze skandynawskich. A przecież byłoby to jak najbardziej naturalne. Otóż dlatego, proszę państwa, że jego znaczenie jest zupełnie inne. W jego rdzeniu jest krew. I chodziło tu o braterstwo krwi mężczyzn walczących w jednej bitwie. Jak to się działo? Otóż, niech państwo sobie wyobrażą, mężczyźni ci mieli mieć stosunek z jedną kobietą w czasie miesiączki. Stąd braterstwo jednej krwi. Oczywiście mówimy o czasach wczesnego średniowiecza. Takie jest pochodzenie tego słowa. Uważam , że szlachetniejsze od gówna. Dlatego nie bulwersujmy się słowami. Pełnią swoją funkcję zupełnie dobrze.

14. 06. 2010 r.

TOKSYCZNA

Wzięłam tabletkę nasenną, ale zupełnie nie spałam. Na trzy godziny zasnęłam i zaraz się obudziłam. Myśli, ciągle myśli natrętne. Czemu, czemu taka jestem? Tyle mam przyjaciółek, przychodzą pogadać, wyzalić się. Mówią, że jestem mądra, że ze mną jak z nikim. Że wszystko wyjaśnię i pokażę, jak trzeba się zachować. To dlaczego sama nie mogę sobie ze sobą .

Znów się do niej przyczepiłam. Czułam, jak sztywnieje po drugiej stronie słuchawki. Jak milknie, zaczyna mówić o zupie na obiad. Ani słowa o sobie. A przecież była ostatnio na dwóch konferencjach. Obie zajmujemy się tymi samymi sprawami. Ona jest młoda, zna wszystkie nowe nurty, trendy. Cieszyłam się zawsze, że dzięki niej będę ze wszystkim na bieżąco, że nareszcie będziemy miały wspólne sprawy. A teraz dzwonię zaciekawiona, podniecona, że mi nagada, naopowiada. I milczenie, cisza, zupa.

Co ja takiego powiedziałam? Czułam to sztywnienie w jej głosie i myślałam, które to słowo ją tak zmroziło . Co jej znowu zrobiłam? Gdzie była ta moja cholerna nagana, ironia, powątpiewanie. Wydaje mi się , że już wyzbyłam się wszystkich piekielnych, jadowitych słów. A one są, wydobywają się ze mnie w najmniej spodziewanym momencie i zabijają nasze porozumienie.

Tak tęsknię za nią. Codziennie, bez przerwy o niej myślę. Podskakuję przy każdym dzwonku, każdym dźwięku SMS-u. Może od niej? I kiedy wreszcie się doczekam, to rzucam jakieś kretyńskie: Wreszcie się pani łaskawie odezwała. I już po wszystkim. Czuję jej wycofanie, zdawkowe sztywne słowa. Dystans tak zmrożony, że nie przejdzie mi już przez gardło: Moja najmilsza córeczko, tak cieszę się, że cię słyszę. Bo nigdy w to nie uwierzy, będzie myślała, że znów ironizuję. Uciekła ode mnie na drugi koniec Polski. Teraz, jak się urodziła Halinka, pozwala mi do siebie przyjechać. Ale to tak daleko. Na dwa dni, do Krakowa. Męka dla mnie. Odchorowuję to potem przez tydzień, ale na każde jej zawołanie rzucam wszystko i jadę. Żeby potem zepsuć wszystko ironicznym uśmiechem, wzruszeniem ramion, głupim tekstem.

Nie śpię w nocy, dławi mnie niewypłakany płacz, tęsknota za dzieckiem. Teraz, teraz powinienam urodzić dziecko. Teraz już wszystko wiem. Wiem, jak należy mówić mu, jakie jest cudowne i jedyne. Jak podkreślać jego umiejętności i tłumaczyć, czego nie należy robić. Teraz już wiem, jak nie wyrzucać wszystkiego z jego szafki z krzykiem na środek pokoju, nie ośmieszać i nie oczekiwać, że będzie jeszcze lepsze, gdy i tak jest najlepsze w klasie. Jak tulić i mówić : Kocham cię, *córeczko, poradzisz sobie, bo jesteś świetna.*

Teraz już wszystko wiem. Bo wtedy nie wiedziałam. Teraz wiem, gdy mam sześćdziesiąt lat i jestem starą, przegraną, toksyczną matką.

27. 10. 2010 r.

ŁAZIENKA

Budzik nie zdążył zadzwonić, gdy Ilona siedziała już z odrzuconą kołdrą zanosząc się płaczem. To niemożliwe, nawet mi się śniło. Nawet mi się to śniło. Czy moja głupota musi być aż tak bezmierna? Zasmarkowała się. Wycierała brzegiem kołdry łzy i gile. Nie mogę.

– Co się dzieje? – wyburczał spod drugiego brzegu mąż Ilony. Stateczny i solidny profesor matematyki w pobliskim liceum. – Czego nie możesz, kobieto? Co cię tak budzi o świcie i nie daje dobrym ludziom spać?

– Powiedz, że nie jestem głupia, no powiedz – błagała.

– Różnie z tobą bywa, ale tym razem o co chodzi?

– Bo wczoraj zaprosiła mnie ta Ewita, co pracuje w przyległym pokoju, do siebie, żeby pokazać swoją nową łazienkę. I wiesz co? Ona mieszka w zwykłym bloku, takim, z jakiego się wyprowadziłyśmy, a ta łazienka jej taka piękna. Wchodziłam tam jak do pałacu. Kafelki w nieskazitelnej bieli. Na ścianie i na podłodze. A wszystko błyszczy, że aż oślepia. A ja myślałam, że nasza łazienka jest ładna. Ty się nią zachwycałeś, prawda?

– Owszem, zachwycałem i nadal zachwycałem. Uważam, że zaprojektowałaś ją naprawdę z gustem.

– Ty nie widziałeś łazienki Ewity. Jasność tam jak w niebie. A ja, durna, wybrałam ten szary gres na podłogę. Teraz to wszystko wydaje mi się takie pospolite, biedne. To prawda, musiałam się liczyć z kosztami. Nie możemy sobie pozwolić na ich przekroczenie, a i tak kredyt za dom będziemy spłacać chyba do śmierci. Bo na pewno umrę wcześniej z zazdrości.

– O czym ty mówisz, kobieto! Popatrz na tamtych nuworyszy, którzy chcą się popisać świecącymi kaflami. Przestań, to takie bezuście.

– Pocieszasz mnie tylko, nie chcesz przyznać racji. Mój dom miał być najładniejszy, a byle koleżanka, co jej mąż jest tylko jakimś

handlarzem warzyw, ma takie kafelki. Zapłać się i umrę.

– Nie umieraj, nie umieraj. Zrób lepiej jakieś dobre śniadanko, bo trzeba dziarsko zacząć tydzień.

I poszła nieszczęsna do kuchni solić kanapki łzami. Mama wczoraj jej tłumaczyła, że to tylko snobizm i blichtr, wartość człowieka jest gdzie indziej. Nawet mąż Ewity zareagował, gdy stała taka oniemiała. Jezu, jaką wy macie przecudną łazienkę, moja się nic nie umywa do tej. Pocieszał ją skrzepowany: – Na pewno i pani łazienka jest ładna. Ale gdzie tam, w porównaniu do Ewity. – kapnęła kolejna łza.

– Mamusi kochana, co się stało?! – Pięcioletnia Zosia wpadła do kuchni i otoczyła kibić matki małutkimi rączkami.

– Córeczko najdroższa – Ilona uklękła przy niej, popatrzyła przestraszonej dziewczynce w oczy i wyszeptwała z rozpaczą:

– My mamy, kochanie, brzydką łazienkę.

29. 01. 2015 r.

TAMTE POCAŁUNKI

Danuta wsunęła się powoli pod kołdrę. Mięciutko, otuliła się nią rozkosznie. Taki sylwester to się jej podoba. Leszek jeszcze przed telewizorem, a ona po spełnionym uroczyscie toaście noworocznym na tarasie w blasku fajerwerków, obficie puszcanych przez mieszkańców Olsztyna, mogła wejść do łóżka. Pośpi sobie znów. Już była mała drzemka wieczorkiem po kolacji, a potem on ją obudził na te fajerwerki właśnie. Dawno nie było tak dobrze. Może dlatego, że wcześniej wywiozła mamę do jej domu w Ostródzie i skończyły się preteksty do awantur. Staruszcza coraz mniej sprawna i przytomna doprowadzała Lecha do szału. Danusia broniła biednej matki i każdy nowy rok rozpoczynał się od piekła. A potem już tak trwało, coraz bardziej daleko od siebie, sztuczniej i bezsensowniej. Gdyby nie zależność finansowa, dwudziestoletni już Piotr z autyzmem, którym tylko

oboje mogą się opiekować, dawno rzuciłaby to w diabły. Zna samotne kobiety z takimi problemami. Wie, że nie dałaby sobie rady sama. Jest częścią układu, nie wyslizgnie się z niego. Nie ma jak, bo nie ma siły. Ale teraz się wyśpi, nareszcie.

A gdyby Tomek jednak zdecydował wtedy, trzydzieści lat temu, ożenić się z nią, a nie z tamtą drugą Danutą? Boże, jak go kochała. Teraz wie, że za bardzo, zbyt obłądnie. Nie wolno tak kochać. Ale jakie to słodkie. Przyjechał do niej z tego Szczytna dwa dni przed sylwestrem. Gdy zobaczyła go za drzwiami takiego ośnieżonego, zmarznętego, mało nie oszalała w zachwyty. Wtuliła się w niego i nie mogła ruszyć. Wtopiła się, a on w nią i gdyby nie schrypnięty głos ojca z głębi domu, a kogo tam znowu przywiał? staliby chyba tak całą noc. Zabrał ją potem szybko do domku letniskowego rodziców nad jeziorem, bo tam był alkohol i można go przywieźć na sylwestra. Tylko trzeba było się spieszyć, bo przecież godzina milicyjna. Nie mogła go puścić samego, ciągle się bała, że gdzieś zginie. Wszyscy się wtedy bali. Nic nie było wiadomo, czy to wojna, czy można normalnie żyć. Oni nie byli zbyt zaangażowani w politykę. Raczej z daleka przyglądali się z sympatią Solidarności. Bo miłość była ważna, studia.

No i pojechali do domku, autobusem, a potem przedzierali się przez śnieżne zasy, żeby się dwa dni kochać do nieprzytomności. Przypląnęła do niej fala podniecenia sprzed lat. Wtuliła się rozkosznie w kołdrę, pocałunki, które składał na jej ciele, znów rozpałały. Przeciągała się, wypełniała czułością. Jaki on był piękny i ona też. Przypomniła sobie zdjęcia z sylwestra. Taka śliczna z nich para. Upiła się wtedy, smarkuła, przewracała się, spadała ze schodów. On pilnował, że się jej nic nie stało. Kochał ją, wtedy kochał. Może nigdy nie przestał. Była jednak za oczywista, zbyt oddana. Wybrał tamtą. Ale nawet po ślubie, gdy się widzieli, wtulali się w siebie i płonęli pożądaniem. Zaczęła go unikać, to było nie do wytrzymania.

A teraz nawet nie wie, czy on żyje. Co robi, jakie ma dzieci, wnuki. Może i dobrze, że nie wie, został w niej taki piękny, a tamte pocałunki ciągle płoną na jej ciele, gdy o nim pomyśli.

4. 01. 2014 r.

PRZED DWORCEM W WENECJI

Będziemy wyjeżdżać.

Już.

Już?

Szkoda.

Dobrze było.

Jaki dzień?

Pełen.

Pełen wrażeń, widoków, ludzi, patrzeń.

Dobrze, że mieliśmy ten cypelek, mówi Ryszard.

Tam było niebo, morze, statki.

Kormoran był, mówię.

Odpoczęliśmy.

Wiesz, Kaziku, gdy jestem w takim dalekim świecie, patrzę na ludzi i jeśli przez mgnienie chociaż ktoś przypomni mi kogoś znajomego, to wysyłam temu znajomemu piękny widok myślami, teraz Ewę tego nauczyłam i razem tak robimy.

Dogadzasz sobie.

Dogadzam, bardzo to lubię.

No to popatrz, na tamtej ławce siedzi ten aktor, co grał w Lśnieniu Kubrika. W młodości. Jak on się nazywał.

Och, rzeczywiście. Zawsze mam jego nazwisko na końcu języka.

Ewo, jak się ten od Lśnienia nazywał.

Spytaj Ryśka.

A już wiem, Nickolson.

Patrzy na nas. Młody Nickolson.

Popatrz na tę dziewczynę, jakie śliczne tatuaże jej wystają ze wszystkich rękawów i nogawek. Wiją się roślinkami. Ładna taka.

A jej chłopak ma tylko kolczyk, śladu tatuażu. Ona ładna, nie słychać, jak mówią, czarnowłosa. Skąd mogą być?

Ma taką jasną karnację, chyba bardziej z północy.

Dziewczynka.

Ma plastikowy kubeczek, podbiega do fontanny, nabiera wody.

Zobacz, podlewa drzewka.

Małe dziewczynki mają mnóstwo roboty.

Trzeba podlać drzewka. Karmić ptaszki.

Gołębie, wróble, kosy, mazurki.

Ja nie chcę wyjeżdżać z Wenecji, chcę tu do końca życia! To Ewa.

Ja chcę już do domu, to Hania.

Kazik czyta Le Monde.

Ryszard czyta francuski kryminał.

Śmiejemy się, obrażamy.

Zastanawiamy, jak, gdzie, dlaczego.

Och, ajajaj. A niech to.

Świat. My.

Ten włóczęga idzie, co wtedy pytał, what come you from. Ale na Polonia, poszedł. Nie chciał gadać.

Moczył chustkę kolorową w fontannie, zwijał w teflin, na czole zawiązywał.

Potem znów moczył.

A potem zniknął.

Bo my na inną ławkę się zapatrzyliśmy.

Nie na ławkę, to mała dziewczynka pobiegła do swojej mamusi i po chwili obie schowały się za krzaczki.

Mamusia ją podniosła i mała zrobiła siusiu.

Nie patrzcie. Tylko my, babcie, możemy.

Teraz i my już czytamy.

Ja opowiadania Jonathana Carrola, Ewa Annę Bolecką.

Trochę niezadowolona, że upraszcza. Że ta okupacja u niej zbyt sielankowa.

Ja na Carrola też, że te opowiadania to tylko takie maźnięcia.

Że jego powieści to ach. Te jego spojrzenia z innych wymiarów. A tu tylko przedsmaki.

Każde prawie o rozpadającym się związku. Hm, musiał to przeżyć mocno. Tak pisze, jakby go dotyczyło. Autora, nie tylko narratora.

Nasz włóczęga wrócił.

Patrzcie, co robi.

Szykuje się do snu.

Postawił butelkę po winie.

Ma jeszcze łyka.

Nie, chyba pusta.

Zdjął buty.

Ojej, jakie ma poranione nogi!

Bo chodzi bez skarpetek.

Do fontanny z bosymi nogami.

Trochę się zatacza.

Dotarł.

Myje każdą. Starannie.

Wraca na palcach, żeby nie zabrudzić.

Umytych.

Teraz może się położyć. Umył nogi, może spać.

Położył się na boku. Śpi.

Od razu zasnął.

Po tym winie, z umyтыми nogami.

Śpi.

Niech śpi.

Kazik patrzy, on mi przypomina takiego aktora.

Bardzo dobrego polskiego aktora, o takim pospolitym wyglądzie.

No jak on się nazywa. Grał w filmie z dziewczynką.

Zamachowski?

No, jak śpi, wygląda jak Zamachowski.

Ewa, podobny do Zamachowskiego.

Czytamy.

Karabinieri.

Patrzcie, przyszli karabinierzy.

Idą do naszego Zamachowskiego. Ojej, chcą go obudzić.

Jeden go za ramię, ale nasz śpi.

Jej, żeby go nie budzili.

Odchodzą.

Odeszli.
 O, jak dobrze.
 Usłyszeli nasze achy, mówi Ewa
 Nie, zobaczcie, podchodzą znów.
 Niech go zostawia.
 Taki zmęczony, pijany, gdzie będzie łaził.
 Karabinier, ten wyższy, podchodzi zdecydowanym mocnym krokiem.
 Bierze butelkę, odwraca się
 i
 wyrzuca do śmieci.
 Śmiejemy się.
 Nasz włóczęga się wyśpi.
 A my na dworzec.
 Do pociągu.
 Arivederci !

SUKI

Zygmunt wtulił twarz w ciepłą sierść.

– Sunia moja kochana, milutka. Kocha swojego pana. Macha ślicznym ogonkiem, liże po nosie. Nie, nie wolno tak lizać. Spokojnie. Zakochasz ty mnie na śmierć. Postawił jamniczkę na podłodze, zagapił się w okno.

– A tamta suka tylko miłość udawała – powiedział do suni. – Była przecież dziewicą, jak się kochaliśmy po raz pierwszy. Powinna mnie uwielbiać, patrzeć na mnie z miłością. A ona. Tylko w łóżku. Tam była zachwycająca. Co ona wyrabiała! Szalałem po prostu za tym. Za nią. Cholera, a potem powiedziała, łączy nas tylko seks. To jest ważne, bo muszę się przygotować do życia. Chciała, suniu ty moja, nauczyć się wszystkiego ze mną, żeby innym dawać szczęście. Boże, jak ją kochałem, bezgranicznie. A ona tak mnie wykorzystwała.

Wstał i poszedł do łazienki. Piesek nie odstępował pana na krok.

– No popatrz na mnie – ciągnął dalej – przystojny jestem, cholera, nie? Widzisz?

Stał przed lustrem i uważnie się przyglądał. Swojej twarzy, włosom szyi, barkom, sprawdził muskuły, wypiął pierś. Zdecy-

dowanie było na co popatrzeć. Wysoki, no prawie wysoki, dobrze zbudowany – siłownia dwa razy w tygodniu; brunet, włosów miał zupełnie sporo, dobrze wygolony po bokach, czub ładnie udrapowany. Z brodą to nie wie, trochę zapuszcza, do trzech milimetrów, tak pochodzi ze trzy dni, potem goli przez dwa tygodnie i znów zapuszcza. Sprawdza na dziewczynach, czy się podoba. Jednej tak, innej nie. Bo z dziewczynami w zasadzie kłopotów nie ma. Są, jak się chce mieć na noc, czy do pubu. E tam, cholera z tym, tylko ta jedna suka. Jak sobie pomyśli, co ona mu robiła.

– Wiesz, Kamusiu, zaprosiłem ją kiedyś na obiad do pizzerii. Pierwsza wypłata, chcę dziewczynie zaimponować. Daję kartę, a ta po cenach leci i wybiera najdroższą. Nie: dziękuję ci ukochany, jak mi miło; tylko: wybrałam najdroższą, jak ty płacisz. Taka suka. Powinienem wyjść do ubikacji i nie wrócić. Ale ja tylko zacisnąłem zęby i płaciłem. Oczywiście ledwo skubnęła, bo niby o linię dbała, a jak powiedziałem, że zabierzemy ze sobą, to ona, że nie będziemy się poniżać. Wiedźma. Nie poniża się cudzym kosztem. A ja bym tak potem przy meczu w nocy zjadł. Bo mistrzostwa Europy były. Ciągle myślałem o tej pizzy zmarnowanej.

Poszedł po piwo do lodówki.

– W końcu Kamila wyjechała – kontynuował – do Irlandii. Trzy mejle dziennie słałem, o miłości, tęsknocie pisałem. A ona, że jakichś ludzi fajnych poznała, że pracuje u jakiejś staruszki, że w Polsce to życie do dupy i że jakiś Czech się znalazł. I ciągle mi o tym jakimś Czechu nawija, aż że z nim dziecko będzie miała. Cholera, Kamusiu, ty moja jedyna pociecho. Co za dziwka pieprzona. Suka podła. Serce mi złamała, podeptała wszystko, co jej dałem. Już dwa lata nie myślałem o niej, a teraz mi się przyśniła, nie wiem czemu. Włazłem w te mejle nieskasowane, a tam jej podłość wredna aż się leje z tych jej listów. Jak myślisz, suniu moja jedyna, czy jak napiszę i wywalę jej

wszystko, tak z grubej rury – otworzył drugie piwo – jaką podłą jest suka, to dobrze zrobię?

Wpatrzył się w brązowe, wierne oczy psa. Zaszczekała jego suka podniecona napięciem i oczekiwaniem pana. Wziął za potwierdzenie to psie szczekanie i zasiadł przed komputerem.

No i Kamila, stateczna matka dwojga dzieci, żona nudnego urzędnika z Inowrocławia, bo z tym Czechem to zdecydowanie była na krótko, dostanie list z dalekiej przeszłości o tym, jak złamała serce jednemu chłopakowi, którego już dawno nie wspomina nawet, bo to takie odległe i tak mało istotne. A teraz trzeba jakoś wiązać koniec z końcem, a dzieciaki ciągle chorują, a mąż popija i to życie takie udręczone. No i co ona z tym zrobi? Jak zareaguje?

Ciekawe.

Wiesława Owczarek KOCHANEK

Może nie powinna była podbiegać do drzwi. Poszło przecież o to, że szamotali się z zamkiem patentowym próbując otworzyć drzwi do mieszkania – Zyga stojąc na wycieraczce przed drzwiami przekręcał klucz w zamku i Misia podbiegła, by, słysząc podejrzaną odgłosy, również te drzwi otworzyć. Taki miała zamiar, tymczasem stali naprzeciw siebie odgrodzeni materią drzwi, manipulując zamkiem, kręcąc kluczem jedno w tę stronę, drugie w odwrotną. Wyszło na to, że Misia usilnie starała się nie dopuścić do tego, by drzwi stały otworem. Co tu dużo mówić – przytrzymywała zamek, by zyskać na czasie, aby mąż jak najpóźniej mógł dostać się do mieszkania.

Hanna Brakoniecka – olsztyńska literatka, rysownicza, blogerka. Autorka krótkich próz, monologów, scenek dramatycznych, które czyta w szkołach, bibliotekach, klubach, salach teatralnych – zwykle w towarzystwie muzycznym i śpiewaczym miejscowych artystów. Współzałożycielka, wraz z pisarką Justyną Artym, „Olsztyńskiego Literackiego Miesięcznika Mówionego”. Wydała z mężem Kazimierzem Brakonieckim książkę Kabra-Habra, na którą złożyły się jej satyryczne rysunki na temat ich pożycia oraz jego aforyzmy, a w 2014 zbiór próz Wjechał we mnie tramwaj, czyli 77 opowieści o miłości.

Mężowie jednak nie powinni bez uprzedzenia wracać wcześniej z pracy do domu, to przeważnie rodzi komplikacje i uruchamia bieg zupełnie nieprzewidywalnych zdarzeń. W umyśle Zygmunta zakiełkowało bowiem podejrzenie, że w mieszkaniu przebywa jakiś osobnik – kochanek, przyjaciel – w każdym razie ktoś, kogo nie należałoby nigdy w takiej sytuacji przedstawiać mężowi.

Oburzenie Zygmunta i jego nadmierna pewność, że oprócz żony w mieszkaniu przebywa jeszcze ktoś – przecież przytrzymywała zamek i starała się nie wpuścić męża zbyt szybko do mieszkania – wzrastało w miarę, jak poszukiwania ukrytego gdzieś kochanka – tak, tak, to musiał być kochanek – nie przynosiły spodziewanych rezultatów. Gdzieś tu musiał być i Zygmunt czuł już ciężar rogów, które zaczęły nieśmiało wypuszczać pędy w momencie szarpaniny z kluczem, a teraz, dorodne i bujne, zahaczały o żyrandol, nie mieściły się we framugach drzwi i wypełniały zalane słońcem pokoje.

Początkowe zdziwienie i zaskoplenie żony przerodziło się tymczasem w wesołość. Misia zaśmiewała się histerycznie. Stała w swoim poplamionym od nadmiaru owocowego dobrego fartuszku, już nie umordowana nawałem darów bożych kuchara, lecz bohaterka romansów, zła kobieta z kochankiem w tle, przeniewierczyni małżeńskiego szczęścia. Nie mogła pojąć tej nagłej zmiany roli, jaką zazwyczaj grała w swoim nieciekawym życiu, było to ponad jej rozumienie rzeczywistości. Wszystko stawało się nierealne, absurdalne i oglądała rozgrywające się przed jej oczami sceny jak kadry z wiejskiej komedii filmowej. Zyga tymczasem szalał.

Szafy, z których powyprowadzał wnętrzności, pokazywały swoją pustkę i nie było kogo z nich wywlec, obić komu mordy, rzucić do stóp zdradczyni.

Przyszła kolej na tapczany. Mąż dźwigał ich brzuchate, ciężkie pokrywy, zasapany i wściekły, bo oprócz pościeli i koców nie było w nich spodziewanego, smakowitego nadzienia.

Misi odechciało się śmiać.

Oto ona, Misia, gospodyni domowa zanurzona od tygodni w owocowych miążgach i pulpach, upychająca truskawki i agrest do słoików, z perspektywą wszystkich letnich i jesiennych owoców, które nieubłagane rośli i dojrzewały w ogrodach i sadach, a dochodziło do tego jeszcze runo leśne z całym swoim bogactwem wszelakich jagód, owoców i grzybów. Całe to bogactwo zmierzało w rytmie zmieniających się pór roku w stronę jej małej kuchni dźwigane w koszach i wiadrach przez zapobiegliwego małżonka – więc ona, Misia, królowa malin i porzeczek, buraczków i ogórków, władczyni rodzinnej spiżarni, stała się królową dramatu rodzinnego i zrozumiała, że kochanek już na zawsze zostanie z nimi, z nią i z jej mężem i żałowała, że go nigdy nie było, że w jej życiu nie istniał ktoś inny naprawdę.

Tymczasem główny korbowy tego całego owocowo-warzywnego przedsięwzięcia, ten, który wprawiał całą domową przetwórnę w ruch, miał w tej chwili inne zajęcie. Kręcił

właśnie inną korbą i napędzał zupełnie inny mechanizm, chociaż z taką samą rzetelnością i znawstwem tematu jak zawsze.

Zygmunt, nie znalazłszy nikogo, wpadł w jeszcze większą furję. Był pewien, czuł zapach tego trzeciego, nie mógł go tylko znaleźć.

Brodził w rozrzuconych po mieszkaniu ubraniach, pościeli, w tym wszystkim, co w szale powyrzucał z szaf. Wybiegł na balkon. Głośno rozważał możliwość desperackiego skoku intruza z trzeciego piętra. Nic się nie zgadzało, na dole brak było śladów po skoczku – samobójcy.

Wrócił do pokoju i po raz setny zapytywał przestraszoną już Miśkę – gdzie on jest, w jak przemyślny sposób został ukryty ten kochanek–schowanek, bo przecież musiał tu być, Zygmunt nie da z siebie zrobić frajera i nie myśli sobie, babo wiarałomna, że ci się to uda.

Jej zapewnienia, że nikogo obcego w ich mieszkaniu nie ma i nie było, że podejrzenia Zygmunta są śmieszne i że ją krzywdzą, kwitowane były pogardliwym prychnieniem, gadaniem o intuicji, która już od dawna dawała znaki, że coś niedobrego się dzieje, a intuicja, wiadomo, nigdy go nie zawiodła.

Zygmunt był bezradny i zły. Nie dopuszczał do siebie myśli, że się ośmieszył, wyszedł na durnia, nigdy by się do tego nie przyznał. Podświadomie to czuł i tym bardziej dokuczał żonie przekonując uparcie siebie, że coś jednak było, coś się działo za jego plecami i nareszcie wyszło to na jaw. Co prawda dowód był gdzieś schowany albo też sprytnie się ulotnił, co było w oczach Zygmunta większym przestępstwem niż zdrada. Gdzieś w tym małym mieszkaniu był jakiś zakamarek, jakaś niewidoczna dziupla, gdzie można było się schować. Tylko gdzie to jest? Dwa pokoje i kuchnia na trzecim piętrze miały swoją tajemnicę, a strażniczką tej tajemnicy była kobieta w poplamionym od nadmiaru letniej bujności owoców fartuszku, która między kompotem z truskawek a dżemem z czarnej porzeczki miała jeszcze czas, siły i fantazję, by, nie zdejmując tego fartuszka, figlować z kochankiem tuż przed powrotem męża z pracy.

Zasiedli do obiadu. Trochę spóźnionego. Trzeba było upchnąć wszystko z powrotem w szafach, pozbierać cały ten bałagan. Jego sprawca ani myślał pomóc w sprzątaniu. Ciągłe nadąsany i obrażony siedział przy stole i czekał na obiad. Należał mu się – po takim wysiłku Zygmunt był bardzo głodny.

Misia postawiła na blacie stołu trzecie nakrycie.

- Dla kogo to? – warknął mąż.
- Dla niego – odpowiedziała.
- Dla kogo? – ponowił pytanie, gotów podjąć od nowa walkę.

Misia pochyliła się nad stołem, oparła się o jego krawędź i zbliżyła swoją twarz do twarzy męża. Spojrzała mu w oczy i...czyżby dostrzegła w nich strach?

- Dla mojego kochanka – odpowiedziała wpatrując się w źrenice męża – powołałeś go do życia i tylko ty możesz go uśmiercić. Póki co, będzie z nami mieszkał, jadł, spał... Przecież nie dasz mi o nim zapomnieć. Będzie z nami tak długo, aż zrozumiesz, co mi zrobiłeś. Kiedyś może pojmiesz, jaki bywasz niesprawiedliwy. A więc jedzmy. Smacznego – tu Misia skinęła głową w stronę trzeciego talerza i usiadła. Jedli w trójkę w milczeniu.

Wiesława Owczarek

PANAMA

Bianka była damą. Każdy, kto znalazł się w kręgu jej zimnego blasku, nie miał wątpliwości – ta kobieta była gwiazdą i tak jak gwiazdy, odległe i niewiarygodne, wymagała uwagi i podziwu. Być może Maria nie wiedziałaby o jej istnieniu, bo przecież nie śledzimy zazwyczaj losów odległych słońc, gdyby nie to, że nieoczekiwanie Bianka wtargnęła w jej życie. Wyszła bowiem za mąż za ich dobrego znajomego, Henryka, kolegę męża Marii ze studiów. Henryk dosyć długo żył w kawalerskim stanie odpierając stanowczo zakusy kolejnych narzeczonych – aż do momentu spotkania Bianki. Tu nie mogło być mowy o narzeczeńskich fochach i Henryk stał się mężem kobiety, która jedno małżeństwo miała już za sobą. Chcąc nie chcąc wszyscy zainteresowani wsiedli na tę karuzelę, która zaczęła wirować w sobie właściwym tempie.

Ciche mieszkanie Henryka, gdzie tak miło znajomi spędzali czas popijając eleganckie trunki z jego barku, dostało się we władanie kobiety energicznej, która natychmiast zaczęła porządkować zastaną rzeczywistość według

własnych zasad. Przede wszystkim Henryk był zmuszony stawić czoła zastępom koleżanek i przyjaciółek żony, które wpadały co i rusz do nowożeńców, by podziwiać, zazdrościć, dawać dobre rady i cieszyć się szczęściem młodej pary. Były to adwokatki, dentystki, żony dyrektorów, głośne elegantki, pewne swoich racji, wyposażone w biżuterię i w makijaże tyleż odważne, co kosztowne. Nie było odwrotu. Maria i jej mąż nie mogli zostawić Henryka na żer temu stadu wron i stali się jego częścią.

Bianka była perfekcjonistką – każdy mebel, serwetka, obraz, bibelot, wszystko, co ją otaczało, musiało być jedyne w swoim rodzaju, najlepsze, wybrane według tylko jej znanych kryteriów. Zresztą Bianka też była jedyna w swoim rodzaju. Nikt nie miał tak ciemnych oczu, czarnych włosów, śniadej cery, delikatnych rysów twarzy, wdzięcznej sylwetki jak ona. Jej doskonałość musiała więc karmić się doskonałością świata, który wokół siebie stwarzała. Tak, Bianka była gwiazdą i, pewna swego uroku, patrzyła na wszystko z wyższością. Szaro-blond uroda Marii zniknęła w obecności tej kobiety i Maria miała wrażenie, że w tym blasku przestaje istnieć, że nie ma już imienia ani swoich pragnień.

Stroje Bianki oszałamiały – szyfony, bistory, jedwabie, ubrania na każdą porę dnia i nocy

– to wszystko wirowało kalejdoskopem barw, kroju, dodatków. Strój na narty? Proszę bardzo. Po nartach? Granatowa dzianina w zielone gwiazdy lub puszyste, białe wdzianko z angory doskonale współgrały z czasem, okolicznościami i z osobą. Wydawało się, że świat kocha Biankę i akceptuje wszystko, co ta kobieta sobą reprezentuje.

Maria stała gdzieś na poboczu tego towarzystwa, a głównym nurtem płynęła Bianka w asyście swoich wyszczekanych koleżanek i ich towarzyszy, całej galerii typów, którym się w życiu poszczęściło. Cierpiała, chciała bowiem być jak oni, mieć tę pewność i bezwzględność, które były ich siłą. Chciała być wroną ze złotym pierścionkiem w dziobie.

A jednak dane im było, dwom tak różnym istotom, spędzić trochę czasu w swoim towarzystwie. Świat pędził, wszystko ulegało przetasowaniu i pisany gdzieś scenariusz przewidywał dla nich rozdział pt.: Podróż.

– Jedź ze mną do Hiszpanii – powiedziała pewnego dnia proszącym tonem Bianka dotykając dłoni Marii.

Okazało się, że planowana z jedną ze znajomych wycieczka stanęła pod znakiem zapytania. Koleżanka znalazła się w szpitalu z jakimiś dolegliwościami i Bianka rozpaczliwie szukała zastępstwa.

– Jeżeli nie pojedziesz ty, będę musiała zrezygnować. Przepadną mi pieniądze, bo już wszystko opłaciłam. Sama nie chcę jechać.

Nie można było zostawić Bianki w tak kłopotliwej sytuacji. Maria zaczęła przygotowania. Nie była to jej pierwsza zagraniczna podróż, ale towarzystwo Bianki...

Bianka zaprosiła ją do siebie, by zademonstrować Marii garderobę, jaką zamierza zabrać ze sobą na wojaże. Otworzyły się przepastne szafy i Bianka wyciągała kolejne sztuki odzieży – jak się okazało – zakupionej w ciucholandach. Zapewniała Marię, że w podróży do tak ciepłego kraju, jakim jest Hiszpania, takie ubrania, niezbyt nowe i modne, sprawdzają się najlepiej. Na drugi dzień Maria przydzwignęła do domu efekt pospiesznej rundy po sklepach z używaną

odzieżą – stosik bluzeczek, szortów, długich spódnic. W czasie podróży mogła przekonać się, jak z niej zakpiono – Bianka brylowała w angielskich haftach, jedwabnych sukniach, a wszystko nowe, kupione specjalnie w celu oszołomienia otoczenia. Nie dowierzaj damom – powtarzała sobie Maria – bo zawsze będą chciały za damy uchodzić upokarzając przy okazji ciebie.

Pożądanym elementem garderoby był kapelusz. Hiszpania, kraj słoneczny, gorący – do Hiszpanii nie jechało się bez kapelusza. Maria przed wyjazdem wybrała się na miejscowy targ, by na jednym ze straganów w stosie słomkowych kapeluszy wybrać ten, który miał ją chronić przed słońcem. Kapelusz był twarzo- wy i ładny. Niedrogi.

Okazało się, że Bianka dysponuje prawdziwą panamą.

– Marysiu – mówiła już w czasie podróży obracając w dłoniach swój kapelusz – spójrz, to prawdziwa panama.

Na oko był to zwyczajny kapelusz. Maria jednak w czasie, gdy autokar pokonywał kolejne kilometry, wysłuchiwała opowieści o wyższości kapelusza typu panama nad wszystkimi innymi kapeluszami. Maria wiedziała jedno – takich kapeluszy w obronie przed słońcem używali budowniczowie kanału panamskiego, a więc byłby to kapelusz przeznaczony dla mężczyzn. Nie protestowała jednak, niech już będzie, że panama to ósmy cud świata.

Podróż przebiegała południowym wybrzeżem Francji. Było coraz cieplej. Wyprawa dojechała do rzeki Rodan i pasażerowie wysiedli, by obejrzeć most na rzece, akwedukty, jakieś ruiny. Powietrze było rozgrzane, gdzieś z boku dochodził szum płynącej wody. Sporo osób wystroiło się w kapelusze, które do tej pory podróżowały na półkach bagażowych. Bianka założyła swoją panamę, Maria wstydliwie wcisnęła na głowę kapelusik (mój Boże, gdzież mu do panamy!). Wyszły z autokaru i skierowały się w stronę małej grupki współtowarzyszy podróży.

– Spójrz – mówiła Bianka – jakie kapelusze mają ci ludzie. To takie zwykłe, kupione gdzieś

na targu za parę złotych. A mój – tu dotknęła runda – to prawdziwa panama.

Marii zrobiło się niewyraźnie. Jej kapelusz też był kupiony na targu i też za parę złotych.

Czekając na maruderów rozmawiano o tym i owym. Kapelusz jednej z pań wzbudził zainteresowanie. Rzeczywiście, był szykowny, z dużym, czerwonym makiem przypiętym do runda.

– Wspaniały pomysł – rzekła jedna z podróżniczek – niby taki zwykły, ale z tym kwiatem...

– Ależ proszę pani – Bianka nie mogła znieść ignorancji towarzystwa – proszę spojrzeć, mój kapelusz to oryginalna panama – tu zdjęła nakrycie głowy – tu chyba nikt nie ma takiego. O, proszę...

Demonstracja nie wzbudziła oczekiwanego zainteresowania i Bianka galopowała dalej:

– Ale to nie wszystko. Proszę zobaczyć, tu jest taka specjalna gumeczka. Trzeba wiedzieć, gdzie ją przymocować, w których punktach. Trzeba to umieć obliczyć, nie każdy to potrafi. Ja jestem matematyczką, więc... – tu zaśmiała się – mojego kapelusza żaden wiatr nie zerwie z głowy.

Towarzystwo lekko się zmieszało. Nikt nie miał gumeczki przymocowanej do kapelusza w odpowiednich, specjalnie obliczonych punktach i wizja utraty nawet najtańszego kapelusza zwarzyła wszystkim humory.

Ruszono w stronę mostu. Po prawej stronie szumiał Rodan, między konarami drzew majaczyły ażurowe konstrukcje akweduktu.

Na moście było pięknie. Spacerowano z jednego brzegu na drugi, oglądano ruiny jakiejś budowli. Dołem płynęła wartkim nurtem rzeka, a ponad tym wszystkim, równolegle do mostu, piętrzyły się akwedukty, które zawsze wyglądają równie niewiarygodnie.

– Zrobię ci zdjęcie – powiedziała Bianka – oprzyj się o balustradę, o tak, głowa trochę w bok, będzie widać rzekę – instruowała Marię nastawiając aparat.

Maria przyjęła odpowiednią pozę, z uśmiechem spojrzała na wznoszący się przed nią akwedukt z nadzieją, że zostanie on uwieczniony w jej spojrzeniu i w ten sposób, magiczny i niedopowiedziany, zostanie z nią na zawsze. Bianka nastawiła aparat i... jak beżowy, bezszelestny nietoperz panama uniosła się ponad jej głową, przeleciała nad Marią i zatoczywszy łagodny łuk nad rzeką Rodan przepadła w przybrzeżnych drzewach.

Maria stała z uśmiechem, z powidokiem akweduktu w oczach i, odwracając powoli głowę, śledziła lot wspaniałego nakrycia głowy, które poszybowało, wolne i beczelne, w kierunku, które nadał mu wiatr. Bianka stała zaskoczona, bez kapelusza na głowie, nagle bezradna, jak gdyby wraz z panamą odleciała jej pewność siebie.

„Bianka... przecież to zwyczajna Janka, tylko każe się tak wymyślnie nazywać” – przemknęło przez głowę Marii. Ta prawda była jej znana od dawna, poddawała się jednak nabożeństwu, z jakim znajomi traktowali żonę ich kolegi.

– Biegiem w dół! – oprzytomniała – On gdzieś tam jest. Znajdziemy go, nie martw się.

I rzeczywiście. Kapelusz przysiadł na jednym z drzew, niezbyt wysoko, ale musiały posłużyć się znalezionym drągiem, by po kilku podskokach strącić go na ziemię.

Wracano powoli do autokaru. Żegnał ich szum rzeki. Jeszcze ostatnie spojrzenie na akwedukty. Bianka niosła panamę w ręce, jakby bała się założyć go na głowę. Gumeczki (przymocowane w odpowiednio wytyczonych punktach) smętnie dyndały.

Maria idąc myślała o tym, że pycha została ukarana. Czy Bianka zrozumiała cokolwiek z tego, co się wydarzyło? Niektórzy ludzie są tak zakochani w sobie, że świat niczego nie jest w stanie ich nauczyć. Oni zawsze muszą mieć panamę na głowie, nawet wtedy, gdy wiatr będzie im ją strącał, tak, jak strąca zwykłym ludziom ich zwykłe, tanie kapelusze.

Ida Jadwiga Łubińska

W CIENIU EUKALIPTUSÓW

Beata usadowiła się na płaskim głazie. Zanim rozłożyła na kamiennym siedzisku sweter, dokładnie obejrzała miejsce. Poprzedniego dnia Jacek przypadkiem zauważył, że dzieli spróchniały pniak z wężem. W australijskim buszu, na pograniczu Nowej Południowej Walii i stanu Queensland, występuje niezwykle bogata flora i fauna. Liczne gatunki węży, także jadowitych, kryją się w gęstych zaroślach, pod kamieniami... Należy być ostrożnym i przezornie sprawdzać, czy w pobliżu nie gnieździ się jakaś podstępna istota. Zwłaszcza że Beata lubi w tym ustroju przesiadywać, zapatrzeć się przed siebie.

Przed nią rozciąga się zielona dolina. Z tyłu oparcie dają smukłe, aromatyczne eukaliptusy i kwieciste zarośla niecierpków i begonii. Tworzą drzewiaste, kolorowe kępy. Na horyzoncie góra Warning z wiszącą nad szczytem chmurką. Nawet gdy niebo jest bezchmurne, „Łapacz Chmur”, jak nazywa się też górę, więzi jakiś obłok. Zbocza porastają lasy deszczowe. To miejsce jest częścią Narodowego Parku Gondwana Rainforest. W Australii dopiero co ustąpiła pora deszczowa, zapachniało wiosną. W jej ojczyźnie, w Polsce, złoci się jesień.

Uroda tego miejsca sprawiła, że wybrała je sobie do codziennych praktyk medytacyjnych. Wokół cisza, wręcz nierealna. Jeszcze nie ugruntowała w sobie kontemplacyjnej dyscypliny. Nieproszone myśli wślizgują się do umysłu.

Nie planowała tej podróży. Zaledwie przed kilkoma miesiącami wprowadziła się z mężem do nowego mieszkania. Wydatki związane z zakupem i urządzaniem własnego lokum pochłonęły oszczędności i wszelkie dostępne źródła finansowania. Beata nie do-

puszczała nawet marzeń o egzotycznej wyprawie. Za to koledzy z kursu często i żywo o planach wyjazdowych rozprawiali, gremialnie umawiając się na podróż do Australii.

Wydarzenia potoczyły się lawinowo. Najpierw sesja rebirthingowa. Zobaczyła w niej mroczny, tropikalny las z kryjącym się za pnem drzewa małym torbaczem – koalą. Obrazy wolno przesuwwały się na ekranie wizji, wśród nich skromne, niczym niewyróżniające się drewniane domki w otoczeniu buszu. Beata przeczuwała, że ma to związek z planowaną przez organizatorów warsztatów wyprawą na Antypody. Kiedy po zajęciach relacjonowała współuczestnikom swoje widzenie, z pobłażaniem słuchali naiwnie brzmiącej opowieści. I chyba rzeczywiście tak brzmiała.

Kilka godzin później przeglądała leżące na stoliku pismo. Był tam reportaż z ośrodka szkoleniowego w samym sercu australijskiego buszu. Rzut oka na zdjęcia i zaskoczenie. Z wrażenia usiadła na krześle. W tropikalnym gąszczu domki takie, jakie ujrzała podczas sesji. Dokładnie je zapamiętała. To punkt docelowy podróży. Odczuła to jak dotyk nieznanego. Zwierzyła się przyjaciółom z przekazu, który był kopią zdjęć w gazecie. Teraz słuchali jej wynurzeń uważnie i z powagą. Jacek, jakby mimochodem, rzucił:

– To szykuj się do wyjazdu. Jeśli masz problemy finansowe, służę pożyczką. I dodał: – A oddasz, kiedy będziesz mogła. Nie musisz się spieszyć!

Zamilkła. Nikt dotąd nie proponował jej ot tak, sam od siebie, pieniędzy. W dodatku dużej kwoty. W głowie pobrzmiwał jeszcze czytany na rozpoczęcie dnia cytat z „Księgi Cudów”: *„Jeśli rozpoznasz, że jest to twoja praca, nie będzie to trudne. W zamyśle Boga bowiem nie ma przeszkód”*.

Chwilę dumiała, rozważała wszystkie za i przeciw. Chociaż żal ściszał jej serce, zdecydowała:

– Kochani, przykro mi, ale teraz zwyczajnie nie stać mnie na tę podróż, na żadną podróż!

Spojrzała w stronę Jacka, położyła rękę na jego dłoni:

– Dziękuję ci, z całego serca dziękuję! – powiedziała.

Minał jeden miesiąc, kolejny. Przyjaciółka z pracy, Ania, emocjonalnie komentowała jej rozterki:

– Gdybym ja czegoś takiego doświadczyła, stanęłabym na głowie i coś bym wymyśliła, żeby pojechać. Także Wojtek, jej mąż zaczął rozważać opcję wyjazdu.

– Jeśli Jacek rzeczywiście chce ci pożyczyć pieniądze, to skorzystaj z okazji. W ciągu roku na pewno uda się nam go spłacić, może szybciej.

Potrzeba było jej takich zachęt. Gdzieś głęboko, w podświadomości, zakorzeniło się przekonanie, że te dziwne spłoty zdarzeń to znak, swoiste zaproszenie. Za wyjazdem przemawiały jeszcze inne argumenty. Wyjazd na szkolenie pozwoli jej udoskonalić warsztat badawczy, poznać nowatorskie metody pracy z klientem. Psychologia jest nauką empiryczną i trzeba na bieżąco śledzić najnowsze trendy. Australijski ośrodek ma znakomite rekomendacje. No i te dodatkowe, wpisane w pobyt, wycieczki krajoznawcze.

Wreszcie decyzja! Jedzie! Trzeba się spieszyć. Do daty wyjazdu niespełna miesiąc. Telefony, przelewy. Jeszcze wiza. W drodze do ambasady australijskiej – nieprzewidziane przeszkody. Dociera spóźniona, kilka minut po godzinach przyjęć interesantów. Ale udaje się. Załatwia wszystko za jednym razem. I utwierdza się w przekonaniu, że to dla niej ważna podróż.

Odlot z Warszawy. Międzyrządowania w Brukseli i Seoulu.

W samolocie Korean Air gubi dokumenty. Ze zdenerwowania wręcz słabnie. – Czy

przyczyną jest moje rozkojarzenie, czy to błąkające się jeszcze po umyśle poczucie winy? Beata gorączkowo zadaje sobie pytania, od nowa przeszukując torbę.

W Seoulu, w czasie przesiadania się na docelowy lot do Australii, zapowiadają się najprawdziwsze kłopoty! W rękawie korytarza wiodącego z samolotu do punktu kontrolnego zwalnia, próbuje coś wymyślić, ułożyć po angielsku swoją kwestię. Chwilę później – problem znika. Kolorowo ubrany pasażer wymachuje w powietrzu ręką z jej paszportem. Oddycha z ulgą.

Po trzydziestu sześciu godzinach podniebnej podróży, Brisbane wita polską grupę tęczowym łukiem. A stojąca przy wyjściu z lotniska lawendowo-niebieska jacaranda wiotkimi kwiatami i liśćmi nisko się kłania.

Kaivalya Meru leży w głębokim buszu. Wraz z czterema znajomymi Beata zostaje zakwaterowana w bibliotece głównego budynku, która na czas ich pobytu zamienia się w sypialnię. To dom, który ujrzała w swojej wizji.

Odtwarza w pamięci tamten czas, a przecież miała medytować, skupić się na pozbawionej myśli pustce. Teraz nie jest łatwo. Busz prezentuje inne oblicze. Zamiast ciszy – hałaśliwe dźwięki. Kolibry tuż nad głową trzepoczą skrzydełkami, papugi niemiłosiernie wrzeszczą. To można jeszcze wytrzymać. Ale cykady jednostajnym, wysokim „C” wwiercają się do głowy. Trzeba zatykać uszy, dopóki nie zakończą zalotów.

Za plecami szelest. To Henia i Linda milcząc przysiadają na głazie. Zanim usiadły, podobnie jak Beata, dokładnie sprawdziły kamień i jego otoczenie. Henia panicznie boi się pajaków. A te są wszechobecne. Małe i duże. Wśród nich skorpiony i największe i najbardziej jadowite *funnel-web spiders*.

Krajobraz hipnotyzuje. W bok od „Łapacza Chmur”, w dalszej perspektywie, widać błękitne pasmo górskie. Na pierwszym pla-

nie spowita porannymi mgłami „Strażniczka gór” albo inaczej Aborygenka. Miejscowi mówią, że góra ta ma niezwykłą moc.

Historia duchowa Australii sięga sześćdziesięciu tysięcy lat. Filozofia egzystencji jej mieszkańców polegała na harmonijnym współistnieniu świata ludzi i świata przyrody. Na szacunku dla ziemi i dla drugiego człowieka. Biali przybyli nieco więcej niż 200 lat temu, jako zdobywcy i intruzi. Nie byli świadomi, że mogą tu czegoś nauczyć się. Dopiero teraz następuje wymiana myśli i doświadczeń z rdzenną ludnością. I padają słowa przeprosin za wiele zła i spustoszeń, które spowodowali.

Kobiety bez słowa, prawie jednocześnie podnoszą się; smukła, wysoka Henia, delikatna i krucha, z długimi blond włosami Linda i ciemna, ruchliwa, nieduża Beata. Wolny czas skończył się. Kolejne godziny to karma joga, prace wykonywane na rzecz ośrodka i uczestników. Idą chętnie, bo wiedzą, że życie we wspólnocie nakłada na każdego konkretne obowiązki. I że to ma sens.

W obszernej kuchni rejdach. Nona, przy centralnym blacie, rozdziela zajęcia i wiktuały. Praca niby wre, ale jak w każdej większej zbiorowości, gdy spotkają się ludzie o różnych światopoglądach, tradycji, temperamentach, rodzą się też pretensje i żale. Właśnie teraz wyrzucane są i niczym torpedy trafiają w adresata. Takie sytuacje wywołują silne napięcia.

– Kiedy wreszcie wyjaśni się te wszystkie nieporozumienia, emocje rozładują się – obierając i krojąc marchewki pociesza się Beata – sytuacja uzdrowi się. – Czy na pewno?

Nie zdążyła sobie odpowiedzieć, gdy bezpośrednio uderzyły w nią słowa krytyki. Najpierw od Agnieszki, że ma nieszczerzy, jakby przyklejony do twarzy uśmiešek. Westchnęła głęboko, bo taka ocena zabolęła. – Mam pozytywne nastawienie do ludzi, lubię ich – broni się w myślach. Ale chwilę później

dosięga ją cięższy kaliber. Karina, urażonym tonem, zarzuca jej lekceważenie i wzgardę, jakie od niej odbiera. Zaniemówiła z wrażeń. Czuje, jakby uchodziło z niej powietrze. – To przecież od Kariny wieje chłodem, jest wyniosła i protekcyjna ... i odcina się od grupy. – W ogóle mnie nie zauważa – rozpamiętuje. Ale nie ma ani ochoty, ani siły, żeby wyjaśniać, zaprzeczać, może jeszcze tłumaczyć się.

Na szczęście uwaga grupy zostaje przeniesiona na kolejną osobę.

– Pozwoliłam zabrać sobie energię – bezgłośnie skarży się. Kontakty z Kariną postrzega zupełnie inaczej. – Czy to ja mam coś do przerobienia? – zastanawia się. – Może we mnie tkwi jakaś, nie do końca świadoma uraza, która mnie oddziela od Kariny?

Cóż, życie we wspólnocie, to też umiejętność bycia w przyjaznej, a przynajmniej poprawnej relacji z innymi. Tylko jak stworzyć bezpieczną przestrzeń w takim emocjonalnym tyglu? Na co dzień omija nieprzychylnych jej ludzi. Tu nie jest to możliwe. Beata opuściła jeszcze niżej głowę, posmutniała. Brakuje jej wsparcia bliskich. Zatęskniła za domem, za Wojtkiem.

Wspinają się na Warning. Góra jak zwykle spowita jest w obłoku mgieł. Do szczytu osiem i pół kilometra przez deszczowy, wiecznie zielony las. Mijane po drodze drzewa wzrostem kojarzą się z drapaczami chmur. Trzeba zadzierać wysoko głowę, żeby wypatrzeć wierzchołek. Megan, dyrektorka ich ośrodka uważa, że w Europie o przeszłości najlepiej opowiadają zabytki, w Australii, niczym nieskażona przyroda.

Po drodze kamienne podesty. Wzdłuż ścieżki, kołysząc się, szumią potężne palmy, eukaliptusy i drzewa, których Beata nie umie nazwać. Głębiej walają się stare, spróchniałe pnie. Mijają źródła, strumyczki, wodospady. Obecność człowieka nie naruszyła tego biosystemu.

Na szlaku nie widać koszy na śmieci, ale też nie wypatrzy się małego papierka ani niedopałka papierosa. Z parku przyrody nie wolno wynieść nawet szyszki. To budzi szacunek. I pytanie. Ilu lat potrzeba, by tak wyedukować społeczeństwo?

Na ścieżce wije się wąż. Beata omija go szerokim łukiem. W niższych partiach kręciły się jeszcze dzikie indyki i krzykliwe pawie. Towarzystwo pnie się w górę. Coraz wyżej i bardziej stromo. Z nieba leje się żar, a przecież to dopiero wczesna wiosna. Beata idzie własnym tempem. Jest jej coraz trudniej. Kostka u nogi boleśnie pulsuje. Koleżanki, cała grupa już ją wyprzedziły. Australijczycy są bardzo uprzejmi. Kilku z mijających ją mężczyzn, widząc, jak wlecze się i utyka na nogę, pyta, czy może jej pomóc.

– Nie, dziękuję! – odpowiada.

Zaczyna ją to irytować, mobilizuje się i przyspiesza kroku. Wysoka temperatura, zmęczenie powodują, że znów zwalnia, na chwilę przystaje.

Do szczytu zostało około stu metrów. Ostatni etap to wspinaczka z pomocą łańcuchów po skalistych blokach. Pokonuje go resztkami sił. Na dotarcie do celu przeznaczono około trzech godzin. Rozgląda się, stara utrwalić w pamięci aurę tego miejsca: szeroki horyzont, łagodne podmuchy powietrza, zawrota wiatru.

A już zewsząd dobiegają nawoływania do powrotu! Przyjaciółki zrelaksowane i roześmiane schodzą łatwo i szybko. Beata tylko wzdycha, kostka u nogi doskwiera coraz boleśniej.

Codziennie zajęcia terapeutyczne. W rogach przestronnej sali seminaryjnej ustawione są sterty materaców do sesji i mat do ćwiczeń. Ośrodek promuje nie tylko akademickie standardy. W swoim programie sięga po niekonwencjonalne metody. Tak jak teraz. Uczestnicy testują je w praktyce. W podwójnej roli: terapeuty i pacjenta.

Sesja z Bertem. To przystojny Niemiec. Kiedy Beata rozgląda się po sali w poszukiwaniu partnera do pracy, ich spojrzenia spotykają się i zatrzymują na dłużej. Poczula silny wewnętrzny impuls. Przecież mówi się, że oczy są zwierciadłem duszy. Wcześniej nie zauważała go, nie znała. Czy to moc myśli tak działa, że podszedł do niej ze swoim tematem?

Beata zna niemiecki. Ale takie interakcje wymagają dużego wycucia językowego. Na planie mentalnym stoczyła z sobą dialog. Czy da radę? Nadal waha się. Teraz rozmawiają, dzieli się wątpliwościami. Bert wyluszcza swoją kwestię. chce dotrzeć do źródła swoich problemów. Bardziej niż dyskursu – potrzebuje wsparcia, obecności drugiej osoby. Jego determinacja sprawia, że siadają do zdefiniowania tematu, a potem do pracy z nim.

Sesja długa i trudna. Bert obnażył cały bagaż sprzeczności, wątpliwości. Dotarł do traumatycznych wydarzeń z czasów szkolnych, które wyparł ze swojej pamięci. Beata poczuła szczególną sympatię do niego i jego starań, by przybliżyć się do wewnętrznej prawdy, uporządkować życie. Szybko ją zagłusza. Musi zachować zawodowy dystans i empatię dla każdej ze stron narastającego konfliktu. Bo konflikt jest! A bezstronność i neutralność – to, po kompetencjach, podstawowe zasady zawodu terapeuty.

Przygląda mu się. Kiedy leży na materacu widać, jaki jest długi. Stopy i głowa wystają poza jego obrys. Regularne rysy okala gęsty zarost. Bert jeszcze niedawno był gwiazdą sportu. Nadal jest niebywale silny, sprawny fizycznie, a jednocześnie wydaje się taki... bezbronny.

W ośrodku przebywa ze swoją partnerką Gerdą. Podczas gdy pozostali uczestnicy kursu mieszkają w prostych, surowych budynkach, oni na czas pobytu zostali zakwaterowani w domku na drzewie, z widokiem na niewielki, zrosnięty bladoróżowymi lotosami staw. Drzewo, na którym rezydują, jest monstrealne.

Bert i Gerda są trzydziestolatkami. Wyso-
cy, szczupli, z ciemnymi, długimi włosami,
są do siebie podobni jak brat i siostra. Ger-
da jest w ciąży, ale jeszcze nic w jej sylwetce
nie wskazuje na odmienny stan. Romantyzm
gniazdka nie wpływa na relacje między nimi.
Nie zauważa się czułych gestów, przytuleń.
Stale sprzeczą się. I osobno chodzą.

Jest późna noc. Beata nie może za-
snąć, przewraca z boku na bok. Żeby nie
przeszkadzać współtowarzyszom, cichut-
ko, z dwoma kocami wychodzi z pokoju
na drewniany taras. W dzień słońce inten-
sywnie grzało, teraz jest przenikliwe zim-
no. W salce, w której śpią, wrażenie chłodu
potęgują uchylone okna. Zakutana w grube
płedy Beata pogrąża się w myślach... Gwał-
townie coś ją przestrasza. Dopiero wtedy
orientuje się, że zasnęła. Ciało zeszywniało.
Wyplątuje się z koców, żeby rozprostować
ręce i nogi. Niebo jaśniej porannym brza-
skiem. Po chwili wyczuwa czyjaś obecność.
Wpatruje się w błądy świt. W odległości
trzydziestu metrów, na linii drzew, przycza-
jona parka kangurów. Stoją i patrzą. – Może
też wydają się im interesująca – mimo woli
uśmiecha się.

Na kontynencie australijskim żyje trzy-
krotnie więcej kangurów niż ludzi. Niektóre
regiony mają problem z niekontrolowane
rozrastającą się populacją tych zwierząt.
W tej okolicy są zauważalne. Ciekawskie,
ale i ostrożne. Nie zbliżają się do ludzi. Za-
wsze utrzymują dystans. Gwałtowny ruch –
i płoszą się.

Z nazwą kangur związana jest pewna za-
bawna anegdota, którą usłyszała. – A może
to prawdziwa historia – zamyśla się? Kiedy
James Cook przebył do Australii zacieka-
wiło go nieznane mu wcześniej skaczące zwierzę,
zapytał napotkanego aborygena, jak się na-
zywa się to stworzenie. Kangaroo – usłyszał
w odpowiedzi. W języku tubylca znaczyło
to: nie rozumiem cię. Nazwa pozostała.

Podróżują nad ocean, na Cape Byron,
najdalej na wschód Australii wysunięty skra-
wek ziemi. Nazwę nadał przyłaskowi jego
odkrywca, kapitan James Cook. Na cześć
badacza i oficera swojego statku, Johna By-
rona, dziadka sławnego angielskiego poety
– Georga.

Autostrada wiedzie wzdłuż wybrzeża Pa-
cyfiku. Po drugiej stronie drogi połacie ziemi
obsadzone trzcina cukrową. W oddali maja-
czy już linia brzegowa cypla.

Teraz idą gromadą brzegiem biało-złotej,
szerokiej plaży. Powietrze krystalicznie prze-
rzyste. Grupa plażowiczów radośnie coś wy-
krzykuje. Beata spogląda w kierunku ich wy-
ciągniętych rąk. Dostrzega stado bawiących
się delfinów. Popisują się coraz wyższymi
skokami, jakby wiedziały, że mają widzów.
W miejscu ich igraszek ocean jest spieniony,
rozedrgany. Na muzykę oceanu nakłada się
ich melodyjny śpiew.

Nieco z boku – wysoka skarpa, a na jej
szczycie, na tle oceanicznego antracytu, rysu-
je się biały mur strzelistej, zabytkowej latarni
morskiej. Droga do niej kręta i stroma. Wraz
z zapadnięciem zmroku nadal wysyła sygnały
światłne dla znajdujących się w tym rejonie
oceanu statków. Ale teraz jest przedpołudnie
i z cypla rozpościera się, zapierający dech
w piersiach widok na całą zatokę, szerokie
plaże i strome, skaliste wybrzeże. Beata z Lin-
dą, zapatrzone w dal, przysiadają na ławce.

Trochę później, w dół skalistego klifu, wą-
skimi schodkami pojedynczo schodzą Linda,
Danka, Henia, Jacek i Beata. W przeciwną
stronę, na górę wbiega Bert. Dwie osoby
z trudem mieszczą się na podeście. Przy mi-
janiu musiał zwolnić, przystanąć. Beata idzie
ostatnia. Zauważają się. Bert, z szelmowską
miną podnosi drobnutką Beatę i stawia
na niższym schodku. Rozbawiło to pozosta-
łych, a ona spieszyła się jak mała dziewczynka.
Żeby zatrzeć to wrażenie, zagaduje do przy-
jaciół. Jej głos ginie w huku fal, odbijających
się od przybrzeżnych skał.

Ta piątka trzyma się razem. Dzielą sypialnię, ale też lubią się i chętnie spędzają wolny czas.

Na plaży seria zdjęć. Trochę się wygłupiają, robią śmieszne miny i pozy. Nagrzany, lśniący złotymi drobkami piasek kusi, by trochę poleniuchować. Przyjemnie jest wyciągnąć się i poleżeć na nim. Właśnie tak!

Przed nimi – panorama z wynurzającymi się z oceanu skałami o nazwie Julian's Rocks. Aborygeńska legenda głosi, że to para zakochanych, która przed wiekami wypłynęła na ocean, gdy plemię sprzeciwiało się ich związkowi. Dobre duchy ulitowały się nad kochankami i żeby ich nie rozdzielać, zamieniły w skały.

Z przylądka wloką się, krok po kroku rozległą plażą w stronę Byron Bay, niewielkiego wypoczynkowego miasteczka. Są znużeni upałem. Gorący piach masuje stopy, a powiewy wiatru od oceanu łagodzą uciążliwości słonecznego żaru. Zatrzymują się w pierwszej napotkanej kawiarence. Zamówienia to lody, soki i kawa. Łapczywie połykają płyny. Wszystkim bardzo się już pić chciało.

Teraz rozglądają się. Uliczki Byron Bay bez czytelnego konceptu architektonicznego. Kamieniczki nieduże, frontony nieciekawe. Przy centralnym deptaku – liczne puby i sklepy nastawione głównie na turystów: z pamiątkami, ze sprzętem do nurkowania i do surfingu, ze strojami i akcesoriami do pływania.

W dużym domu handlowym kierują się do stoiska z instrumentami. No proszę, przy ladach znajomi z Kaivalya Meru, także zainteresowani kupnem drewnianej australijskiej tuby. Beatę zafascynowało *didgeridoo*. Chciałaby przywieźć sobie taką pamiątkę. Australijka Sally kilka razy dawała krótkie koncerty na tym instrumencie. Na półkach imponujący ich wybór. Rozpiętość cen też duża. Jacek negocjuje kwotę z właścicielem.

Beata odchodzi na bok, a potem na zewnątrz. Czuje pętlę ograniczeń finansowych. Zbiera jej się na płacz. Zachowuję się jak małolata – ze złością myśli o sobie. Nie chce pokazać przyjacielom swojego żalu. Spaceruje w jedną stronę ulicy i z powrotem. Jeszcze raz i jeszcze. To wycisza.

Ze sklepu wychodzą rozświergotani. Jacek z dumą dźwiga pięknie zdobioną w etniczne wzory półtorametrową rurę. *Didgeridoo*, zgodnie z tradycją, robione jest z lokalnych odmian eukaliptusa, zazwyczaj z głównego pnia wyjedzonego w środku przez termyty. Ale to najdoskonalsze wersje. Obecnie zdarzają się plastikowe namiastki. Jacka egzemplarz chyba z środkowej półki.

Beata odgania ponure myśli i włącza się w spacer po ulicach miasteczka. Co parę metrów popisuje się zespół muzyków lub akrobatów, dalej mimowie, jeszcze dalej wystawiają swoje prace malarze. Byron Bay, jest mekką dla wielbicieli surfingu i artystów. Najbardziej znanym mieszkańcem jest tu Paul Hogan, sławny na świecie jako *Krokodyl Dundee*.

Zatrzymują się przy młodym artyście z jasnymi kędziorami. Siedząc na trotuarze szybkimi, wprawnymi ruchami maluje napisy. Najczęściej imiona. Litera przypomina egzotyczne kwiaty, ptaki, liście, czasem rybki, co mu inwencja w danym momencie podpowiada. Spodobały się i są niedrogie. W Polsce nie ma takich suwenirów. Wszyscy zamawiają jakieś słowo. Beata na kremowym kartonie ma wymalowane cienkim pędzlem, w zielono pomarańczowej tonacji, swoje imię.

Czas coś przekąsić. Wegetariański naleśnik w pobliskim barze i sok ze świeżych owoców zaspokajają głód.

Nieco dalej, przy głównej ulicy, duży jubilerski salon. Wystawa. Zatrzymali się. Przed wejściem Jacek marudzi; że późno, że zaraz będzie ciemno, że trzeba wracać. Ale dziewczyny już są w środku.

Sporo słyszeli o miejscowych opalach. Są przecież uznawane za oficjalne bogactwo Australii. Lecz tak niezwykle okazów, jak te w witrynach, nie widzieli. W sklepie jest właściciel. Widząc zainteresowanie cudzoziemców, chętnie opowiada o australijskich skarbach. Na dłoni Lindy kładzie kolorowy kamyczek pytając, czy coś czuje. Tak, odpowiada Linda, ciepło, wibrację... Zastanawia się jeszcze. Henia i Beata też sprawdzają i próbują opisać swoje wrażenia.

Na świecie niewiele jest takich kopalni. Wydobywa się je w nielicznych miejscach w tej części Australii. Zazwyczaj w kopalniach odkrywkowych, ręcznie, przy użyciu prostych narzędzi, co wymaga dużego wysiłku fizycznego górników. Albo w trudno dostępnych tunelach, z pomocą niedużych maszyn. To zapewne jest jednym z powodów, że złoża eksploatowane są na niewielką skalę.

Opale wyglądają jak orzechy. Kuliste i eliptyczne okazy umiejętnie przecięte odsłaniają niepowtarzalne, kolorowe obrazki. Każdy jest inny. Wartość kamieni zależy od ich wielkości, zabarwienia, wzoru oraz tzw. gry barw (opalescencji). To efekt, który powoduje, że koncentryczne pierścienie mieniają się tęczą barw, kiedy indziej lśnią jak gwiazdy na niebie. Są klejnoty w odcieniach szafiru, zieleni, złota. Najcenniejsze są czarne opale, gdyż ciemne tło najlepiej uwidacznia barwne refleksy świetlne.

Na ścianie salonu wisi duża praca sławnej aborygeńskiej malarki. Opalowe motywy są tematem jej dzieł, uznanych i poszukiwanych. Tak jak pierwowzory.

Właściciel, pan Bob, szczęśliwy, że może snuć opowieść o swojej pasji, prowadzi ich do dużego sejfu. Prezentuje najcenniejsze okazy z kolekcji: opał wart 500 tysięcy australijskich dolarów i inne, niewiele mniej cenne. Obiecuje, że przyjedzie do ich ośrodka i przywiezie filmy o australijskich osobliwościach.

Nadciąga chłodny zmierzch. Spiesznie żegnają się. *See you soon!*

Zachód słońca, czerwieniejąc się, chowa się za horyzontem, a na kamiennym murku nabrzeża przysiedli Bert i Beata. Dziewczyna z przejęciem dmucha w rurę, starając wydobyć z *didgeridoo* czysty dźwięk. Instruuje Bert, który wcześniej kupił instrument i wie, jak należy nie tyle dmuchać, co w specjalny sposób układać usta, by uzyskiwać właściwe brzmienia. Chociaż to podobno najstarszy instrument dęty na świecie, wykonanie tego zadania w praktyce wcale nie jest łatwe. Z tuby wydostają się irytujące buczenia. Kolejne podejmowane próby też się nie udają. Zniechęcona brakiem postępów Beata oddaje *didgeridoo* Bertowi.

– Zawsze brakuje mi cierpliwości w uczeniu się, – mówi krygując się, – może talentu? – i obdarza go słodkim uśmiechem. A w myślach cieszy się: dobrze, że nie kupiłam tej rury, przecież byłaby bezużyteczna.

Bert, mrużąc ciemne, brązowe oczy, dobiera z tuby nowe, coraz ładniejsze tony. Wcześniej słał w jej stronę gorące, namiętne spojrzenia. I to zawołanie: *Beatrix, Beatrix!*.. Serce Beaty bije mocniej. Stara się opanować obezwładniające całe jej ciało drżenie, nie pokazać niczego po sobie. Narzuca na głowę szafirowo-niebieską chustę i odwracając się, ostrożnie schodzi po kamieniach niżej, w stronę plaży. Szum fal współbrzmi z ciszą nadciągającego zmroku. Bert coraz składniej łączy dźwięki, wtóruje mu wiatr. Beatrix, jak zaczęła w myślach nazywać siebie, nawiązuje z nimi muzyczny dialog, włączając się wymyśloną naprędce wokalizą.

Na wieczór zaplanowano *sweat lodge* – ceremonię oczyszczenia – rytuał zapożyczony od rdzennych Indian Ameryki Północnej. „Namiot potów” – jak też jest nazywany, został zaadoptowany dla potrzeb terapeutycznych.

– To święte miejsce – instruuje przewodniczka – miejsce nauk, medytacji, uzdrowie-

nia. Dla większości obecnych to pierwsze takie doświadczenie.

Sweat lodge budowany jest z naturalnych materiałów w kształcie niskiej kopuły. Ten został wykonany z drewna i kamienia i wkopany dość płytko w ziemię. Rozgrzane do czerwoności kamyki polewane są wodą. W kłębach buchającej z paleniska pary ledwo co widać. Temperatura powietrza wyższa niż w saunie.

I, zgodnie z zapowiedzią, nauka, rytuały, praca z oddechem trwają do późnych godzin nocnych. Gdy gorąco jest trudne do wytrzymania, opuszcza się namiot i idzie do stawu. Ustawione w szklanych naczyniach świece oświetlają ścieżkę prowadzącą do wody. Żeby ochłodzić się, trzeba popłynąć, gdyż to najprawdziwsza głębia. Przy brzegu jest około dziesięciu metrów.

Beacie, właśnie w stawie, przydarzyło się metafizyczne doznanie. Temat, z którym pracowała, a którego symboliki nie potrafiła odszyfrować, w lodowatej otchłani objawił się. Dosłownie. Zrozumienie przyszło jako fizyczne odczucie. Przemieszczało się od serca do głowy i wyżej, od starych wyobrażeń do nowej rzeczywistości, by rozpuścić się i zniknąć, tak jak pryska mydlana bańka. Beata przeciera rozgrzankowaną twarz. Lecz płynie, płynie, bo pod nią głębia. Ciepłe prądy mieszają się z zimnymi. Czuje niezwykle lekkość. Wykrzykuje w czarną przestrzeń słowa radości.

Z głębokiej toni wyciągają ją ręce koleżanek. W głowie wiruje. Po nieomal godzinnej kąpieli wychodzi chwiejąc się na nogach. Otulona ręcznikiem przysiadła na brzegu. Na granatowej płachcie nocy, niebiesko-białymi brylancikami lśni małeńki, ale najjaśniejszy z gwiazdozbiorów, Krzyż Południa. Siedząca obok Danusia obejmuje ją. Rozpalone na brzegu ognisko przegania chłód nocy. W nogi zimno, a w plecy gorąco od wysokich płomieni. Jest szczęśliwa. Nawet nie marzyła, że uwolni się od traumy dzieciństwa. Dopiero teraz dociera do niej przekaz. Uświada-

nia sobie, że zmieniona percepcja odłączyła ją od starych, niepotrzebnych i blokujących wzorców.

Wczesnym rankiem cała grupa wyruszyła autokarem w kierunku *naturalnego mostu spacerowego*. To nazwa starego traktu, otoczonego jaskiniami, wodospadami, prastarymi drzewami. Samochód ciężko dysząc posuwał się w górę, coraz wyżej. Rejon ten słynie z osobliwości przyrodniczych: pustyń i moczarów, które dają schronienie strusiom, kazuarom, waranom, różnym gatunkom papug i innym przedstawicielom fauny.

Tu, gdzie zatrzymali się, zachwycają kępy rozłożystych, kwiecistych niecierpków i banksji, zwanych łapami kangura. Są dla Europejczyków egzotyczne. Za to szefflery, opuncje, lantany, rośliny przywleczone z Europy, rozrosły się w tym klimacie i miejscu ponad miarę i traktowane są jak chwasty.

Ktoś z grupy, chyba Ewa, macha ręką zachęcając, by wejść głębiej do eukaliptusowego gaju. Na oplecionym lianami drzewie, przytulony do pnia, opity sokiem z liści, małutki, około trzydziestocentymetrowy koala spogląda sennym wzrokiem, nawet nie próbując się ruszyć. Piątka przyjaciół uśmiecha się z rozczuleniem i cicho wycofuje z zagajnika. Potykając się o nierówności bluszczu, który tworzy przedziwną zieloną architekturę, wracają do busa.

Wąską drogą jadą jeszcze wyżej. Towarzyszy im widoczna przez szybę góra Warning z zawieszonym nad szczytem parasolem chmury. Siedzą jak zwykle blisko siebie, gadają, podziwiają umykające za oknem obrazy. Te nasze zachwyty brzmią śmiesznie, egzaltowanie – zauważa w myślach Beata. I postanawia: – spróbuję powściągnąć przynajmniej swoje „ochy” i „achy”.

Bert podejmuje kolejną próbę zaprzyjaźnienia się z nierozłączną piątką.

Trochę wcześniej podśmiewali się z Beaty. Linda parodiowała Bertę, pokazując, jak

wgapia się w nią oczami koali, takimi różnymi i prześmiewczo przymykała powieki. Wtórowała jej Henia. Wznosiła w górę zamglony wzrok i wzdychała. Przyczynki złączą Beatę. Wie, że nie pozwoli sobie na romans. To nie byłoby w porządku wobec Wojtka. I wobec Gerdy. Powodów jest więcej. Ale ma się to nijak do stanu jej odczuć. Jest coraz bardziej rozdrażniona.

Przy kolejnym geście bliskości ze strony Berta, zdecydowanie odsuwa jego rękę. Przyjaciele chyba dostrzegają jej determinację. Współczująco milczą wpatrując się w okno busa. Henia kątem oka zauważa jej mimowolnie wyrwywające się westchnienie. Też milczy. Tak lepiej. Przecież to jej problem.

Autokar gwałtownie hamuje. Stojący na poboczu drogi policjant informuje, że dalej nie można jechać. Trwa operacja przeciągania przez górę kabla, która potrwa jeszcze kilka godzin. Zmiana planów. Trzeba zawracać. Po dwudziestu minutach zatrzymują się. Przed nimi huczący wodospad, a w dole małe jezioro. Beata ledwie zdążyła pozbierać rzeczy, wyjść z auta, gdy od strony wody dobiegł ją głos. To Anna, ich angielska koleżanka, coś wykrzykując, już pławała się w jeziorze. Chwilę później Basia i John, trzymając się za ręce rzucają w nieznaną otchłań. I Bert. Wodospad jest wysoki na cztery, pięć, może sześć metrów. Skacze się z kamienistego zbocza. Nawet nie wiadomo, jak tam w dole jest, czy głęboko, jakie dno, może kamieniste, jak to nabrzeże – niechętnie rozmyśla Beata. Zupełnie nie ma nastroju do zabawy. Nie wzięła ręcznika ani kostiumu kąpielowego. Większości to nie przeszkadza. Pokrzykując wesoło zeskakują w czym kto ma, najczęściej na golasa, do wody. Jej paczka również zdystansowana, milcząc spoglądają w dół na kąpiących się. A do jeziora to jedyna droga. Skok na wodospadzie.

Tafla wody odbija optymistyczne piski. Przy takiej duchocie jezioro wabi. Beata zanurzając stopy w strumieniu podchodzi do krawędzi skały i cofa się. Zdejmuje ciu-

chy. Jeszcze raz podchodzi. Lęk wycofuje ją. Z dołu słyszy doping: – Beata, Beata, skacz. Kręci głowę na znak odmowy. Ponownie zbliża się do krawędzi, spogląda w dół i spontaniczne chlup! w zimną toń. Ła! jak cudownie! Zanurza się i wypływa. Jeszcze raz i jeszcze. Chwilo trwaj! Głośno się śmieje.

Znowu coś w sobie pokonała.

Nimbin – jak podają przewodniki, to dawna kolonia hippisów, miasteczko narkotykowe. Mimo że czasy „dzieci kwiatów” przeminęły, mieszkańcy Nimbin żyją według hippisowskiej tradycji.

Z Kaiwaly Meru do Nimbin jest zaledwie kilkadziesiąt kilometrów. W autokarze jest głośno i swawolnie. Kilka rzędów przed Beatą Bert flirtuje z Anną i tak samo, jak robił to wcześniej, wpatruje się błyszczącymi oczami w wesołą, jasną Angielkę. W tylnej części auta Gerda rozmawia z koleżankami. Nie zwraca na niego uwagi. Mieszkają razem, ale wszystko inne ich dzieli; chodzą osobno, siedzą osobno...

Gorzkie myśli nachodzą Beatę. Tak kretyńsko dałam się nabrać, uwierzyłam w jego rzekomą szczerość, w potrzebę naprawy. W jego słabość do mnie! Jestem doświadczoną terapeutką, a zachowałam się jak nastolatka, myślałam jak nastolatka – złości się po cichu. Czy zauroczenie może aż tak omamić, że traci się zdrowy osąd... I te zakochane wejrzenia, które wysyła na przynętę. Notoryczny uwodziciel! Boże, jaka jestem naiwna. Nieznośny i upokarzający wstyd, jak zdradziecki wąż wkręca się w komórki jej ciała i boleśnie draży. Danusia zerknęła w jej stronę i było w tym spojrzeniu współczucie. Czuje się jeszcze bardziej bezradziejnie. Co to w ogóle było? – W ułamkach chwil przez jej umysł przetaczają się czarno-białe obrazy zdarzeń. Z niezwykłą ostrością Beata uzmysławia sobie bezsens tego epizodu. Jego fałsz. Z tą świadomością jest jej lżej. Dużo lżej. Prostuje się w fotelu. Dopiero teraz zauważa przesuwające się za oknem krajobrazy.

Nimbin okazuje się spokojnym, jakby z innego wymiaru i czasu miasteczkiem. Atmosfera senna, życie toczy się nadnaturalnie wolno, jakby na haju. Może to rzeczywiście skutek nadużywania marihuany, którą tu w miasteczku można nabyć nieomal wszędzie.

Zwiedzają małe muzeum, które przedstawia założenia i historię ruchu hippisowskiego. Wstęp do muzeum wolny. Także sklepy z pamiątkami, wyroby mieszkańców sprzedawane na ulicy, nawiązują do mody „dzieci kwiatów”. W tym trwaniu w przeszłości jest jakaś nostalgia, wierność własnym ideałom – rozmarza się Beata. Szybko przychodzi refleksja: pewnie znowu dają się nabrać. A to tylko sposób na bez troskie i łatwe życie.

Kąpiel w oceanie. Woda ciepła, fala wysoka, zachód słońca w odcieniach różu, cudny. Na tym cukierkowym tle rysują się sylwetki Lindy i Jacka. Trzymają się za ręce. Na początku wydawało się, że dziewczyna ogania się przed opiekuńczymi gestami mężczyzny, że ją drażni, że nie lubi go. Teraz jest inaczej. Delikatność Jacka, jego zaangażowanie i cierpliwość wiele zmieniły. Linda często spogląda w jego stronę i widać, że szukają swojego towarzystwa. Beata z oddali zerka na przytuloną do siebie parę. Naturalność i prostolinijność Lindy i entuzjastyczna natura Jacka sprawiły, że darzy ich szczególną serdecznością.

Ale obecność tu, nad oceanem – to też pożegnanie. Ostatni zachód słońca przed wyjazdem do Brisbane.

Zanim dotarli na plażę, przechadzali się po spokojnych o tej porze uliczkach Byron Bay, a potem w tajskiej kawiarni delektowali egzotycznym smakiem herbaty, zagryzanej kawałkami kandyzowanego imbiru. Z głośnika sączyła się nostalgiczna muzyka. Tę, zdawać się mogło, sielską ciszę zmącił narastający hałas. Ulicą nadciągał tłum, skandując hasła. Przed kawiarnianym oknem sunęła lokalna manifestacja kobieca. Napisy na transparen-

tach: „By noc była bezpieczna dla kobiet” i podobne. Barwnie ubrane uczestniczki protestowały przeciw przemocy wobec kobiet. Pochodowi towarzyszył widowiskowy taniec z ogniami. Zapatrzyli się.

Przebrzmiały okrzyki, wróciły spokój i melancholia. Ale tylko pozornie. Bo naprawdę przez cały czas buzowały w nich emocje.

Pretekstem wycieczki do Byron Bay były bowiem odwiedzin sklepu jubilerskiego i zakup opali. Umówili się z sobą, że dadzą sobie godzinkę na złapanie dystansu do swoich prezentów. Właśnie minęła. Ale nie minęła ekscytacja. Niecierpliwie otwierali pudełka odsłaniając ich zawartość.

Bo kilka dni wcześniej... Bob, jubiler, dotrzymał obietnicy i przyjechał do ośrodka przywożąc filmy o opalach. Wizyta zainspirowała, filmy zaintrygowały a kamienie rozpaliły wyobraźnię tak bardzo, że kilkunastoosobowa grupa wybrała się autostopem do jego salonu. Kilkoro z nich zainwestowało w ilości handlowe. Na wyprawę pojechał też zaprzyjaźniony zespół. Danusia i Henia pierwsze rozerwały opakowania i z nabożeństwem wgapiły się w swoje cudneńka. Jacek zafundował swojej licznej rodzinie imponującą ilość opali i demonstrował je teraz koleżankom. Chwilę później wręczył małe etui zaskoczonych i broniącej się przed podarunkiem Lindzie. W środku szafirowo pobłyskujący kamień, jak oczy Lindy. Beata jeszcze bardziej zapożyczyła się u Jacka. Wybrała niewielki, jak abstrakcyjna, wielokolorowa kompozycja, opal.

Brisbane to stolica stanu Queensland, nazywanego też stanem słońca. Dawna kolonia skazańców dopiero w 1842 roku została otwarta dla wolnego osadnictwa. Teraz jest trzecim co do wielkości miastem Australii. Leży u ujścia Brisbane River, która przepływa przez jego wschodni kraniec. Z pozostałych stron otoczone jest wzgórzami. Jest ważnym ośrodkiem przemysłowym, handlowym, naukowym i kulturalnym.

Widok z autostrady przywołuje skojarzenie z Manhattanem lub Frankfurtem nad Menem. Uczestnicy kursu spędzą w nim ostatnie dni pobytu na australijskim kontynencie. Jest koniec października. A w tym ruchliwym, słonecznym i gorącym mieście przedsięwzięty nastrój. W galeriach i marketach ustawiono bożonarodzeniowe dekoracje. W Australii Boże Narodzenie jest w pełni lata. Ogromne, oświetlone lampkami i ozdobione bombkami choinki w upalny dzień jakoś nie współgrają z polskim, śnieżnobiałym wyobrażeniem tego święta.

Na bulwarze, z widokiem na wartki nurt rzeki i wysokie wieżowce, członkowie wyprawy pozują do zdjęć. W najrozmaitszych konfiguracjach. Chcą utrwalić przygodę, zapamiętać miejsce.

Nasi bohaterowie zdecydowali, że wolny czas przeznaczą na zwiedzanie. Ostatnie popołudnie spędzają w Lone Pine Koala Sanctuary, największym rezerwacie „misiów” koala. W parku przebywa ich ponad sto trzydzieści, co stało się pretekstem do wpisania rekordu do Księgi Guinnessa. Stworzonka można karmić, głaskać, przytulić. Nie stawiają oporu, a nawet to lubią. Poza Australią koala nie występują w żadnym innym miejscu świata. W rezerwacie, na dużej powierzchni, w naturalnym środowisku przyrodniczym, są też inne zamieszkałe na tym kontynencie zwierzęta. To magiczne miejsce. Nie chce się stąd wychodzić. Zaczyna zmierzchać i ogród zostanie wkrótce zamknięty dla zwiedzających. Głośnie dzwonienie u bramy poganianych gości do wyjścia.

W mrocznym, parkowym gąszczu, osłonięta gałęzią drzewa para całuje się. Mężczyzna dziwnie znajomy. Po chwili Beata uświadamia sobie, że to Bert. A kobieta? Chyba to ta nowa przewodniczka, domyśla się. Pozostali też ich zauważają. Wymieniają ironiczne uśmiešky.

Kawiarnia, czas refleksji, filtrowanie wrażeń. Z tarasu lokalu widok na rozjarzoną światłami panoramę miasta. Pogoda bezwietrzna, ciepło.

– Oj, mało tego czasu, za mało – z żalem w głosie mówi Henia.

Podobnie czują pozostali. Zapatrzeni, milczący, chłoną wieczorną atmosferę Brisbane.

Minęło kilka lat. Piątka „Australijczyków”, jak lubią mówić o sobie, kontaktuje się ze sobą i spotyka. Mieszkają w różnych częściach Polski: w Warszawie, Katowicach, Wrocławiu, Gdańsku.

Beata i Wojtek zostali rodzicami rozbrykanych, niesfornych bliźniaków: Wacka i Stasia. Ta sytuacja zmusiła Beatę do rezygnacji z dotychczasowej pracy w poradni. Udziela się dorywczo, lecz wierzy, że już wkrótce wróci do swoich obowiązków zawodowych, które są też jej pasją.

Linda jest mamą ślicznej, z burzą jasnych loków Marysi. Te złote włosy dziewczynka odziedziczyła po Jacku i po Lindzie. Ich rozległy dom na peryferiach Wrocławia jest miejscem licznych spotkań i imprez, a firma doradcza i szkoleniowa, którą wspólnie prowadzą, kwitnie.

Henię można czasem zobaczyć, jak wypowiada się w telewizji na gorący psychologiczny temat. Jest uznaną psychoterapeutką. Danusia złapała bakcyła podróży. Jeździ po świecie, zbiera materiały i publikuje swoje wrażenia i przemyślenia z odległych zakątków świata.

A Bert? Został w Australii, z Kariną. Karina wkrótce powróciła do Polski i urządziła sobie życie z przystojnym modelem. Jakiś czas jeszcze, wśród znajomych krążyły opowieści o kolejnych miłosnych podbojach Berta. Potem słuch o nim zaginął. O Gerdzie też niewiele wiadomo. Tylko tyle, że urodziła córkę i jest samotna.

Grupa polska zjeżdża się zazwyczaj na rocznicowe imprezy. Wszyscy jednym głosem mówią, że Australia była podróżą ich życia. I każdy opowiada ten czas inaczej.

KILKA OPOWIEŚCI O ŻYCIU

Z Hanną Brakoniecką rozmawia Barbara Strzelbicka



Hanna Brakoniecka, fotografia ze zbiorów prywatnych

Chciałabym Cię przedstawić jako kobietę twórczą i wszechstronną: piszącą, czytającą (komuś), słuchającą (także w Telefonie Zaufania), rysującą, robiącą robótki ręczne, zajmującą się *reiki*, no i jako żonę Poety. Masz tak bogatą osobowość i tak wiele rzeczy robisz, że trudno to objąć, więc staram się to jakoś w moich pytaniach uporządkować. Najpierw powiedz Czytelnikom „Galerii”, jak łączysz wszystkie sfery aktywności, która z nich jest dla Ciebie najważniejsza i dlaczego?

– Tak pięknie mnie określiłaś jako kobietę wszechstronną, że trochę się zawstydyłam. Bo w gruncie rzeczy jestem wszechstronną dyletantką. Nie umiem rysować, a rysuję, w literaturze jestem amatorką; nie jestem psychoterapeutką, a rozmawiam nierzadko terapeutycznie z ludźmi; nie mam zdolności parapsychicznych, a zajmuję się wróżbiarstwem; nie uważam się za uzdrowicielkę, broń Boże, a przykładam ręce na cierpiące miejsca jako terapeutka reiki.

Wszystkie te moje aktywności wynikają z potrzeby z bycia z ludźmi, z radości pomagania, z ciekawości innych. Będąc dyletantką, staram się być ostrożna, czujna i uważna. Aby nie szkodzić, nawet jeśli nie uda się pomóc.

Czyli w środku zawsze jest drugi człowiek, a moje działania kręcą się wokół.

Które najważniejsze? Myślę, że te, które wynikają z potrzeb danej chwili, ludzi oczekujących pomocy, rady czy uczestniczenia ze mną w wydarzeniu artystycznym.

Pytasz mnie jeszcze o robótki.

Toż ja urodziłam syna w 1977 roku! Nie było wtedy nic a nic zabawek. I zaczęłam robić szmaciane zabaweczki dla niego i przyległych dzieci, dla których byłam ciocią Hanią. A że wśród naszych przyjaciół zawsze byli artyści, zakrzyknęli gromkim chórem: przecież to wytwory artystyczne! Zrobiono mi wystawę, nazwano laleczki Brakonkami i propagowano wśród znajomych, a ja zaczęłam szyć na zamówienie. Zabawne miałam projekty. Z rozrzuśnięciem wspominam te czasy. Bohaterów literackich miałam robić.

Karykatury ważnych postaci, przedziwne zwierzątka, a synkom samochody i samoloty. Wszystko to z materiałów z odzysku. I tak do tego nawykłam, że nie jestem w stanie wyrzucić żadnej szmatki, tylko ją natychmiast na coś przerabiam. Teraz już niepotrzebne są takie zabawki w świecie, w którym marzenia spełniają się przed ich wypowiedzeniem. Więc robię pufy i dywaniki, które rozdaje przyjaciółom preferującym styl rustykalny.

Mój młodszy syn Szymon sporządził mi kiedyś koszulkę z napisem Królowa Recyklingu, którą z dumą nosiłam.

Bardzo ładna jest Twoja odpowiedź i nie wiem, jakim komentarzem to opatrzyć – może takim, że wszyscy jesteście amatorami i dyletantami, zważywszy na to, że żyjemy po raz pierwszy? Powiedziałaś, że Twoja wszechstronna aktywność wynika z potrzeby bycia z ludźmi. Ale pisanie i rysowanie to bycie z ludźmi zapośredniczone. Jak zatem realizujesz tę potrzebę w przypadku pisania? No i sakramentalne pytanie: kiedy i w jaki sposób zaczęło się Twoje pisanie?

– Rozłożyłaś mnie pytaniem o recykling przy moim pisaniu. Jest w tym niezłej wielkości ziarno prawdy. Takie cudne historie, których wysłuchuję, miałyby się marnować? Takie smutki, takie radości, mają zniknąć w niebycie? Gdy mogą służyć wzruszeniu, zrozumieniu innego? Dlatego nie mijam żadnej okazji, gdy mogę porozmawiać z kimś, kto powie mi inaczej, z innego punktu widzenia: o sobie, swoim życiu, cierpieniu, swoim szczęściu.

Moje pisanie zaczęło się ze słuchania. Nie planowałam ani nie śmiałam nawet myśleć, że kiedyś będę tworzyć. Byłam już mocno starszą panią, gdy powstał pierwszy tekst. Wspominam to ze wzruszeniem. Przyszła wtedy do mnie młoda mężatka zrozpaczona

i zapłakana. Siadła z tym swoim płaczem, a gdy wychodziła, śmiała się wiedząc już, że można inaczej spojrzeć na tę sytuację. Poszłam zanotować informacje o niej i wyszło mi opowiadanie, które wysłałam na konkurs do „Bluszczu”, a że dostało nagrodę i zostało wydrukowane, dało mi to odwagę do dalszego pisania.

I jeszcze ta najważniejsza rzecz w moim pisaniu. W zasadzie cała wielka literatura temu służy: zadawaniu pytań, pokazywaniu różnych perspektyw, różnych punktów widzenia, rozszerzaniu horyzontów i pobudzaniu myślenia. Moja mała, niemająca wielkich ambicji, proza, ma służyć pokazywaniu innych jako godnych szacunku i współczucia. W czasach rozszalałego, wszechobecnego ej tu chcę, abyśmy pochylali się nad innym, tak bardzo często innym od nas, ze współczuciem i z miłością. Żebyśmy potrafili zobaczyć ich racje, źródła ich cierpienia, potrzebę akceptacji.

Jeżeli spisujesz prawdziwe historie, to czy zdarzyło się, że ktoś rozpoznał siebie w Twoim opowiadaniu? Z jaką reakcją się spotkałaś?

– Rzeczywiście każde z moich opowiadań ma swój pierwowzór. Pierwsze historie spisywałam dość dokładnie, no i zdarzyło mi się, że zaprotestowano. Obie bohaterki nie zgodziły się na to, abym wykorzystała ich zwierzenia. Bardzo się tym przejęłam, teksty wycofałam, przeżywałam to mocno. Ostatnią rzeczą było pragnienie sprawienia komuś przykrości. Obie historie były dramatyczne i poruszające. Pamiętam je więc doskonale. Uratowała mnie przed całkowitym załamaniem przeczytana gdzieś informacja, że na Antoniego Czechowa obraziło się kilka wsi za niedyskrecję.

Natomiast o wiele częściej spotykam się z pełną aprobatą. Kilka moich przyjaciółek cieszy to, że utrwałam ich historie, niektóre

mi opowiadają specjalnie o sobie, aby nie zginęło to, co przeżyły. Jedna z moich ulubionych bohaterek złości się na mnie, że jestem za mało dokładna i za każdym razem muszę jej uświadamiać, że to jednak teksty literackie, a nie reportaż.

Każdy z moich cykli ma jakąś myśl przewodnią, wtedy rozpytuje na prawo i lewo o opowieści na dany temat. Słucham, a potem buduję na anegdocie nowelkę. Czasem niektórzy się rozpoznają, inni nie, a niekiedy przypisują sobie zupełnie obce historie. Bo jednak tyle spraw się w naszym życiu powtarza, tak podobne są nasze reakcje, schematy zachowań. Również dlatego literatura może pełnić tę katarską rolę.

Opowiedz o swoim czytaniu – komu i gdzie czytasz?

– Och tak, bardzo lubię czytać głośno! Może dlatego, że i sama wtedy lepiej widzę i rozumiem? Kiedy zaczęłam? Nie pamiętam. Myślę, że zawsze od kiedy nauczyłam się czytać. Bo najpierw słuchałam. Pamiętam czytania mamy i taty w dzieciństwie. Oprócz Psotek i śmieszek Porazińskiej, bardzo szybko W pustyni i w puszczy (dziwiłam się, dlaczego mówią, że Nel jest mała, gdy miała aż osiem lat, a ja sześć), Serce Amicisa oczywiście, Pana Tadeusza, a ojciec jeszcze swego imiennika Słowackiego mi czytał. Ojciec zadzumionych zawsze w mojej głowie brzmi jego głosem. Nie było telewizji w moim dzieciństwie, dlatego moje ucho było przy radiu. Słuchałam wszystkich audycji dla dzieci.

Uwielbiałam bawić się z maluchami, więc za nianię robiłam często i czytałam. Potem zostałam nauczycielką polskiego i bibliotekarką szkolną. Czytania miałam mnóstwo i zawsze to kochałam. Kiedyś jakaś dziewczynka podeszła do mnie i powiedziała do drugiej: Wiesz, to ta pani, która czyta głosami. Ucieszyło

mnie to i wzruszyło. Prowadziłam kółko, w którym robiłam różne spektakle, montaż poetyckie. Bazą też było moje czytanie. Nagrywałam często dzieciom swoją interpretację. Szybko się uczyły, świetnie szło.

Kiedy się zakochiwałam, czytałam moim chłopakom. Albo przyjaciółkom, gdy była to miłość nieszczęśliwa. Bardzo się kochałam i często taka była. Z każdą wielką miłością kojarzy mi się inny wiersz. Czasem moim młodemu przyjaciółkom artystkom opowiadałam o miłosnych historiach mojego życia, recytując wiersze.

Po ślubie często czytałam mojemu mężowi przed snem, a jak się urodzili moi synowie, to nie obywało się bez wieczornego czytania.

Kiedy przesłam na emeryturę, bardzo tęskniłam za dziećmi. Nie za szkołą, broń Boże. Wtedy zaczęłam przychodzić do szkół i przedszkoli z baśniami. Dzieci nazwały mnie Panią Bajeczką. A kiedy urodził się mój wnuczek, zaczęłam pisać dla niego opowiadanka o nim. Potem przyszła na świat Jagienka i o niej historie się pojawiły. Tyle pięknych rysunków o nich powstało dzięki tym czytaniom po szkołach i przedszkolach.

Kiedy zaczęłam pisać, słowa mojej przyjaciółki, że te opowieści najlepsze są w mojej interpretacji, sprowokowały mnie do tego, że zaczęłam je układać w cykle i czytać znajomym. Co miesiąc, dwa, zapraszam do siebie gości i przy winie i ciasteczkach czytam moje kolejne utwory.

Mój szwagier Mateusz Iwaszczyszyn, gitarzysta i podówczas członek kabaretu Czyści jak Łza zaprowadził mnie kiedyś na spotkanie u Marty Andrzejczyk, cudownej pieśniarki i olsztyńskiej animatorki kultury. Spodobało się jej moje czytanie i zaprosiła mnie do Teatralnego Spichlerza. W olsztyńskim Domu



Hanna i Kazimierz Brakonieccy, fotografia ze zbiorów prywatnych.

Kultury, w jednym z oddziałów mieści się malownicza salka piwniczna, w której Marta wraz z Przemkiem Wiśniewskim, aktorem i reżyserem Teatru Kreatury, prowadzili co tydzień programy estradowe, na które składały się recitale, koncerty, spektakle teatrów offowych, kabarety. Wprowadzili mnie i raz w miesiącu miałam tam swój występ. Czytałam przygotowany cykl tekstów przerywany muzyką gitarzystów, flecistów, bębniistów, skrzypaczki. Och, wielu cudownych muzyków mi tam towarzyszyło. Również znakomici piosenkarze, bardowie. Niestety, Spichlerz zamknął swoje podwoje i po trzech i pół roku skończyła się moja estradowa kariera.

Teraz czytam nadal w domu, czasem w kawiarniach. Niekiedy zaprosi mnie biblioteka

lub jakiś Ośrodek Pomocy Społecznej, Uniwersytet Trzeciego Wieku. Takie czytania też bardzo mnie cieszą. Szczególnie, gdy czytam ludziom starsym i chorym. Wtedy czuję największą radość moich słuchaczy, ogromne zaangażowanie.

Bardzo ważne są dla mnie także poznańskie czytania. Moja niezwykła synowa to kobieta, która robi wszystko, co jest dla niej istotne bez wahania i zastanawiania się. Szalenie mi to imponuje, dużo się od niej uczę. Ma jeszcze jedną, piękną zaletę. Z radością organizuje mi spotkania czytane. A że otaczają ją kapitalne młode kobiety, twórcze, aktywne, często jak ona terapeutki, te nasze wieczory są niezwykle inspirujące i ciekawe, a od pewnego czasu również okraszone wspa-

niałą muzyką. Iza zatęskniła za śpiewem, więc założyła z przyjaciółkami chór, zaprasza też przyjaciół muzyków.

Teraz poproszę Cię o opowieść o Twoim rysowaniu. Skąd umiesz rysować, co Cię do tego inspiruje, co lubisz rysować i jaka jest zależność między pisaniem i rysowaniem. Dla kogo rysujesz?

– Zawsze rysowałam. Od dzieciństwa. Niestety, pamiętam, jak kiedyś postanowiłyśmy z moją młodszą siostrą zrobić okładki na płyty, kolaże z fotografii prasowych. Ja ponaklejałam, ile się dało, śliczne wycinki, ona wkleiła dwie czy trzy i, proszę państwa, zatkało mnie. To jej okładka była znakomita, a moja wyglądała jak kosz na śmieci. Wtedy zrozumiałam, że nie ja jestem plastyczką. Byłyśmy wczesnymi nastolatkami. Ona szybko mnie przegoniła w rysowaniu, skończyła potem architekturę wnętrz. Jest także malarką. Miała wiele wystaw.

Ja rysowałam rysunki-karykatury w szkole, na studiach, żeby rozładować napięcie, rozśmieszyć koleżanki. Ale rozrysowałam się, jak się zakochałam w Kazimierzu. Kazimierz był metafizycznym poetą, fascynującym i bardzo trudnym. Wiedziałam, że albo będę cierpieła, albo będę się śmiała. Okazało się, że jedno drugiemu nie przeszkadza. Zaczęłam rysować sytuacyjki między nami. Mieszkaliśmy wtedy w starej, rozwalającej się chacie do rozbioru. Kolejne rysunki przyklejałam na ścianach wyklejonych tapetą z papieru pakowego. Ja byłam na ostatnim roku polonistyki w Krakowie, on, świeży magister, pojechał tam za mną.

Ale potem wróciliśmy do Olsztyna, żeby się pobrać, takie były wtedy zwyczaje, i urodzić dziecko. Synek rósł i zaczął mówić. Nie można było tego zostawić zapomnieniu. Założyłam kronikę rodzinną, a w niej oprócz

fotografii, notatek o naszym życiu, wycin-ków prasowych o aktywnościach mojego męża, rysowałam historyjki obrazkowe z życia rodziny, a przede wszystkim powiedzonka małego Miłoszka. Potem urodził się Szymon, więc tematów było coraz więcej. W bibliotece szkolnej, gdzie pracowałam, na lekcjach, które prowadziłam, też się działo, a że uwielbiam się śmiać i rozśmieszać innych, zaraz założyłam z koleżanką tajemną kronikę biblioteczną, w której notowałyśmy niecenzuralnie, zabawne, radosne i gorzkie momenty z życia szkoły. Ja najczęściej jako historyjki obrazkowe.

Kiedy przeszłam na emeryturę, dostałam na Gwiazdkę książkę Marka Raczkowskiego, rysownika, którego satyryczne komiksy doprowadzają mnie do łez ze śmiechu. Kiedy ją oglądałam, pomyślałam, że on rysuje tak okropnie, a jednocześnie tak rewelacyjnie. Że moje rysunki nie są gorsze. Oczywiście on komentuje rzeczywistość, ja ilustruję własne życie, on wymyśla, ja cytuję. Ale ośmielił mnie na tyle, że zaczęłam tworzyć książeczki dla przyjaciół. Zbierałam dwadzieścia historyjek, kserowałam w kilkunastu egzemplarzach i rozdawałam znajomym. Potem młodzi przyjaciele zasugerowali mi blog i założyłam taki. Tylko niektóre rysunki tam umieszczam (smiechoty.blogspot.com), reszta nadal tylko dla przyjaciół. Teraz internetowo wysyłam każdy nowy cykl, zebrany przez moją częstochowską przyjaciółkę w formacie PDF, wszystkim, których to śmieszy.

Śmieszyły moje rysunki redaktorki wydawnictwa Borussia, które zaproponowały nam wydanie wspólnej książki i tak w 2009 roku ukazała się KabraHabra, z aforyzmami Kazimierza i moimi historyjkami z naszego pożycia małżeńskiego.

Kiedy urodziły się moje wnuczeta, twórczość rysunkowa rozkwitła. Tobiasz, lat dziesięć,

robi się coraz poważniejszy, natomiast Jagienka, sześciolatka pierwszoklasistka, jest kopalnią tematów. Miłosz, ich tata, podsyła mi też SMS-owo ich powiedzonka, z których powstają nowe historyjki.

Chodzę zawsze z notesikiem i chwytam riposty, powiedzonka, sytuacje. Potem rysuję. Szczególnie, jak mi smutno, żeby siebie samą rozśmieszyć. Mówię zawsze, że dzięki temu śmieję się wielokrotnie częściej niż inni. Bo jak słyszę, jak notuję, jak wyobrażam sobie, jak to narysować, kiedy rysuję i gdy to potem oglądam.

Moje pisanie ma podobną mechanikę. Słucham, przetwarzam, zapisuję. A wszystko po to, żeby nie zapomnieć.

Bo ja mam bardzo słabą pamięć.

W jaki sposób piszesz? Ręcznie czy od razu na komputerze? O jakiej porze dnia? Piszesz systematycznie czy „zrywami”? Poprawiasz czy od razu piszesz „na gotowo”? Gdzie piszesz? Czy muszą być spełnione jakieś warunki, na przykład cisza, włączone radio, muzyka?

– Oczywiście mam swoje rytuały. Piszę zawsze rano, kiedy mój mąż wychodzi do pracy. O dziewiątej siadam z małym notebookiem przed włączonym telewizorem. W nim telewizja śniadaniowa, z której wyłapuję ciekawsze rozmowy. Wtedy podsłuchuję to, co mnie interesuje. A interesują mnie sprawy społeczne, problemy psychologiczne, kultura i sztuka. Troszkę tego jest, choć coraz mniej, niestety. Chwytam czasem imię, żeby nadać je mojemu bohaterowi. Wyłączam głos przy reklamach, modzie, przepisach no i radach dotyczących odchudzania. Jak łatwo zobaczyć, tego wyłączonego głosu mam sporo. Jestem kobietą, więc jednocześnie myślenie o kilku rzeczach na raz jest u mnie naturalne.

Żeby powstało opowiadanie, muszę mieć bazę, czyli autentyczne przeżycie, wysłuchaną opowieść. Czasem trzeba ją przechodzić. Wędruję więc sobie gdzieś, jadę autobusem i ustawiam mojego bohatera w różnych kontekstach. Dodaję mu współuczestników dramatu, konstruuje jego myśli, dialogi. Rysuję w głowie przestrzeń, w której się znajdzie. Ale czasem historia jest tak wyrazista, że siadam i samo się pisze. Niekiedy zaś napiszę kilka zdań i nie wiem, co dalej. Zostawiam tekst na pulpicie i wracam do niego następnego dnia. Dorzucam kolejne kilka zdań, piszę następne opowiadanko, a to zaczęte sączę przez kilka dni.

Czasem opowieści do zapisania mam dużo. W końcu łapię je wszędzie. Żal mi zgubić te najciekawsze. Robię wtedy krótką notatkę w punktach, na kartce. Lubię dodawać charakterystyczne dla mojego rozmówcy powiedzonka, przerwaniiki, specyficzną stylistykę. Ale piszę tylko na komputerze. Tak zaczęłam pisać i nie potrafiłabym już inaczej.

Następny etap to telefon do przyjaciółki, której każdy nowy tekst czytam przed snem. Ona lubi wszystko, co piszę, więc czuję się przy niej komfortowo. A ja czytając głośno, wyłapuję wszystkie potknięcia stylistyczne, niezgrabności wypowiedzi. Tak wprowadzam korektę, a jednocześnie dodaję sobie wigoru jej miłą aprobatą. Zupełnie inną funkcję pełni konfrontacja tego, co napisałam, z moim mężem. Nie czytam mu wszystkiego, tylko te najważniejsze dla mnie utwory. Zwykle muszę za nim trochę pochodzić, żeby się zgodził posłuchać. On jest zdecydowanie bardziej krytyczny. Ale jak już mu się coś spodoba i na przykład zakończy nasz dialog stwierdzeniem, że mogę mu to przysłać, a on wyśle do znajomego czasopisma, to satysfakcję mam ogromną.

Uwielbiam też pisać w moim ogrodzie. Tam doskonale radzę sobie bez włączonego telewizora, szum drzew i śpiew ptaków są moją ukochaną muzyką.

Opowiadając o tym, oglądałam jednym okiem śliczny film *Na północ od Calabrii* Marcina

Co dla Ciebie znaczy być kobietą? Jak odczuwasz kobiecość i jak się to odczuwanie zmienia wraz z upływem czasu?

– Fantastyczne są Twoje pytania. Dotykasz tego, co dla mnie najważniejsze. A bycie kobietą jest rzeczywiście dla mnie niezwykle



Hanna Brakoniecka, *Portret ślubny*.

Sautera. Paradokumentalny obraz o małym, troszkę wymyślonym miasteczku i przemitych ludziach w nim mieszkających. Bardzo w stylu moich opowiadań.

Piszę bardzo dużo, prawie codziennie. Napisane rano opowiadanko zwiastuje dobry czas i radosne przeżycia tego dnia.

istotne. Niektóre panie mówią: najpierw jestem człowiekiem. Ja natomiast nie uważam, żeby bycie człowiekiem było szczególnym wyróżnieniem. Nie jest to bowiem najszlachetniejszy gatunek na ziemi. Tyle zła, ile ludzkość czyni światu, przyrodzie i sobie, nie uczynił żaden inny żyjący gatunek istot żywych.

Myślę, że świat będzie miał szansę na przetrwanie tylko wówczas, jeśli kobiety zdołają wywarć większy wpływ na decyzje dotyczące rzeczywistości, w jakiej żyjemy.

Bo my jesteśmy po prostu za życiem. Rodzimy, chronimy, dbamy o bezpieczeństwo.

Kocham kobiety, przyjaźnię się z nimi. Mam bardzo wiele przyjaciółek. Kiedyś mówię do Miłosza: Pani Mira gratuluje ci narodzin twojej córeczki. On: Kto to jest pani Mira? Ja: Moja nowa przyjaciółka. Miłosz: Numer katalogowy 375? Oczywiście numer był nadmiarowy, ale ten jego komentarz pokazuje, jak widzi mnie w relacjach z innymi.

Czasem zastanawiam się, co łączy kobiety tak bardzo różne, z którymi się przyjaźnię. To aktywność, twórcze podejście do życia, autorefleksja. Fascynują mnie ludzie z pasją. W kobietach jest ogromna siła. Uwielbiam je pobudzać, aktywizować, zaprzyjaźniać ze sobą. Zawsze tworzyłam kobiece grupy spotykające się na różnych płaszczyznach. Wśród moich przyjaciółek są i nastolatki, i dziewięćdziesięciolatki.

Z mężczyznami zaczęłam zaprzyjaźniać się dopiero od niedawna. Wcześniej się w tych najciekawszych natychmiast zakochiwałam, a zakochuję się poddańczo i bezgranicznie, co nie przynosiło mi nadmiernych sukcesów na tym polu. Ale kiedy przyglądałam się swojemu życiu, widzę, że to właśnie miłość wyznaczała jego rytm i etapy. Fascynowali mnie artyści i intelektualiści. No i, niestety, tonęłam w kompleksach, że im zupełnie nie dorównuję. Uratowała mnie i zmieniła mój stosunek do rzeczywistości damsko-męskiej cudowna książka Daniela Golemana o inteligencji emocjonalnej. Wtedy zorientowałam się, że pod tym względem przewyższam ich zdecydowanie. Potem zaczęłam czytać literaturę feministyczną i to również pomogło

mi lepiej rozumieć świat, siebie, mężczyzn i kobiety.

Jestem matką dwóch synów, to wielki przywilej. Oni pokazują mi męski świat. Widzę, że jesteśmy w czasach ogromnego przełomu. Czasem myślę, że nic z tego nie będzie i będziemy się cofać do świata przemocy, sztucznych hierarchii i podziałów, ale czasem wierzę, że jednak uda nam się otworzyć, cieszyć z różnorodności, wzbogacać nią.

Kobiecość to dla mnie czułość, wrażliwość, empatia, ale także siła, pewność siebie, poczucie sprawiedliwości, otwartość.

Bardzo lubię być kobietą. Przeszłam całą masę kursów dotyczących samorozwoju i pomagania innym, przeczytałam mnóstwo ślicznych książek na ten temat. To pomogło mi przede wszystkim w samoakceptacji. Wypłukałam się z kompleksów, wady (na przykład roztargnienie, bałaganiarstwo) zamieniłam w urok osobisty. Uczę tego innych. Kochaj siebie, wtedy będziesz kochana przez innych, na świat popatrzysz radośnie, a w ludziach zobaczysz piękno. Sprawdziło się to u mnie, to i ty masz szansę.

Dotknęłaś nieco tematu miłości, a właśnie o nią chciałam Cię teraz zapytać. Temat popularny, czasem wręcz strywalizowany, a problem wciąż tajemniczy. No więc, moja Kochana, czym jest miłość? Poświęciłaś jej swoją książkę „Wjechał we mnie tramwaj, czyli 77 opowieści o miłości”, ale tam oddajesz głos innym ludziom. Proszę Cię teraz o Twoją opowieść o miłości...

– Och, miłość... To potężna życiowa energia, która wszystko przenika. Czułam ją od zawsze. Czasem myślę, że to moje wcielenie, jeśli założymy, że jest reinkarnacja, to w tym wcieleniu miłość była u mnie dominującym uczuciem.

Kochanie u mnie dzieli się na: a) kochanie zbiorowe – przyroda, sztuki piękne, dzieci, kobiety, zwierzęta (szczególnie ptaki), woda, powietrze, literatura, muzyka itd., itd.; b) kochanie indywidualne: poszczególne egzemplarze wyżej wymienionych.

Niedawno rozmawiałam z pewną nauczycielką, pełną pasji i zaangażowania. Mówię: kochasz dzieci. A ona: nie, lubię, kocham swoje własne. Uśmiechnęłam się, jak bardzo inne mogą być odczucia dotyczące tych samych spraw. Bo ja kocham dzieci. Kiedy siadam wśród nich i zaczynam im czytać, opowiadać, rozmawiać z nimi, czuję się szczęśliwa, zachwycona. Zdarzało mi się, że niektóre z nich stawiały się dla mnie czymś więcej. To było często jak zakochanie. Bo były wyjątkowo inteligentne i wrażliwe, albo bardzo nieszcześliwe, opuszczone.

Przyjaźnie nowo zdobywane też bywały jak wybuch namiętności. Fascynacja, zachwyt, uniesienie. To w młodości zdarzało mi się często.

O tym, jak się zakochiwałam, już mówiłam. Po raz pierwszy, jak miałam pięć lat. Bardzo ważna dla mnie miłość. A potem już systematycznie. Serce nigdy puste nie było. Choć często złamane. Ale zrastało się, żeby z nową energią zabrać się za nowe zakochanie. W końcu zakochałam się w moim mężu, a że jest niezwykle bogatą osobowością, mogłam się w nim zakochiwać co pewien czas i nigdy nie było monotennie.

Narodziny dzieci, a potem wnucząt, to eksplozje miłości. Muszę przyznać, że nie jest mi z tym łatwo. Za bardzo ją okazuję, muszę się powstrzymywać, a to takie trudne.

Punkt c) w tej kategorii to różne aktywności. Kocham siedzieć w zieleni, głaskać psa czy kota, patrzeć na chmury, słuchać Milesa Davisa, czytać publiczności moje teksty, oglądać filmy Dumonta, rysować z wnuczką, a nade

wszystko słuchać ludzi. A potem z tych słuchań pisać opowiadania.

I tak powstały opowieści o miłości. Bo miłość jest najważniejsza w życiu. Smutek, nienawiść, zło, cierpienie, biorą się z braku miłości. I kiedy słucham ludzi, to po prostu to widzę. A wiem, że słuchanie pomaga. Też jest wyrazem miłości.

Bycie żoną Poety to szczególne stanowisko, wiele kobiet trafiło do historii literatury z racji jego zajmowania, wiele też zostało sportretowanych przez mężów (Różewicz, Harasymowicz). Opowiedz zatem, jak to jest być żoną poety Kazimierza Brakonieckiego.

– To chyba najtrudniejsze pytanie, które mi zadałaś. Jak o tym opowiedzieć? Znamy się z Kazimierzem czterdzieści lat, trzydzieści dziewięć się kochamy, trzydzieści osiem jesteśmy małżeństwem.

Kiedy patrzę z tej czterdziestoletniej perspektywy na swoje życie z nim, widzę, że dostałam od losu wielki dar. Fascynującego, bardzo trudnego człowieka, dzięki któremu mogłam stać się pełną, silną kobietą.

Czasem zastanawiam się, czy gdyby było nam cały czas słodko i miło, osiągnęłabym tyle? Tak się zrealizowała? Myślę, że zostałabym na poprzednich etapach miłej, uroczej kobiety, starającej się wszystkim dogodzić. I nie wiedziałabym, kim jestem.

Kazimierz jest niezwykle inteligentnym, utalentowanym, twórczym mężczyzną o wyraźnych poglądach. To mnie zawsze zachwycało, imponowało, dawało też poczucie bezpieczeństwa, stanowiło bazę. Jednak, jak to twórca, jest też skupiony na swoich doznaniach, przekonany o swojej nieomyślności, kontrolujący i wydający rozkazy. Długo uczyłam się, jak z nim żyć.

Uczyłam się też jego poezji, a kiedy go pokochałam, była dramatyczna, hermetyczna, katastroficzna. Musiałam zobaczyć świat jego oczami. Byliśmy tak bardzo inni. Potem zorientowałam się, że jesteśmy ze sobą, bo odzwierciedlamy cechy swojego cienia. On moją ukrytą, nieujawnianą gwałtowność, agresję, złość, ale także ironię, złośliwość, a ja jego czułość, delikatność, otwartość, serdeczność, pobłażliwość. Potrzebni byliśmy sobie dla swojej pełni.

Nie był tym, który wspiera słowem, ale jednak pilnował, żeby było nam dobrze, dbał o nasze bezpieczeństwo, sprawy bytowe. Jednocześnie kontrolował wszystko i wydawał rozkazy. Czasem było to bardzo trudne.

Nielatwa też była jego poezja. Zanim się rozjaśniła, przerażał mnie jej mrok. Ale uczyłam się jej, wnikałam. W końcu pojęłam i zachwyciłam się. Teraz moment, gdy mnie woła, bo powstał nowy wiersz, jest fantastyczny. Siadam i czytam go zawsze głośno. Potem mówię, co mi się podoba, a podoba mi się najczęściej wszystko. A jeśli nie, dostaję informację, że się na niczym kompletnie nie znam. Potem oczywiście siada i poprawia.

Śmiejemy się dużo. A na początku nie potrafił się zupełnie śmiać. Pokochałam go, gdy powiedział, że popełni samobójstwo, jak skończy dwadzieścia pięć lat. Pomyślałam, jak to dobrze, że go nie kocham. W następnej minucie przepadłam. W półtora roku potem, dwa tygodnie po jego dwudziestych piątych urodzinach, urodziłam mu syna.

Jest dobrym, szlachetnym, kochającym człowiekiem. Na dodatek mądrym, przenikliwym, światłym. Często surowym, ale jednocześnie czułym, współczującym, serdecznym. Teraz to wiem i jestem dumna, że jesteśmy razem.

Minęło trzydzieści osiem lat. Żyjemy i jesteśmy szczęśliwi. Namiętności, szaleństwa, złości, konflikty, rozpacz, cierpienia i euforie minęły. Jest przyjaźń, ciepło, czułość i mnóstwo humoru. Nawet jak się kłócimy, to też się śmiejemy.

To piękne podsumowanie naszej rozmowy: mówisz o czasie, o starzeniu się i o tym, co łagodzi upływ czasu – o miłości. Dziękuję Ci, Przyjaciółko!



WOJCIECH ĆWIERTNIEWICZ



JA - portret Wojciecha Ćwiertniewicza.

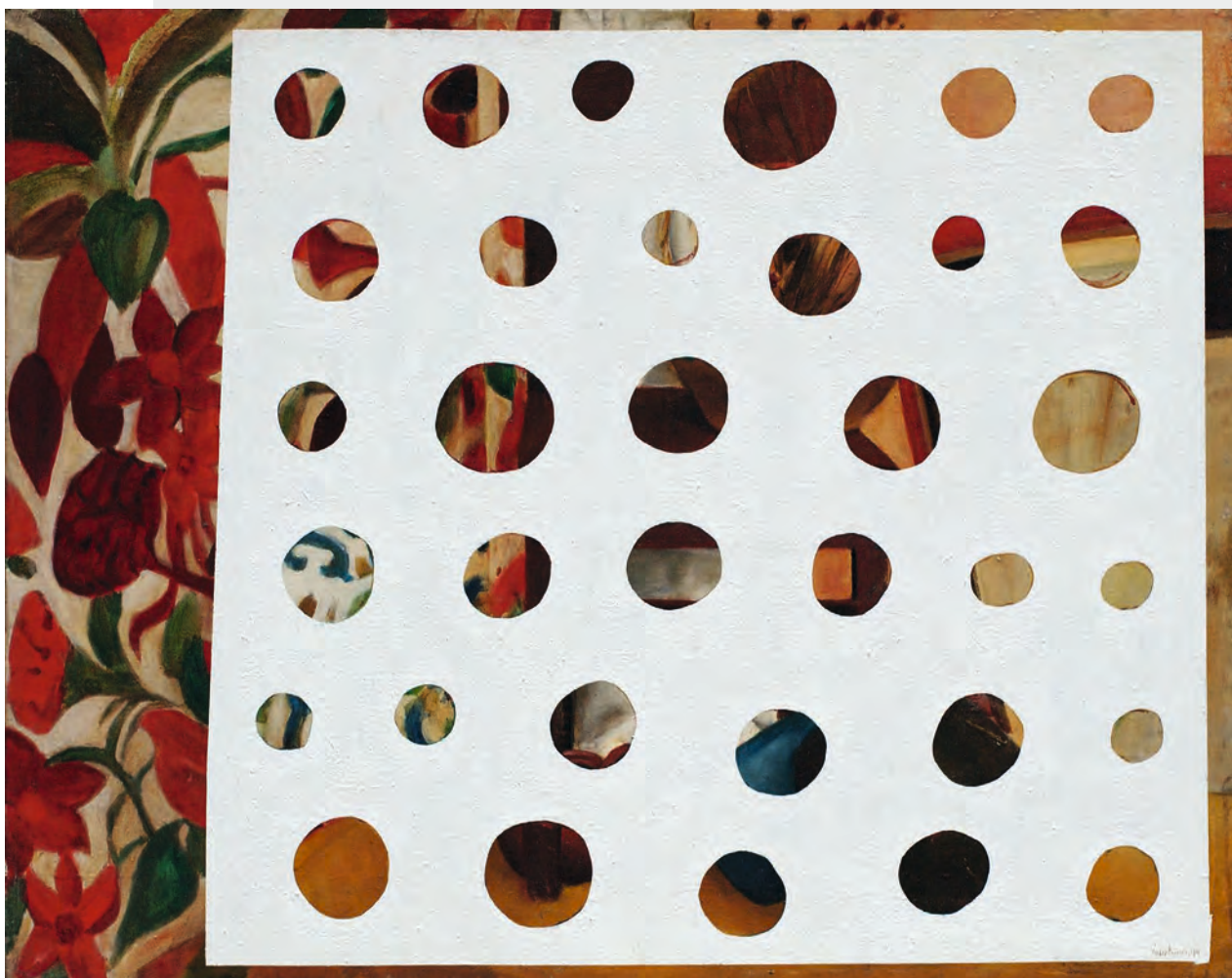
Wojciech Ćwiertniewicz – ur. w 1955 r. Studiował malarstwo w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w latach 1976 – 1981. Jest laureatem m. in. Nagrody Krytyki Artystycznej im. Cypriana Kamila Norwida, a ostatnio Nagrody „Exitu” za rok 2008. Jego prace są w kilku kolekcjach publicznych (m. in. w Muzeum Narodowym w Krakowie, Muzeum Górnośląskim w Bytomiu, Bibliotece Głównej ASP w Krakowie). Jest autorem 68. indywidualnych wystaw malarstwa. Brał udział w ponad 100 wystawach zbiorowych. Opublikował 7 tomików dziennika: *Dziennik malarza* (Kraków 2002), *Bez tytułu* (Kraków 2004), *Ulica Długa* (Kraków 2005), *Bez tytułu (2)* (Kraków 2006), *Rok 2006* (Kraków 2007), *2007* (Kraków 2008), *2008* (Kraków 2009).

Ważniejsze wystawy indywidualne

- 1986 *Malarstwo*, Galeria Promocyjna, Warszawa
- 1990 *Nowe obrazy*, Starmach Gallery, Kraków
- 1992 *Malarstwo*, Starmach Gallery, Kraków
- 2000 *Obrazy nie ostatnie*, Otwarta Pracownia, Kraków
- 2006 *Projekcje*, Otwarta Pracownia, Kraków
- 2008 *Mężczyźni*, Galeria aTak, Warszawa
- 2009 *Życie po życiu*, Galeria Kameralna BGSW, Słupsk
- 2011 *Ceci n'est pas un paysage*, Skład Solny, Kraków
- 2012 *Świętości*, Galeria Malarstwa ASP, Kraków
- 2012 *Serendipity*, Galeria Centrum (d. Sektor I), Katowice
- 2014 *człowiek lub kamień albo drzewo*, CAT, Ustka
- 2014 *Katalepsja czasu*, Konduktorownia, Częstochowa
- 2015 *trochę dla zabawy, trochę po to, żeby nie umrzeć*, Skład Solny, Kraków

Ważniejsze wystawy zbiorowe

- 1986 *Ekspresja lat 80-tych*, Galeria BWA, Sopot
- 1988 *Świeżo malowane*, Zachęta, Warszawa
- 1991 *Opening Up – Six Major Polish Painters*, Hammer Galleries, New York
- 1992 *The Expressive Struggle*, Anderson Gallery, Buffalo
- 1996 *Rozpoznanie*, Galeria Bunkier Sztuki, Kraków
- 1997 *Granice obrazu*, CSW Zamek Ujazdowski, Warszawa
- 2009 *Żebro Ewy? Potencje męskości*, Galeria Studio, Warszawa
- 2010 *Ars Homo Erotica*, Muzeum Narodowe, Warszawa
- 2010 *Apogeu*, CSW Znaki Czasu, Toruń
- 2011 *Post – Gauguin*, Galeria BWA, Katowice
- 2014 *Nic nie czuję*, Otwarta Pracownia, Kraków
- 2015 *Królów jest bez liku*, F.A.I.T., Kraków
- 2015 *... i inne gwiazdy*, Muzeum Narodowe Gmach Główny, Kraków



Bez tytułu (46), 1977 - 2014, 80x100, olej na płótnie.

Arkadiusz Frania

AKWEDUKTY SNU, MIŁOŚCI I ŚMIERCI. O POEZJI LIDII ŻUKOWSKIEJ

Twórczość Lidii Żukowskiej (ur. 1932) nie rozpycha się słowami, które można byłoby uznać za jadowite, cyniczne, drwiące, dlatego już na wstępie moich wynurzeń krytycznoliterackich propozycje poetki z Krakowa określiłbym mianem „liryków przyjaznych literaturze”. Autorka zapisuje szepty, półgłosy, chrypki, po-dźwięki, zaciszenia (porównajmy np. tytuł poematu: *Socjusz Trzynasty Znak Zodiaku. Koncert na chór głosy i szepty*, SL¹), przez co jej teksty upodabniają się do mgławicy tonów kreujących barwę emocji. Lidia Żukowska ma przy tym szczególną skłonność do komponowania cykli lirycznych, formowania dłuższych lub krótszych poematów, które śmiało mogą posłużyć jako gotowe scenariusze spektakli poetyckich. W jednej z notek bibliograficznych znalazłem także wzmiankę, iż *Nieujarzmiona jesień – Idalia i Bonfiliusz* stanowi tekst libretta do opery pod tym samym tytułem (adaptacja Andrzej Jakubowski). Zatem: wypowiedź liryczna z nacistkiem na „liryczna” jest domeną „śledzonej” przez nas aktywności pisarskiej.

Tematyczno-stylistyczne położenie wierszy Lidii Żukowskiej wyznaczają zasadniczo dwie pary parametrów: współrzędne egzystencjalne (miłość – śmierć) oraz współrzędne wyobraźni (sen – woda). Powyższe strefy przeplatają się ze sobą, łączą i rozdzielają, infiltrują, przenikają, wreszcie penetrują zależne od siebie terytoria. Imaginacyjny duet zostaje poniekąd wspomozony (bezpośrednio lub pośrednio) semantyką tytułów niektórych książek; sen: *Słowa o zmierzchu* (1991), *Na krawędzi świtu* (2003), *Uwikłana w snach* (1994) *Nie kończą się sen* (2000) – woda: *Przenikając fale* (1998), *Pragnienie kropli* (2003).

Utwory stanowiące przedmiot naszego zainteresowania zdają się być korytarzami wodnymi, materią nasączoną płynami ziemi i nieba, lecz, co ważne, objaw ludzkiego i roślinnego bytu cechuje higroskopijność. Swoiste *credo* wilgotności sączy się z wiersza *Lubię deszcz*:

„deszczowe krajobrazy
te z dolin i znad rzek
kolory drzew nawilgłych
i mokre przy brzegach kamienie
tyle w nich soczystych barw
[...]
i nie ma ogrodu
jest tylko wielki nabrzmiały
szklisty pejzaż”
(US13)

Woda – jak bohaterka („mówisz – // jestem obłokiem / niemal mgiełką”, AŁ62) – przywdziewa różne formy. Z klasycznymi postaciami płynnymi (rzeka, deszcz, rosa) graniczą istnienia przetworzone, z *aqua*-poczęte, do których należy przede wszystkim zaliczyć śnieg, chmury i mgłę. Zwrot „śnieg na rzesach” (US23) ma swoje rozwinięcie w cytacie zawierającym sylogizm śnieżno-łzowy zrównujący genetycznie ciecz fizjologiczną przyrody i człowieka: „śnieg na rzesach / na rzesach łzy / łzy to przeźroczysty śnieg” (AŁ78). Powyższy schemat: „śnieg – łzy – śnieg” ma swój wariant skrócony, chciałoby się rzec (sic!) prawie-realistyczny, uwzględniający termikę rąk: śnieg – łzy: „pośrodku białej pustki / zbieram delikatne płatki / ciepło moich dłoni / zamienia je w łzy” (AŁ72). Ta „biała pustka” jawi się jako drugie imię „wiecznej ciemności” (AŁ74), zresztą nadmierne stężenie bieli kradnie oczom świat, rozmywa kształty i odległości, przez

co utożsamia się z mrokiem: „zasypane drogi / pada śnieg / [...] / noc i śnieg / zacierają czarne drogi / przez tę biel / idę do ciebie” (AŁ78). Ostatnie dwa wersy posiadają w moim odczuciu wartość zdania: brnę przez ciemność. W optyce wodnej tworzą się „zagubione krajobrazy” (US33); „ale możesz przez kroplę rosy / jak przez łzę / zobaczyć ziemię / w krzywym zwierciadle” (US38). Żonglowanie czernią-bielą, bielą-czernią implikuje motyw śmierci; podkreślmy również fonetyczny naddatek: śnieg – śmierć: „szłam z tobą / biała jak śmierć” (AŁ74), „noc a / wokół biała / nie od śniegu / nie od kwitnienia / od śmierci” (AŁ76). Rzeczowniki nie wyczerpują stylistyki ciekłej, która egemplifikuje się przecież w wyrazach czynnościowych, czasownikach od-płynnych, z rodziny wodnej: „na niebie / ogarnij mnie / zatrzymaj / za chwilę się rozpułnę” (AŁ62), „płyniesz z wiatrem obłoku / dobijając do wyps chmurnych / od dnia do nocy” (AŁ78), „słowa płyną łagodnie // [...] // zamykam oczy / by nie dojrzeć świtu” (US12), „wołam przez wodę / woda echo niesie / na daleki brzeg” (AŁ78). Co ciekawe, Lidia Żukowska nie zapomina nawet o po-nocnej wodzie: „rosa nocna na moich stopach” (US8).

Woda to znakomity stymulator rozwoju roślinności, jakże wiele czystej radości kryje się w notce niby-oznajmującej, a w istocie notce-zachwycie nad światem, który może być piękny jedynie w prostocie: „zakwitły nad rzeką kaczeńce” (US48), „bukiet z byle chwastów / postawiony na szarej serwecie stołu / w nocy pachnie / śpiewa” (US7). Nazewnictwo wycinków czasowych zaprzęga do działania słownictwo wyjęte z przyrody: „pora dżdżystych poranków / i spadających liści” (US15), powyższa fraza potwierdza, iż Lidia Żukowska przeszła również szkołę haiku – gatunku, w którym manifestuje się pazerność słów, usiłujących zagarnąć, wessać wszechświat za pośrednictwem chwili. Deklaracja jest czytelna: „słowa zamykają świat / w szklanej kuli” (ND65). Pozwolę sobie podać

jeszcze kilka tych „zagarnięć”: „wiem że jesteś obłokiem / otul mnie deszczem” (NS172), „okno w które patrzyłam / opustoszało / a ja wciąż / czekam na cud” (NS172). Osobno chciałbym wybić notacje: „mgła / tylko mgła / nie ma nic” (NS30), „mgła za oknem / zaciera granicę / niewymiernej przestrzeni” (AŁ64), przywodzące na myśl tekst-błysk sieradzkiej poetki Marii Duszki: „spojrzał w okno / w bardzo mglisty poranek: / «o, nie ma świata...»” (Maria Duszka, *I pomyśleć, że jesteś*, Wydawnictwo Krytyki Artystycznej Miniatura, Kraków 2003, s. 35).

Ważne miejsce w senniku Lidii Żukowskiej zajmują liryczne, ale drobiazgowo odtworzenia urojeń, przywidzeń, iluzji, imaginacji, jakie wstrząsnęły umysłem, a może i jawą bohaterki. Widzimy swoiste transmutacje, przekształcenia świata znanego z autopsji, doświadczeń, obserwacji; poniewieranie zasad racjonalnych na korzyść surrealistycznego wyzwolenia myśli i swobodnego łączenia słów-snów. Podmiot liryczny właśnie w snach mierzy się z potęgą mokrego żywiołu, uświadamia pobratymstwo, choć należy mieć na uwadze i tekst: „zielona woda otaczała moje ciało / ale nie dotykała mnie” (US31). Ciekawość tego, co pod powierzchnią, pod taflą jest silniejsza niż rozsądek i ziemia pod nogami: „a ja stoję / po kolana w wodzie / ciekawość pcha mnie w głęb” (US30). „W głęb”... siebie – i takie dokończenie miałoby swój ontologiczny sens. W *Burzliwym śnie* bohaterka niszczy pozorny dystans między „ja” i wodą, gdy wyraża się *explicite*: „jestem kroplą wody / może łzą / niewyobrażalnie rosnę / przepływają we mnie ryby / ale one są ptakami” (US29). Przywołajmy także głos lubelskiej poetki Elżbiety Cichli-Czarniawskiej z tomu *Przędziwo (małe prozy)* (POLIHYMNIA, Lublin 2009, s. 32): „Z gniazda wyleci ludzkie piskłę, które najpierw było rybą. Gdy dojrzeje, zatęskni do powrotu”. W kolorycie hydro-genetycznym utrzymano *passusy*:

„dzisiejszej nocy
w rozmowie wiatru z morzem
wzbijałam się falą
i byłam morską kipiela
potęgą kołysaniem
i szeptem morza”
(US32)

„na grzbiecie fali
na dnie jestem morza rytmem
i ciszą
światłem zmieniającym
barwę glonom
i srebrzystą poświata”
(US45)

Odbiorcy są zatem świadkami pisania
w pierwszej kolejności autobiografii akwa-
tycznej, skoro „ja” żarłocznie pochłania cza-
soprzestrzeń (=uniwersum) wodne. W liryku
Ja fala czytamy:

„wolno zamieniam się
w falę samotną
płynącą promieniem księżyca

szukam zatoki
ale postrzępiony brzeg
raniąc odręca

płynę
stale płynę
przez zmienne poranki
do ściemniałego horyzontu”
(NS16)

Dynamizm odśrodkowy, wyobraźnia
zaborcza i międzyrodzajowa czynią wiersze
Lidii Żukowskiej niezwykle sugestywnymi.
Fraza: „przepływają we mnie ryby / ale one
są ptakami” (US29), zostaje dopełniona
zapisami: „na moim obrazie jest woda
światlista / z przeźroczystym dnem / płynę
rybą” (US45), „o świecie zbierałam z ziemi
/ ociekające wodą ptaki / i rozsypałe moje
palce” (US31). Kwintesencję dojrzałości osoby
mówiącej w poezji Lidii Żukowskiej stanowi

uprzytomnienie sobie zmienności natury
kobiecej, ale i jej nieokiełznanie. Zauważmy
jak wiele konterfektów damskich zawiera
cykl *Portrety* ze zbioru *Nie kończący się sen*,
w tym emanujące siłą żywiołów; podajmy
kilka symptomatycznych tytułów: *Ognisko*,
Ja ogień, *Ja fala*, *Ja mgła*, *Ja kamień*. Dla za-
chowania równowagi przedstawię też portret
„płomienisty” z *Ja ogień*: „płonie moje serce /
płoną moje ręce / moja głowa płonie / moje
nogi płoną // gdzie ogień się kończy / ja się
zaczynam” (NS14). Nie sposób nie przywołać
w tym momencie wyimku z wiersza *Spojrzenie
ziemią* Teresy Ferenc (*Ogniopis. Wybór wierszy*,
Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2009,
s. 51): „widzę twój ogień / twoje powietrze /
twój ocean / (każdy orze swój żywioł)”. Lidia
Żukowska istotnie „orze” przede wszystkim
dwa żywioły, z ich antynomii, tworząc indy-
widualność swojej bohaterki i osobowość nie
do podrobienia, co znamionuje (ognisto-)
wodny temperament, poniżej w mutacji
na wspak: „nie podchodźcie do mnie / mści-
we furie / bom dolina bez powodzi / ogień
bez pożaru” (NS110). Podczas kilkakrotnej
lektury tekstów poetyckich Lidii Żukowskiej
nie opuszczało mnie przeto przeświadczenie,
iż charakteryzują one różne stany skupienia
postaci lirycznej. Kalejdoskop „ja” doprowa-
dza bowiem do pytania:

„tyle razy ze zdumieniem
pytam samą siebie
czy jestem tym kim jestem
gdy maluję obraz
piszę wiersz
wypiekam ciasto dla ciebie”
(US39)

Oczywiście „ciebie” jest „nim”, partnerem
lirycznym, ale równie dobrze mogłoby stać
się „ja”. Stan duchowy bohaterki wizualizuje
się poprzez opis z muszlą; „ja” to „ona”, choć
ukrywająca się pod postacią skorupy, innej
formy egzystencji (skamieliny, minerału?):

„w młodości dostałam muszlę
z małym życiem

szukam na dnie pamięci
 lęku o małe zwierzątko
 [...]

szukam muszli
 była zamknięta”
 (US41)

To poszukiwanie jest niczym innym jak odpamiętywaniem siebie, cytatem dawnych emocji albo – co bliższe prawdzie – próbą ich odnalezienia we własnym wnętrzu, zrównania się z nimi, dorośnięcia; „teraz / wszystko się zaczyna / we mnie / i w głębi ogrodu” (US9) – czytamy w *Narodzinach*. Podmiot liryczny z „kiedyś” przenosi do „dzisiaj” – introwertyzm (dosłowność: „muszla / była zamknięta”) kobiety mającej przed (za) sobą – wiele „ja”. Przeczytajmy również: „tam u wybrzeży zostawiłam / muszlę spadłą z nieba” (NS68). Pamiętajmy, iż szkielet zewnętrzny mięczaków symbolizuje zarówno duszę ludzką, jak i niedostępność, ochronę życia, a także śmierć (Władysław Kopaliński, *Słownik symboli*, Wydawnictwo „Wiedza Powszechna”, Wydanie IV, Warszawa 1997, s. 239-240).

Powróćmy do tematyki hipnotycznej: wiersze noktowizyjne obejmują zasypianie, sen, przebudzenie. Warto przyrzeć się „rozkładowi nocy”, jej poetycko-mechanicznej wiwisekcji:

„rozbieramy noc
 na części
 przed północ
 północ
 świt

 świt
 na północ snu

 skrawek nocy
 za horyzont się chowa
 jaśnieje niebo
 pokój czerwienią płonie”
 (DN40)

Sen to niekiedy zjawisko zwiewne, mgławicowe, znikome, efemeryczne, ulotne („w śnie błękitnych powoi / tańczących obłoków / rozbłyśnie wszystko wkoło”, AŁ48; „sen pachnący / wiecznym pragnieniem”, US53), mogące jedynie stanowić niewdzięczny przedmiot wytłumaczeń i czytań. Autorce pozostaje wówczas skwitowanie tego faktu gotowością pisarską, pogotowiem literacko-malarskim, ostrym dyżurem artysty:

„nie będzie zdjęcia
 z nocnych wakacji
 nie można sfotografować snu
 ale można opisać wierszem
 namalować na płótnie
 sen
 chociaż jak zapach
 jest ulotny”
 (US28)

Dominium Morfeusza cechuje się także metryką słowną, choć warunkiem koniecznym spełnienia takiego przepisu jest paradoksalnie przeciwieństwo mówienia – bez-słowność: „W takiej ciszy / sen się splata / z naszych słów” (AŁ118). Choć „są też słowa których się nie wypowiada / a które śnią się po nocach” (US27).

Sen nie zawsze oznacza wytchnienie, odpoczynek po ciężkim dniu; zasypianie bywa często groźną drogą w koszmar, w przestrzeń zamkniętą, unicestwiającą bohaterkę. Nie wolno pominąć niezwykłego w swojej sile, emocjonalnego rażenia utworu-grozy *Requiem dla rodziców*, który dotyka bolesnego zdarzenia z wojennego dzieciństwa, przedstawionego w perspektywie zimnego, ale krwawego snu: „widziałam kiedyś biel w światłach reflektorów czekałam z nosem w szybie na świętego Mikołaja gwiazdy spadające z nieba ślały drogę dla świętego ale on nie przyszedł

przyjechali Niemcy
i zabrali Ojca
i ojca Kaśki
i ojca Barbary
i ojca Teresy
i ojca ...”
(ND31)

Aresztowanie rodziców przez okupantów odbywa się zimą, w okresie Świąt Bożonarodzeniowych; stylistyka śnieżna zaczyna się już w pierwszym wersie „widziałam kiedyś biel”, ale reportażowe wskazanie ojców przygotowuje scenę lamentu z kontekstem mitologii greckiej:

„potem na drodze
stała Matka
Niobe zasypała śniegiem
śnieżne gwiazdy
gasła noc
wracali do nieba
tylko mróz
grał na łożach
spadały
po twarzy
kulami”
(ND31)

Obraz na przemian zamraża i rozpala wyobraźnię, podobnie jak zbiór *Wypalona dolina* (1979) Teresy Ferenc, gdzie poetka oswaja temat śmierci rodziców, zabitych przez hitlerowców.

Jutrznia ulega wtedy zabarwieniu oczekiwaniem podmiotu lirycznego na los czy zdarzenia niepoohamowane, konieczne, bolesne: „tratują mnie minuty czekania / na świt i wyrok” (US24), „i tak stała przez całą noc / wyczekując świtu” (AŁ16), a także niespełniającą się nadzieją na powrót kochanka (zmarłego?), któremu kobieta obiecuje w nagrodę pieszczoty w scenografii świetlnej brzasku: „i pocałunek o poranku / pachnący ziołami // dam ci to wszystko / tylko wróć” (AŁ54). Bezsenność ma homogeniczne synonimy drżenia, desygnaty lęku, skoro sen

może być równie dobrze majakiem: „wciąż ten niepokój we mnie / obecność czegoś nieznanego / czyhającego przed snem i poza snem” (US14). Dla rozszerzenia kontekstu interpretacyjnego zauważmy jak Elżbieta Cichła-Czarniawska obłąskawiła wizyjność: „O niespodziewanej godzinie zjawiają się obłamki minionego, szczątki obrazów, raczej widzeń”, „I świadomość, że tyle tych widzeń, ile ciebie. A później? Niepoznawalne” (Elżbieta Cichła-Czarniawska, *Przędziwo*, s. 7, 14).

Po kilkakrotnej lekturze zbiorów Lidii Żukowskiej wbija mi się w oczy czytelnicze szczególnie aura funeralno-miłosna gorejąca zwłaszcza w pierwszej fazie twórczości poetki, wyjątkowo gęsta (wręcz przegęszczona) w tomie *Socjuszowe lata*. Mamy wrażenie, że podmiot liryczny żegna się z kimś bliskim, opłakuje czyjeś odejście, nie dopuszczając jednak myśli o śmierci; nieudolnie, ale i podświadomie, irracjonalnie stara się wypełnić próżnię, pustostan serca. Tęsknota w poezji Lidii Żukowskiej wykazuje zatem zakorzenienie erotyczne i zaświatowe. Po stracie najbliższej osoby nastaje *Martwy czas* (SL21), w którym trzeba owoić się ze śmiercią. Motyw ptaków, wron, wróżbitek (SL21) nieco teatralizuje rzeczywistość wyznania braku, ale stanowi jedyny sposób na wyrażenie smutku: „jak daleko jesteś / skoro nie czuję / ciemnej oddali // tutaj czekanie / trwożnym ptakiem” (ND18), „wyprowadzam na spacer / swoją tęsknotę / a ona zapala świeczki / za każdym zakrętem” (SL25). Zresztą sama śmierć jest traktowana przez bohaterkę jako zwycięska rywalka: „o jakże zazdroścę tej / z którą odszedłeś / na wieczność” (SL33); tę przewrotną formę zazdrości filtruje ból: „i już kłoda powalony / pod nogami ból” (SL39), którym kostucha infekuje homo sapiens:

„jestem sprzymierzona ze śmiercią
jak pamięć z niepamięcią
noc z dniem
ogień z wodą
[...]

nic nie jest ważne
tylko ten obłok
który na horyzoncie zniknie
i nigdy już nie powróci”
(SL23)

Niekrwiste przeistoczenie w elementy przyrody: „leci Panna / ptakiem lekka” (SL14), sąsiadują w poezji Lidii Żukowskiej z oryginalnymi pejzażami mentalnymi, gdzie zjawiska natury przybierają ludzką immanentną barwę, obrazują nasze przeżycie, stany psychiczne. Szczególne nasilenie tego typu obrazów, zwłaszcza z wykorzystaniem metaforyki drzewnej, znajdziemy w tomie *Socjuszowe lata*: „jestem bez Ciebie / roztrzaskanym drzewem” (SL34). Wiersz *Płot* prezentuje stadia rozpacz, ciąg czasowy: zielone drzewo (życie, rozkwit) – płot (łkanie, zdrętwienie):

„drzewem byłem zielonym
w roziskrzonym słońcu
w wietrze szalonym
byłem przystanią
ładowiskiem ptasim

ale zdrewnieć mi przyszło
i z wolna płotem się staję
chroniącym pamięć
o życiu przeszłym”
(SL29)

Podmiot liryczny od roślin uczy się trwania mimo przeciwności losu: „przy drodze / biało różowo kwitnący groch / wspiał się po tyczce / w niebo // [...] // jestem grochu podobna” (NS26). Przypomnijmy poemat-tren *Ruda turzycy*, który poetka poświęciła pamięci Michała Łyska, zamordowanego studenta IV roku matematyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zapoznajmy się z komentarzem odautorskim:

„W mojej wyobraźni realia [ulice] zastąpiła łąka – porośla ostami, krzewami, turzycą – rozległa. Pusta przestrzeń między niebem a ziemią. Miejsce największej, ludzkiej samotności – samotności śmierci.

Nad tym miejscem unosi się ptak – symbol przeznaczenia, nieśmiertelności.

Według wierzeń starosłowiańskich i Dalekiego Wschodu w nim ludzka dusza znajduje ukojenie i mieszkanie po śmierci.”

(RT[5]).

28 trenów składających się na cykl *Pośród cieni (treny)* (SL) ma poniekąd charakter wysubtelnionych erotyków. Utwory kierowane do osoby zmarłej wskrzeszają ją, obdzielają życiem wspomnień; tu dzieje się nieustanna rozmowa, wyszeptana, wysłuchana, wymyślona: „mówisz – // jestem obłokiem / niemal mgiełką / na niebie / ogarnij mnie / zatrzymaj / za chwilę się rozpułnę” (SL37). Mgielne, eteryczne, znikome, nieuchwytnie – takie jest życie: „mówię – // pójdziemy w pole po wiatr / a już wiatr zaciera ślady” (SL39), „jesteś kruchy / jak pajęczyna / rozpięta wśród bylin” (SL51). Podmiot liryczny w swojej postawie filozoficznej bliźni się z ortodoksyjnym egzystencjalizmem, wanitatywnie przeświadczenie o istnieniu każe pisać z pełnym przekonaniem „tu i teraz”: „powolne umieranie / jesteśmy już tylko / coraz smutniejsi” (SL41), „coraz bardziej ubywasz / coraz bardziej odchodzisz / komu powierzę swoją rozpacz” (SL46).

Bohaterka w końcu porywa się na akt buntu (*anty-credo*): „nie wierzę w życie wieczne / nie wierzę / że ciebie już nie ma” (SL57). Na wieść o śmierci ukochanego wypieramy ze świadomości, wymazujemy z kalendarza zdarzeń realnych ten czarny fakt, bluźnimy życiu i Bogu; ze swojej małości, niezdolni do przeniknięcia wielkiego planu Stwórcy, gubimy się we własnych domysłach. Spowiedź człowieka doświadczonego, ale mądrego bólem przeżyć odnajdziemy w tekście *Pozostawiony list*:

„szukałem prawdy w bogu
pewnie źle szukałem
szukałem miłości
znalazłem cierpienie
szukałem człowieka

znalazłem samotność
z radości życia pozostał
tylko śmiech
pusty śmiech”
(PK17)

Gorzki nastrój nie oszczędza tekstu, jak i czytelnika. Trudno się temu dziwić, przecież zawiedzione nadzieje obejmują najważniejsze obszary aksjologiczne: wiarę, miłość, człowieka. Dopatruję się w *Pozostawionym liście* podskórnego echa jednego z wierszy innej krakowskiej autorki – Anny Kajtochowej, z którego dla poświadczenia moich przypuszczeń o powinowactwie przepiszę pierwszą i ostatnią zwrotkę: „I zapyta Pan: / co uczyniłeś z życiem swoim? / [...] / A w ogóle / to tak po prostu / usiłowałam być / człowiekiem” (Anna Kajtochowa, *Poezje wybrane*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2009, s. 47).

W tej części rozważań pora przyrzeć się bliżej dwóm większym strukturom sercowym w dorobku Lidii Żukowskiej. Poemat *Socjusz Trzynasty Znak Zodiaku* wyświeśla narodziny wielkiej miłości Panny i Socjusza, uczucia do zachłyśnięcia, kochania idealnego, wzorca uczuciowego „trwam”. Akt ekscytacji realizuje się z podpórką figury hiperbolizującej: w teatrze kosmogenicznym, w przestrzeni niezemskiej czy – jak chce sama autorka – „wniebniej” (SL12). Wszystkie zjawiska w *Socjuszu Trzynastym Znaku Zodiaku* podniesiono do rozmiarów konstelacji, dróg gwiazdnych, orbit. Tekst jest bez wątpienia stylizowany na mit o tchnieniu romantycznym: „obejmuje Socjusz krawędź koła / sześcioma rękami / szmaragdowa szarfa / spływa z bioder w dół / a nad uchem / z rajszych piór grzywa złota” (SL11). Zmysły ukrywają się za słowami, które nie pachną seksualnością, ponieważ są platonicznym hymnem na cześć odrealnionej bliskości: „tańcz w senności w miłowaniu” (SL12), „stroi się Panna / przegląda w lustrze nieba / snem wiosną i kochaniem / rozkwitła” (SL13). Koło jako symbol doskonałości i nieskończoności

(nieskończoności doskonałości uczucia tych dwojga) pojawia się we fragmencie: „koła / koła / coraz to szybsze zatacza / coraz to większe tworzy kręgi” (SL12). Wirowanie przeradza się w taniec, w kinetyczną świadomość każdej części kobiecej fizyczności: „dłonie Panny / roztaczają koło-senność / tańcz wołają oczy / tańcz wołają usta / tańcz wołają włosy / tańcz woła Panna cała” (SL11). Odejście od ciała w stronę energii ideału – jest wiele przesłanek, by również tak określić erotyki funeralne z pierwszych wynurzeń artystycznych Lidii Żukowskiej.

Z kolei epos miłosny *Nieujarzmiona jesień* – *Idalia i Bonfiliusz* przynosi opis zakazanej miłości jurnej dziewczyny i zakonnika. Poemat kryje odwołania do kuszenia, grzechu pierwotnego i wypędzenia pierwszych ludzi z Raju: „Drzewa wędrują w czerwień. / Bonfiliusz podnosi jabłko z trawy / i w dłoni je trzyma. / Idalia widzi szatana / pod skórą zieleni” (NJ2). Ten utwór zaliczyłbym do grona porcelanowych, niecielesnych, choć końcowa sekwencja już nieśmiało paruje namiętnością: „Idalia w ziemię wrosnięta, / w jabłoń zamieniona, / na wiosnę turkawkami zakwita, / a jesienią – jesienią / czerwonymi jabłkami / usta Bonfiliusza całuje!” (NJ48). Epizod w jakimś sensie odświeża, chyba raczej tylko nawiązuje do mitu o Dafne; przypomnijmy, iż nimfa, uciekając przed zalotami Apollina, prosi o pomoc matkę Ziemię, która przemienia ją w drzewo laurowe. Transformacja Idalli następuje tu po modlitwach Bonfiliusza o zmiłowanie, czyli także o wybawienie przed rozwojem uczucia gorszącego pospółstwo. Bóg jest miłosierny, nie odbiera całkowicie swojemu słudze (Bonfiliusz w języku łacińskim znaczy „dobry syn”) ukochanej, pozwalając na sezonowy (jesienny) kontakt z Idalią w ramach zrywania i jedzenia jabłek. Gwoli ścisłości podam, iż w zbiorze *Pragnienie kropli* natkniemy się również na epizod z drzewem-żywicielem ptaków: „kochankowi serce płonące / żarem miłości / niech posadzi jabłoń dla turkawek”

(PK55). Co ciekawe, autorka lubuje się w jesiennej erotyce; poza *Nieujarzmioną jesienią* przeczytajmy na przykład *Listopadowy erotyk*, który odmalowuje pejzaż seksualizmu przyrodniczego: „skiby rozłożone / jak skrzydła w locie / nad polami mgły / w las uciekają zające / moje włosy czesze wiatr / a może twoje ręce” (ND51). W innych tekstach teatr czułości rozpała gesty natury symbolizujące relacje kochanków: „wiatr / musnął moją twarz / delikatnie / jak twoje usta // przyprowadził mnie o zawrót głowy” (US10).

Wyjątkową pozycję w twórczości Lidii Żukowskiej zarezerwowałbym dla *Koncertu na szepty...* Zbiór ma bowiem coś z transfuzji liryki erotycznej. Po salonowo-kulturowych obrazach miłości, gdzie ciało było jedynie symbolem pozbawionym energii i chuci, w tomie z 2005 roku, mimo klawesynowo-idealistycznych tonacji tytułu, autorka postanawia pokazać kochanków przy zapalonym świetle, zdzierając pościel. Oczywiście, smak finexji i wrodzony estetyzm poetki nie doprowadzają do przekroczenia artystycznych granic wypowiedzi miłosnej, poza którymi utwór zsuwa się na manowce pornografii. Subtelność zmieszana z dzikością porywów funkcjonuje w zapisie: „obejmujemy nasze ciała / z delikatnością motyla” (KS10). Akt płciowy został przedstawiony jako zaborczość ujarzmiona, nie brak zatem opisów zdarzeń seksualnych poprzedzających penetrację wnętrza ciała/duszy, to znaczy grę wstępną: „pragniesz zgłodniałego wyśnienia / gniazda w zaroślach ukrytego / idziesz wolno całując jej uda // budzisz wszystkie ptaki / przed wzejściem słońca” (KS12). Wyobraźnia i linia telefoniczna są znakomitymi narzędziami częściowego wyładowania podniecenia, jak w wierszu *Dobrej nocy przez telefon*:

„całuję twoje plecy
to nie wiatr
to ja – włosy twoje pieścę
smukłą szyją po kręgach
schodzę w dół
do studni życia

piersi twoje
w moich ustach tężeją
lekko brzusek unoszę
i krągle pośladki
policzkiem pieścę
raik niech poczeka
do jutra”
(KS13)

Męskiego bohatera wierszy Lidii Żukowskiej cechuje jednak szlachetny umiar, cierpliwość; *hot sex line* musi studiować dobre wychowanie dżentelmena, szarmanckiego w każdej sytuacji (a może to miłość, w którą wkraść się chłodek angielski?). Poetka oferuje nam wiele mniej lub bardziej oryginalnych nazwań narządów płciowych kobiety i ich funkcji: „studnia życia” (KS13), „raik” (KS13), „gniazdo w zaroślach” (KS12), „runo czarne” (KS41), „błyszczące kędziory / wzgórką” (KS47), „moje runo” (KS50), „schowam cię teraz w swojej muszli” (KS56), „piękno kwitnących piersi” (KS15), „piersi twoje / w moich ustach tężeją” (KS13), „nocą pękają piersi / z nadmiaru tęsknoty” (KS18), „piersi / pulsujące w oczekiwaniu” (KS41). Chciałbym zwrócić uwagę na wielce odkrywczą metaforę: „mój brzuch z pępkiem / fantazyjnie związanym” (KS41). W liryku *Samotność* egzemplifikuje się motyw rozbierania ze wstydu, namiętne kuszenie nienadchodzącego kochanka atrybutami kobiecości: włosami, ramionami: „rozpuszczała włosy / by być jeszcze bardziej nagą / tyle razy rozbierała ramiona... // oszalała z czekania” (KS15). „Rozchyłam siebie / w twoich ramionach” (KS19) to doniesienie o otwarciu, zaufaniu do partnera: „moje łono otwarte / dla spełnienia” (KS38). Lidia Żukowska jest również autorką *passusu* nawiązującego do konchy, która wizualizuje oczekującą na spełnienie płciowość: „w mojej zatoce / gwiazdnym ogrodem / szmaragdowych fal / zakwitasz” (DN39). Z wiersza *Brzuch* Teresy Ferenc (z tomu *Ogniopis. Wybór wierszy*, s. 55) przepisujemy pierwszych dziesięć wersów z motywem brzucha-muszli:

„Brzuch jak niebo
 Niebo jakie
 Jak muszla różowa
 rozpięta szumnie
 Muszla jaka
 Z przełęczami
 Jakie przełęcze
 Ziarna pełne
 Jakie ziarna
 Usypiska”

W otwarciu motyli skrzydeł przemawia sensualistyczna gotowość kobiety na przyjęcie ciała i duszy oblubieńca: „barwne motyle / leniwie rozchylają swoje skrzydła” (US9). Pragnę zwrócić uwagę na przysłówek „leniwie”, który można zinterpretować w kategoriach dziewczęcej kokieterii, gry miłosnej. Gdzie indziej czytamy też: „obejmujemy nasze ciała / z delikatnością motyla” (KS10). Dodajmy jednakże, iż ten sam motyw otwartych skrzydeł w liryku *Nic się nie stało* krakowska autorka umieściła w kontekście samotności bohaterki: „krzyk jej otworzył usta / jak motyl skrzydła do lotu” (US18).

Akt spełnienia seksualnego rozpatrywany jest także w kategoriach łowca – łup: „jego ciało / zwielokrotnia jej pożądanie / on / czuje się lwem / liżąc swoją zdobycz” (KS20). Również w *Takim obrazku* poetka umiejscawia rozważania o ukochanym w anturazie myśliwskim, nasycając wyznanie miłosne antycypacją polowania na zwierzynę (=mężczyznę), porównajmy na przykład arcykawy fragment: „wszystkie tropy / saren zajęcy psa / biegną do lasu / tylko te twoje / do moich drzew” (ND52). Bohaterka zwabia adresata westchnień i pożądliwości; śledzi, by zniewolić; wyznaje, by zaanektować, zawłaszczyć, spacyfikować. Ale jest w tym również urok masochizmu, gdyż ograniczenie swobody to w jakimś stopniu samo-uwięzienie: „myślałam / że świat / to tylko / my / zamknęłam go / w klatce” (ND56). Podmiot liryczny swoje zachowania intymne analizuje w pierwszej kolejności jako ceremonię literacką, a następnie

w sferze skórnej: „ten pierwszy dotyk / to erotyk / ten drugi / to tylko dotyk” (ND59).

Z tytułu wiersza *Koncert na róg W. A. Mozarta* (KS27) czy z jego urywka: „[części ciała] tańczą posłuszenie / pod sprawnym fletem dyrygenta” (KS28) odczytujemy muzyczno-erotyczne terminy męskiej płciowości; w *Chłopcu ze snu* znajdziemy zapis: „smyczek zaś był najbardziej ruchliwy / jaki kiedykolwiek widziała” (KS35). Na marginesie pragnę zaproponować asocjację znaczeniowo-fonetyczną: smyczek – samyczek – samczyk. Kobieca zachłanność nakierowana na świat przygotowuje dokładnie scenerię miłosnych wojaży z elementami niegroźnego fetyszyzmu, sycącego zmysły: „wiem chce włożyć swoją twarz / w delikatność majteczek” (KS32), stymulującego: „kwiaty zielone liście / piękna bielizna / jedwabistość pościeli / wytrawne wino / wykwentne sery / perfumy / pończochy” (KS24), „leżę naga / jedynie / stopy w szpilkach / małymi brylancikami / połyskują w płomieniach” (KS27), „na krześle leżą: / przezroczyste koronki / zdjęte z mego ciała / i pończoszki z czerwoną wyhaftowaną różą” (KS32). Bielizniarstwo w liryce miłosnej eskaluje skojarzenia interpretacyjne. Wśród opisów zmiennych rytmów ciała bohaterki artykulacji doczekała się pozycja nie tylko *sensu stricto* jeździecka: „on siedzi / wie że za chwilę / jak foryś okrakiem / usiądę na jego / niecierpliwym ostrzu” (KS32), „cała płonę / czekając byś mnie pochylił / w rozkoszy” (KS41). Dżokejka w tekście *Szaroskrzydła noc* przeobraża się w kłacz symbolizowaną przez uzdę: „pełen dzikości / pędzi jak jeździec / któremu spieszo / na weselną ucztę / ona jest uzdą konia / woła pędź” (KS47). Zwróćmy uwagę, jak poszerza się „narzędziownia” samcza: flet, róg, smyczek, „niecierpliwie ostrze” (KS32), a także wąż w *Łąkowej bogini*, która zasługuje na miano liryku erekcyjnego: „czekam na harfiarza tristana / z sercem uwodzącym / i na węża ofiona / by mnie zapłodnił” (KS44). „Koncert na szepty” staje się w istocie „koncertem na nagość i pończochy”.

W arsenale zachowań sensualistycznych umieścimy po raz kolejny wszelkiego rodzaju drgania, wibrowania, falowania, pulsowania, ruch rytmiczny, zmienny, chimeryczny, tym razem dosłowne, a nie „wniebowzięte”: „w twoim zachwycie / falują moje piersi / przeży się brzuch rytmicznie” (KS41), „nasze oddanie / zespolone w jednym rytmie” (KS38). Skrajną, najpełniej wrażliwą strategią wabiącą oblubienicę/oblubieńca zdaje się być taniec. Sylvia Plath zanotowała w dzienniku: „Taniec jest zazwyczaj preludium do stosunku” (Sylvia Plath, *Dzienniki 1950-1962*, opracowała Karen V. Kukil, przełożyli Joanna Urban i Paweł Stachura, Prószyński i S-ka, Warszawa 2004, s. 22). „Chłopiec ze snu” w liryku pod tym samym tytułem: „wykonywał taniec żądz / delikatnie kołysał swoje ciało / rytmem zrazu niepozornym” (KS35). Południowy, grecki temperament wypełnia szczególnie *Zorbę*:

„balansujemy na krawędzi
rozigranych ud
moje włosy
maską na twojej twarzy
w tym rytmie
stajemy się jednopienni
czujesz wibrujące moje ciało
[...]
tańcz łanio gazelo
tańcz dziś dla mnie”
(KS52).

Porównywanie kobiet do zwierząt jest symptomatyczne między innymi dla twórczości arabskiej, zacytuję zatem fragment poematu Imru al-Kajsa:

„Odwróciła się pokazując swój gładki policzek
jak ostrożna gazela z Wadżry,
która pilnuje potomstwa.

Jej szyja,
podobna do szyi białej antylopy,
jest piękna, gdy ją unosi bez codziennych ozdób”

(*Siedem kasyd staroarabskich (Mu'allaki)*,

opracował, słowem wstępnym i komentarzami opatrzył Janusz Danecki, przełożyli Aleksandra Witkowska i Janusz Danecki, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1981, s. 37).

Przy analizie *Koncertu na szepty...* wartą odnotowania wydaje się metoda supelkowa (termin stworzony dla potrzeb tego szkicu) w przedstawieniu zbliżeń, czyli związywanie-rozwiązywanie (w domyśle: zamykanie – otwieranie): „w najskrytszych / zakątkach ciała / wszystko zaplątuje się” (KS18), „pieszczota splątanych nóg” (KS38) – „rozpuszczała włosy” (KS15), „wysmukłą dłonią / rozwiązuje sploty / jej ciała // [...] // on rozsypuje pieśczętą płomieni / wszystkie węzłki / wiodące do jej krzyku” (KS47), „z rozchyłeń ramion / wypuszczam ptaki wyśnione” (KS56).

W wielu wierszach Lidii Żukowskiej można dostrzec ekoklimat poezji jej wielkiej poprzedniczki Haliny Poświatowskiej. Podobnie jak autorka *Hymnu batwochwalczego*, pisarka z Krakowa zbliża się do wielkich miłosnych historii znanych z literatury powszechnej, przede wszystkim Romea i Julii oraz Tristana i Izoldy. Lidia Żukowska powołuje jednak do istnienia Julię niezaspokojoną, zrywającą z losem wiernej tylko Romeowi, a upajającą się grzesznymi kontaktami z wieloma mężczyznami: „jej ukochany / miał wiele imion / wszystkie miłości / przeprawiła / na ciemny brzeg” (ND12). U Haliny Poświatowskiej czytamy natomiast:

„Jestem Julią
mam lat 23
dotknęłam kiedyś miłości
miała smak gorzki
jak filizanka ciemnej kawy
wzmogła
rytm serca
rozdrażniła
mój żywy organizm
rozkołysała zmysły”

(Halina Poświatowska, *Rozcinam pomańczę bólu*, wybrała i wstępem opatrzyła

Rena Marciniak, Spółdzielnia Wydawnicza ANAGRAM, Warszawa 1992, s. 18).

Wybranków spotkały jednak różne losy; Romeo jest esencją miłości, która minęła – On porzucił (Halina Poświatowska), ale u autorki *Uwikłanej w snach* losy Romeów są niejasne, bowiem fragment: „wszystkie miłości / przeprawiła / na ciemny brzeg” można interpretować dwojako: albo Ona była modliszką wcieloną i po każdym zbliżeniu pożerała partnera (wersja *hard*) albo, strojąc się w emancypację i feminizm, pokazywała przedmiotowi męskiemu drzwi (wersja *light*). Julie obu poetek są natomiast długowieczne; mówi o tym Halina Poświatowska wprost: „Jestem Julią / mam lat tysiąc / żyję –”, Lidia Żukowska zaś sugeruje: by poznać wielu partnerów, potrzebny jest czas. Traktując rzecz całkiem serio, obie Julie istnieją poza czasem, będąc przecież symbolem uczucia idealnego, niemniej nawet pół-żartobliwe zestawienie dowodzi drożnych korytarzy tradycji. Związek Tristana i Izoldy ma w krótkim tekście krakowskiej poetki *Radość poduszki* wymiar senno-prześcieradłowy: „Tristan – Izoldo! / Poduszka – to ja / to tylko ja” (ND44), podczas gdy u Haliny Poświatowskiej liryk ***(*tutaj leży Izold jasnowłosa*) sytuację liryczną konstytuują rozważania szpitalno-ontologiczne. Nadmienię również, że nawiązaniem do tekstu o incipicie ***(*ptaku mojego serca*) jest choćby fragment: „dałaś mi ptaka / szybciej od twojego / bije jego serce” (ND22).

Będąc przy tekstach skropionych woniami erosa, musimy zacytować dwuliterowe westchnienie – oddech osoby przepojonej czułością, w stanie, gdy słowa niewiele już wyjaśnia – w *Eroticonie*: „ON” (US16); wiersz tak minimalistyczny w zapisie stanowi przykład nazywania zjawisk pierwszych, najważniejszych – w tym przypadku – odnoszących się do obszaru relacji damsko-męskich.

Omawiana twórczość nie jest raczej liryką przedmiotów, bibelotów, drobiazgów, lecz chmurek abstrakcji, rozważań telepatycznych. W zbiorze *Niczyja jest dal* poetka umieściła wiersz *Kufer*, w którym wspomnienie chłopięctwa, narastające podczas sprzątanía strychu, egzemplifikuje się poprzez wydawałoby się protokolarne wypunktowanie rekwizytów przeszłości:

„szmaciana lalka
pierwszy pamiętnik
zasuszony bukiet
odcięty warkocz
suknia w której tańczyłam
walca Webera
na prawdziwej scenie
jego guzik kamień spinka
są tam jeszcze rodzinne pamiątki”
(ND23)

Ten pozornie suchy spis z natury zostaje ukrwiony wstrzyknięciem zapisów okalających powyższy arkusz inwentaryzacyjny; poprzedza go zdanie: „dziś już niepotrzebne:” (ND23), zamyka zaś fraza: „tajemnice wołają / ratunku” (ND23). Na marginesie uzupełnię, iż baletki z wiersza *Nogi* właśnie w walcu Webera udowadniają swoją gimnastyczną przydatność: „[nogi] dotykały scen świata / przetańczyły tysiące mil / są już stare // dzisiaj nałożono im baletki / śmiesznie wyglądają / w walcu webera” (PK14).

Chciałbym poświęcić kilka zadań graficznej oprawy publikacji autorki. Wśród artystów plastyków wzmacniających swoimi dziełami wiersze znaleźli się m.in. Paweł Kotowicz i Marek Terlecki (*Socjuszowe lata*), Jaga Karkoszka (*Niczyja jest dal, Nieujarzmiona jesień – Idalia i Bonfiliusz* – 2001), Andrzej Bertrandt (*Ruda turzyca*), Marcin Kołpanowicz (*Dotyk nieba. Wiersze z przełomu wieków XX/XXI. 1999-2002*), Jerzy Napieracz (*A chciałam o tyżce..., Koncert na szepty...*), Grażyna Korpala (*Nieujarzmiona jesień – Idalia i Bonfiliusz* – 2007). Ponadto

należy zasygnalizować pojawienie się bibliofilskiego wydania druków poetyckich; w Tece I *Pejzażu Poetyckiego* pt. *Diament* z 1996 roku – obok m.in. tekstów Józefa Barana, Haliny Poświatowskiej i Tadeusza Śliwiaka – zawarto kartę z wierszem Lidii Żukowskiej *Bez Ciebie...* Przypomnę, iż każdy z utworów był opracowany graficznie przez Marka Terleckiego. Poetka rozszerza zasięg oddziaływania i kręgi odbiorców nie tylko poprzez symbiozę słowno-ikonograficzną, lecz także dzięki tłumaczeniom na języki: francuski (Claude-Henry du Bord i Krzysztof Jeżewski), esperanto (Lidia Ligęza i Andrzej Kołpanowicz), niemiecki (Karl Grenzler), angielski (Marcjanna Góralczyk-Przychocka). Prócz wydań dwujęzycznych (polsko-francuskiego, polsko-niemieckiego) została opublikowana specjalna czterojęzyczna (polsko-esernacko-niemiecko-angielska) wersja *Nieujarzmionej jesieni – Idalii i Bonfiliusza* (Wydawnictwo Miniatura, Kraków 2007) oraz praca liryczna *La Songô Nefinita* (Oficina Krakowska, Kraków 1998) wyłącznie w języku esperanto.

Poezja Lidii Żukowskiej jest gotowa na wciąż nowe odczytania, na recenzentów i badaczy cholerycznych, jak i ostudzonych, z tezą w głowie, jak i oddających się wskazówkom autorki.

¹ W szkicu zastosowano następujące skróty tytułów książek Lidii Żukowskiej: *Uwikłana w snach*, Oficyna Krakowska, Kraków 1994 – „US”; *Socjuszowe lata*, Oficyna Krakowska, Kraków 1996 – „SL”; *Niczyja jest dal*, Oficyna Krakowska, Kraków 2000 – „ND”; *Nie kończący się sen*, wydanie dwujęzyczne polsko-francuskie, tłumaczenie Claude-Henry du Bord i Krzysztof Jeżewski, Oficyna Krakowska, Kraków 2000 – „NS”; *Nieujarzmiona jesień – Idalia i Bonfiliusz*, Oficyna Krakowska, Kraków 2001 – „NJ”; *Ruda turzyca*, Oficyna Krakowska, Kraków 2002 – „RT”; *Dotyk nieba. Wiersze z przełomu wieków XX/XXI.1999-2002*, Oficyna Krakowska, Kraków 2003 – trylogia: *Pragnienie kropli* – „PK”, *Dotyk nieba* – „DN”, *Na krawędzi świtu* – „NK”; *A chciałam o łóżce...*, wydanie dwujęzyczne polsko-niemieckie, tłumaczenie Karl Grenzler, Oficyna Krakowska, Kraków 2004 – „AŁ”; *Koncert na szeptach...*, wydanie dwujęzyczne polsko-niemieckie, tłumaczenie Karl Grenzler, Oficyna Krakowska, Kraków 2005 – „KS”. Numer arabski obok stronicy oznacza numer stronicy, z której pochodzi cytat.

Janusz Orlikowski

NOWY KRÓL

„Dokonane badania doprowadziły Steinera do wniosku, że świadomość ludzka zmieniała się i rozwijała przez tysiąclecia historii kultury i że typ indywidualnej samoświadomości, który uznajemy dziś za tak oczywisty, nie istniał w czasach starożytnych. Człowiek nie czuł wówczas, że centrum jego istoty, jaźń, znajduje się w nim samym; każdy czuł się raczej częścią swego ludu i nie był w stanie pojąć własnego istnienia inaczej, jak tylko w kategoriach swego miejsca w obrębie plemienia czy narodu. O ile w ogóle posiadał wtedy coś w rodzaju centrum tożsamości, jaźń, to spoczywało ono w centralnej postaci społeczeństwa, którą był król. Dopiero później człowiek osiągnął większy stopień indywidualizacji i zażądał duchowej autonomii, ustanawiając swoją własną osobistą relację do świata boskiego. We wczesnym okresie historii wystarczyło, że w boskie tajemnice wtajemniczony był król, ponieważ to on stanowił tożsamość każdego człowieka”

– pisze Andrew Welburn w książce *Początki chrześcijaństwa*, kreśląc i ujawniając źródła, których konglomerat w formie historycznej dał początek wiary w Jezusa jako Chrystusa i który to doprowadził do skryształizowania się jej podstaw. Nie jest moim zamiarem komentowanie tego dzieła, nie czuję się ani na siłach, ani nie to jest celem, gdy spoglądam na współczesny konsumpcyjny świat, jakże odległy od opisywanych przez Welburna czasów. Bo przecież spójrzmy, uzmysławia on nam olbrzymią odmienność, która charakteryzowała człowieka starożytnego w stosunku do

„indywidualnej samoświadomości, który uznajemy dziś za tak oczywisty (...). Człowiek nie czuł się wówczas, że centrum jego

istoty, jaźń, znajduje się w nim samym; każdy czuł się raczej częścią swego ludu i nie był w stanie pojąć własnego istnienia inaczej, jak tylko w kategoriach swego miejsca w obrębie plemienia czy narodu”.

A jak jest tak naprawdę dzisiaj, czy może pewniej, do jakiego stadium, aż boję się napisać, nieuchronnie zmierzamy? Ktoś powie: indywidualną samoświadomość przecież już uzyskaliśmy i nikt nam jej nie odbierze. To równocześnie prawda i nie. Prawda, bowiem jest ona w naszym posiadaniu. Natomiast warunki, jakie oferuje nam za sprawą terroru konsumpcjonizmu współczesny cywilizowany świat, skłania co najmniej do zastanowienia. Indywidualna świadomość to tyle, co zdolność do odzwierciedlania rzeczywistości i umiejętność uprzytamniania sobie własnej egzystencji. Wszechogarniającą nas dziś rzeczywistością jest wspomniany terror, o którym wiemy i bywa, że potrafimy też go odzwierciedlić. Gorzej jest, gdy przychodzi nam uprzytomnić sobie swą w nim egzystencję. Czy stawiamy mu faktyczny opór, czy też z braku innych bodźców godzimy się na niego bez zmrużenia oka. Bo i przeciw czemu tu się buntować? Że pełne półki w sklepach i jest wszystko, czego tylko, pisząc lapidarnie, dusza zapagnie? Pytania tego typu należą do tych, które są źle postawione. Przypominają one sytuację stojącego na ulewnym deszczu bez parasola. Mówi on: przecież nie zatrzymam płynącej z nieba wody. Pytania zatem raczej powinny brzmieć: w jaki sposób się w tej sytuacji znajduję? Czy ulegam? Czy stawiam opór? Dlaczego jednak mam stawiać opór dobrom materialnym i w jaki sposób to czynić? I znów pytania postawione źle. Bo nie chodzi o to, aby wyrażać swój bunt poprzez niekorzystanie z nich, bo to niemożliwe, lecz umiejętność im właśnie nieulegania, a to zasadnicza różnica. Ta uległość jest właśnie powodem, dla którego uprzytamnianie sobie własnej egzystencji jest dziś problemem. Człowiek współczesny przestał zastanawiać się: dlaczego żyje i po co?, jaki jest cel jego tu obecności?, co jest wartością,

a co nie? I o ile jeszcze dzisiaj może potrafimy tę konsumpcyjną rzeczywistość odzwierciedlać, to znaczy wiemy, że w niej żyjemy, to podejrzewam, że wcześniej czy później będzie ona tak oczywista, że dodanie słówka „konsumpcyjny” do „świat” nie będzie już konieczne. A może już tak jest? W każdym razie nauki twórców terroru konsumpcjonizmu nie idą w las. Jesteśmy pilnymi ich uczniami. Stąd wniosek, że to, co składa się na indywidualną świadomość, czyli zdolność do odzwierciedlania rzeczywistości i uprzytamnianie sobie swej egzystencji, już może nie istnieje bądź istnieć nie będzie.

Co to oznacza i czy taki wniosek jest naprawdę słuszny? Jak mówi cytat przedstawiony na wstępie, człowiek starożytny był indywidualnej świadomości pozbawiony w znaczeniu, że jeszcze się w nim nie wykrystalizowała,

każdy czuł się raczej częścią swego ludu i nie był w stanie pojąć własnego istnienia inaczej, jak tylko w kategoriach swego miejsca w obrębie plemienia czy narodu. O ile w ogóle posiadał wtedy coś w rodzaju centrum tożsamości, jaźń, to spoczywało ono w centralnej postaci społeczeństwa, którą był król.

„Ci królowie – wtajemniczeni, jak ich nazywa Andrew Welburn, inaczej królowie sakralni, byli tymi, którzy poprzez odpowiednie inicjacje mieli dostęp do świata boskiego, który był niedostępny dla niewtajemniczonego społeczeństwa”.

Albowiem w tamtych starożytnych czasach tylko król dzięki wtajemniczeniu mógł przebywać w obecności bogów; tylko on mógł dostąpić bezpośredniego poznania sfery boskiej, wszyscy zaś jego poddani otrzymywali łaskę nie dzięki osobistemu doświadczeniu religijnemu, lecz dzięki temu, że „sacrum” przejawiało się poprzez niego.

Czy z czymś takim mamy do czynienia dzisiaj? Już słyszę ten śmiech i odpowiedź, że z pewnością nie. Tak, zgodzę się z tym, bo faktycznie sprawa przecież nie dotyczy wierzeń religijnych, jest biegunowo różna. Ale jest. Wprawdzie nie mamy dziś królów i to jeszcze wtajemniczonych, lecz euroame-

rykański raj, demokrację opartą na konsumpcyjnym terroryzmie. To ona jako „postać” do złudzenia przypomina sakralnego króla, a my globalnie jesteśmy jego plemieniem. Wskazują na to nasze zachowania, uległość wobec jego wyroków. Wprawdzie „król” zapewnia nas o naszej wolności, gdyż (jeszcze?) nie może nam powiedzieć, że jesteśmy jego poddanymi, z uwagi na to, co jeszcze z indywidualnej świadomości w nas pozostało, czyli przekonanie o jej obecności. Ale to tylko przekonanie i do tego bardzo złudne. Czyż nie zachowujemy się tak jak plemię, każdy czuje się częścią swego ludu o wspólnych rytuałach naznaczonych obecnością „króla”? „Król” zapewnia nam możliwość dobrobytu materialnego, a przede wszystkim dba, by media odpowiednio nas o tym informowały, czyli poprzez „magiczne” reklamy, gdzie „wtajemniczony” mówi, że to i to przyniesie nam szczęście. Określa tym samym nasze zachowania w stosunku do „sacrum”, które przejawia się niezliczoną ilością informacji, których żywot jest krótkotrwały lub wzajemnie sprzeczny. To, że tego pojąć nie możecie, jest wynikiem waszego braku „wtajemniczenia” – mówi i dba o to, aby tak pozostało. „Wtajemniczonym” bowiem może być tylko „król”. Nasze zachowania plemienne są tym samym konsolidowane i cieszymy się, że inni robią też tak samo jak my. Określają nas te same rytuały ciągłego kupowania, jedzenia, oglądania telewizji i przeglądania stron internetowych, czytania kolorowych czasopism, a żeby to zespolenie w obrębie plemienia było jeszcze mocniejsze, organizuje się masowe tzw. imprezy kulturalne, których poziom jest tak odpowiedni, aby były zrozumiałe dla wszystkich bez wyjątku członków plemienia. Tym sposobem nasza tożsamość, jaźń, spoczywa w centralnej postaci euroamerykańskiego społeczeństwa, którą jest „król”. Zwróćmy uwagę na zachowania pozostałych członków naszego plemienia w sytuacjach, gdy u innych zjawiało się nieszczęście w postaci nagłej utraty dóbr materialnych, ciężkiej choroby wymagającej sporych nakła-

dów finansowych. Pozostali nagle się wokół nich gromadzą, pomagają i czynią to zupełnie bezinteresownie. Tak, tak, widzę oburzenie, że taki przykład wybrałem jako argument czucia się jedynie częścią plemienia bez indywidualnej świadomości. Przecież to właśnie ona daje aspekt ku tym dobroczynnym działaniom. Nic bardziej mylnego i postaram się to wyjaśnić. Oczywiście, te działania są jak najbardziej chwalebne, to nie ulega wątpliwości, lecz ich źródło nie tkwi w utraconej (czy bezpowrotnie?) indywidualnej świadomości, ale właśnie jest wynikiem rytuałów plemiennych z centralną postacią „wtajemniczonego króla”. Gdyby nieszczęście nie dotyczyło utraty dóbr konsumpcyjnych w szerokim tego słowa pojęciu, czyli wraz z nakładami finansowymi na leczenie ciężkich chorób, a poza dobrami natury medialnej oczywiście, czy wtedy reakcja pozostałej części plemienia byłaby taka sama? Z pewnością nie. Ale o co by wtedy mogło chodzić? Ot, na przykład nieszczęściem jest, gdy u tych innych pojawia się całkowita utrata wiary w sens życia. Niby żyją oni obok nas, widzimy to, jednak nie czynimy żadnych dobroczynnych działań. Po pierwsze: nie wiemy, jakie by one mogły być, po drugie: nasza „tolerancja” zakłada niewtrącanie się w cudze życie. Czy już to samo nie świadczy o zaniku indywidualnej świadomości? Boimy się, że bardziej możemy zaszkodzić niż pomóc. Lepiej jest więc się nie wtrącać. Poza tym jest to poza naszym czuciem się członkami plemienia z centralną postacią „króla”, naszego „wtajemniczonego” we wszystko. Od tego są psycholodzy i psychiatrzy – dodamy na potwierdzenie gdzieś może z głębi dobywającego się, a nieuświadomionego poczucia winy.

„Ich zadaniem (proroków będących przekazicielami nauki moralnej w religii Izraelitów – przyp. J.O.) było więc ganić grzeszność tych, którzy nie spełniają wymagań Jahwe. Ze wzrostem zaś zakresu indywidualnej wolności moralnej pojawiło się poczucie winy na skale niespotykaną

w kontekście świadomości mitologicznej. Zaiste, w konfrontacji ze wzniosłymi wymaganiami świata duchowego i możliwością czerpania jedynie ze swych indywidualnych zasobów moralnych, człowiek nieuchronnie musiał doznawać poczucia winy z powodu swych wad”.

– pisze Andrew Welburn w *Początkach chrześcijaństwa*. I z tym właśnie poczuciem winy przez stulecia człowiek nie mógł sobie poradzić, aż nastał nowy „król”, który całkowicie zmienił sposób patrzenia na sprawy tego świata. Powiedział on: jedynym sposobem na jej usunięcie jest całkowite zanurzenie się (niczym misterium chrzcielne) w „sacrum” konsumpcjonizmu; to w rezultacie da tak długo oczekiwane szczęście. Powiedział też, że przewidział przyjście „mesjasza”, który właśnie nam się objawia w wielu postaciach wszelkich dóbr, które nam przynosi. Tak, ale przecież zanim nastał ten „król”, o wiele wcześniej, a na bazie tych cytowanych spostrzeżeń Welburna, pojawiło się chrześcijaństwo, o czym kreśląc tę cytowaną przed chwilą sytuację pisze on:

„Cała ta radykalnie nowa faza (pojawienie się indywidualnej świadomości, pisząc ogólnie – przyp. J.O.) rozwoju świadomości ma kapitalne znaczenie dla zrozumienia naszego dzisiejszego życia. Właśnie w starożytnym Izraelu ludzkość weszła na długą drogę, która doprowadziła ją do naszego współczesnego poczucia wolności i żądania niezależności jako duchowych czynników w świecie. Tu też widzimy początki wznoszenia wielkiej bariery winy, której pokonanie stanowi po części sens i misję chrześcijaństwa”.

A zatem chrześcijaństwo u swych źródeł jest religią, do której zadań należy między innymi pokonanie poczucia winy. W powszechnej świadomości, w latach późniejszych, a działa się to za sprawą Kościoła, było jednak inaczej.

Bariery winy, przez stulecia, stały się motorem do umacniania pozycji Kościoła w świecie. Nie czas tu i miejsce, by te zagadnienia rozwijać, wystarczy wspomnieć, że papież Jan Paweł II przepraszał. Nim jednak to nastąpiło, na arenę świata wkroczył bez przeszkód nowy „król”, który w karykaturalny sposób poczynił to, co było jedną z misji chrześcijaństwa. Wina w sensie autentycznie duchowym przestała mieć znaczenie, a z tym głębsze poczucie bytu. Człowiek współczesny wszedł w nową fazę rozwoju, całkowitego zrównania wszystkich i wszystkiego, ustanawiając i realizując ideę każdej jednostki jako centrum świata. Centrum, które realizuje się w dobrach „mesjasza” i według którego każdy może być każdym, o ile o tym zamarzy. Wszystko bowiem jest do „zjedzenia”. To „zjedzenie” stało się nauką „króla” dla poddanych. „Król” nie popełni błędu mówiąc, że poczucie winy istnieje, nie będzie działał na swoją szkodę. Całkowicie dla niego wystarczające jest, że euroamerykańskie plemię czuje z nim związek, choć czyni to bezwolnie, poprzez naśladownictwo.

Czyżby zatem koło się zamykało i staniemy się na powrót „starożytni”, czy wręcz „pierwotni”? Mój przyjaciel plastyk rzekł mi kiedyś, że człowiek u zarania swych dziejów nosił ze sobą zapisane kamienne tabliczki, dziś jest zaopatrzony w tablety – i zawiesił głos. Nie odpowiedziałem mu, gdyż nie byłem pewien jego racji. Takie porównanie, aczkolwiek atrakcyjne, wydało mi się zbyt pochopne. Otóż, pomimo że współczesnego człowieka charakteryzuje „instynkt” plemienny i jego indywidualna świadomość jest na skraju bankructwa oraz „wierzy” w „króla–wtajemniczonego” to jednak jego cechą jest również to, że popadł w *egolatrię*. Kusiciel obiecywał: „będziecie jak Bóg...” i „spełniło się”. Równość wszystkich i wszystkiego, a tym sposobem same chodzące centra świata wytworzyły sytuację, w której jedynym, na czym można się oprzeć, jest „król sakralny”, czyli euroamerykański raj. Jest on łatwy w zrozumieniu i jednocześnie skutecz-

nie wyzbył człowieka poczucia winy. Nie uczynił tego Kościół, a tym sposobem udało się bez większego trudu „królowi”. Bowiem nie jest prawdą, jak się to często popularnie sądzi, że chrześcijaństwo wpędza człowieka w jego szpony. Wręcz przeciwnie, uczy, w jaki sposób je w sobie przezwyciężać. Mówi, że ono jest i jak sobie z nim radzić. „Król” naucza natomiast, że go nie ma, jeśli tylko mu zaufamy. Podobnie jest z pokrewnym mu cierpieniem. Samouwielbienie, w które popadł dzisiejszy człowiek, jest przecież jednak cechą indywidualnej świadomości. Jest jej wynikiem. A któż to świadomie powie, że popadł w *egolatrię*? Do tego potrzeba pokory. Ta cecha, czyli samouwielbienie powoduje, że nie mogłem przyznać racji mojemu przyjacielowi. Jesteśmy plemieniem samouwielbiających się nawet nie tyle indywidualności, co jednolitą masą czującą wzajemny związek między poszczególnymi, by tak rzec, elementami (centralnymi postaciami świata, za które się uważamy) z centralną również postacią „króla–wtajemniczonego”, który pozwala łaskawie nam tak sądzić, że także w centrum w stosunku do niego jesteśmy. I tym różni się czucie się częścią swego ludu w czasach starożytnych od dzisiejszych. W tym znaczeniu koło się nie zamyka i nie będziemy na powrót „starożytni” czy wręcz „pierwotni”. Jacy więc będziemy?

Czesław Miłosz w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku pracował usilnie nad powieścią *science fiction* *Góry Parnasu*, której nie ukończył, lecz zapisane przez niego słowa zostały opublikowane wraz z autorskim komentarzem wyjaśniającym, dlaczego tak się stało. Pomijając tu opisaną przez niego kwestię natury artystycznej (doszedł do wniosku, że pisanie powieści w naszych czasach mija się z celem, gdyż nie może ona oddać prawdziwego obrazu dziejącego się świata – a Noblista zawsze dbał o to, by języka uchwyt za rzeczywistość, że posłużyć się jego sformułowaniem, był rzetelny i prawdziwy), była jeszcze sprawa natury moralnej, o której autor pisze tak:

„Jak wiadomo, literatura zawsze poczyną sobie niedołążnie, kiedy stara się pokazać dobrych ludzi i dobre zamiary, natomiast ze smakiem, znawstwem i przekonywająco maluje zło, okrucieństwo, porażki. Z tego też powodu moja powieść byłaby przeważnie czarna, jak zresztą i z innego powodu: żeby przekazać w czym zawiera się nadzieja, należałoby napisać niemalże traktat historyozoficzny, tu jednak na przeszkodzie stanęłaby moja niechęć do formy rozlazłej i nieokreślonej”.

A zatem, chcąc uniknąć czarnowidztwa, Miłosz porzuca rozpoczętą powieść. Czyżby stwierdził, że prawda, ta najgorsza, może człowiekowi szkodzić? Nie. Wypowiada się bowiem tak:

„Prawda nie może szkodzić. Zapewne. Jest ona zawsze złożona i wielostronna, i chyba prawda wyłącznie czarna pomaga tylko wtedy, kiedy strasząc i przygnębiając, do pełniejszego życia podnieca. Nie wydaje mi się, żebym to zadanie umiał wypełnić”.

Noblista czuł, że kontynuując pisanie *Gór Parnasu* mógłby doprowadzić do takiej sytuacji, w której czytelnik (a także i on sam) nie znaleźliby drogi wyjścia, a skrajny pesymizm był przecież mu obcy. To normalne, bo pisanie pozbawione jakiegokolwiek nadziei jest niemoralne.

Powyższy opis, sadzę, że daje pewne światło odpowiedzi na postawione wcześniej pytanie: jacy będziemy? Aby więc aby nie utkwąć w bezwolności i wciąż być okupowanym przez „króla-wtajemniczonego” koniecznym wydaje się być Przebudzenie, co jest możliwe, tylko wcześniej w ludzkiej świadomości musi nastąpić przełom. A taki możliwy jest tylko wtedy, gdy nastąpi przesilenie obecnego stanu rzeczy. Każda nowo następująca epoka ma to do siebie, że płynnie łączy się z takim stanem poprzedniej. A zatem, gdy okupacja

terroru konsumpcjonizmu niejako zacznie pożerać samą siebie. Nie jest moim zamiarem kuszenie swojej wyobraźni i opis, jakby to miało wyglądać, ale stwierdzenie Miłosza „w czym zawiera się nadzieja, należałoby napisać niemalże traktat historyozoficzny” daje pewien asumpt do tego, że może to nastąpić. W tym celu konieczny jest nowy odczyt ewangelii, nie tylko kanonicznych, znanych z Nowego Testamentu, lecz również, a może i przede wszystkim, tych nazwanych apokryficznymi: *Ewangelia Tomasza*, *Ewangelia Filipa*, *Ewangelia Egipcjan*, *Ewangelia Prawdy*, *Ewangelia Adama*. Zwraca bowiem moją uwagę to, co pisze Andrew Welburn w *Początkach chrześcijaństwa* odnośnie do *Ewangelii Filipa*:

„Całe ujęcie tematu w subtelny sposób różni się od ujęcia biblijnego, mimo iż dotyczy tych samych zdarzeń: Kuszenia i Upadku. «Ewangelia Filipa» głosi, iż Upadek nastąpił, gdy Adam błędnie pojął swą sytuację, gdy uznał za Prawo to, co powinno być wolnością. Przez Chrystusa, który jest Drzewem w Raju, wolność zostaje ponownie odzyskana”.

W innym miejscu z kolei: „Adam błędnie zrozumiał dar poznania, uznając za Prawo to, co winno być wolnością.” – powtarza, pisząc o Komnacie Małżeńskiej. Już wcześniej sygnalizowałem, że religia chrześcijańska nie opiera się na poczuciu winy, jak popularnie, a za sprawą Kościoła, się sądzi. Wyselekcjonowanie przez niego czterech kanonicznych ewangelii i odpowiednia ich interpretacja miały za zadanie mocny uchwyt władzy, którą on sobie przypisał. Czy się to zmieni? Czy jaskółką są ostatnie wypowiedzi papieża Franciszka, który stwierdził, że nie jest zadaniem Kościoła piętnowanie małżeństw homoseksualnych, aborcji czy antykoncepcji, lecz leczenie ran powstałych i nieosądzanie? „Jeżeli ktoś jest homoseksualistą, poszukuje Boga oraz ma dobrą wolę, to kimże ja jestem, by go osądzać?” – to jedna z ostatnich wypowiedzi Papieża, który nadto od początku swej posługi

walczy z bożkiem – pieniądzem, poczynając od własnego ogródka. Czy człowiek żrący odzyska swą wolność w rozumieniu pokonania „króla – wtajemniczonego”? To pytania, które można tylko sobie zadać.

Danuta Sułkowska

W POSZUKIWANIU PRAWDY

Od dawna mam zwyczaj rozpoczynać lekturę nowych numerów dostępnych mi pism literackich od tekstów niektórych, szczególnie interesujących autorów. Należy do nich Janusz Orlikowski. Dlatego też, kiedy trafiła do mnie jego najnowsza książka *Gwałt na prawdzie. Eseje i szkice*, na którą składają się w głównej mierze teksty tego pisarza publikowane w „Akancie” i „Gazecie Kulturalnej”, okazało się, że większość z nich znam. Jednak zgromadzone wszystkie razem przestały być pojedynczymi fragmentami układanki, lecz tworzą bardzo ciekawy, choć zapewne nie w pełni kompletny, obraz poglądów, przemyśleń i doświadczeń autora. A także nurtujących go wątpliwości, co znajduje odzwierciedlenie w licznych pytaniach zadawanych sobie i światu.

Obraz ten kojarzy mi się z witrażem. Składają się na niego m.in. rozważania natury filozoficznej. Od nich właśnie rozpoczyna się omawiana publikacja. Bardzo charakterystyczne dla Janusza Orlikowskiego jest rozpoczęcie swoich przemyśleń dotyczących prawdy od wskazania kryteriów (mówiąc w wielkim uproszczeniu), które przyjął, aby zdecydować, co według niego jest, bądź nie jest, prawdą. Autor *Geometrii światła* już taki jest – precyzyjny, drobiazgowy, konkretny i logiczny.

Pierwszy esej w książce traktuje o autorytecie. Autor stwierdza: „Autorytet to uznanie, prestiż, oparte na cenionych wartościach”, po czym uzasadnia, iż ani władza, ani religia nie mają prawdziwego autorytetu. „Autorytet jest

A. Welburn, *Początki chrześcijaństwa. Eseńskie misterium, gnostyckie objawienie, chrześcijańska wizja*, Spektrum, Warszawa 1998.

(...) nośnikiem wartości poza władzą i wiarą” – oświadcza J. Orlikowski. Dlaczego? Ponieważ „Autorytet wymaga wiedzy (...). Bo autorytet to szacunek i marka. Zasadna treść w krystalizacji myśli. Droga ku prawdzie”. Wniosek: do prawdy można się zbliżyć tylko w oparciu o wiedzę.

Do sformułowania powyższych konkluzji zainspirowała pisarza anegdota o Diogenesie z Synopy i jego niedoszłym uczniu. Odniesień do innych starożytnych filozofów jest w tym zbiorze więcej, szczególnie w jego pierwszej części. Odwoływanie się do tych, którzy umiłowali mądrość, czerpanie ze skarbnicy ich wiedzy jest dla autora *Monologu niepokornego* ogromnie ważne w jego poszukiwaniu prawdy i ważne jest dla czytelnika, który chce na kartach tej książki skrupulatnie te poszukiwania prześledzić.

Wspomnę tu jeszcze o dywagacjach związanych z osobą Sokratesa. Dotyczą one rezygnacji tego wielkiego ateńskiego myśliciela z ucieczki i przyjęcia śmierci, mimo niesłuszności stawianych mu zarzutów, ponieważ „Czuł, że uciekając – podda się. Iż jest to droga ku destrukcji, ku nihilizmowi”.

Ale dlaczego zapadł wyrok skazujący, mimo iż wszyscy wiedzieli, że filozof jest niewinny? „Niechęć do Sokratesa, by nie powiedzieć wprost – nienawiść spowodowana nieumiejętnością odczytania w jego dialogach z ludźmi przekazywanej prawdy, lęk przed nowym, tajemnicą, nie sprzyjała «oskarżonemu»” – konstatuje autor

prezentowanej książki. I – pełen podziwu dla wielkiego Ateńczyka, ale też z goryczą – dodaje: „«Pierwszą myślą» – «ojca Platona» było odnajdywanie prawdy i dobra, życie zgodnie z własnym daimonionem (...). Sokratesowi po śmierci Ateńczycy postawili statuetkę ze złota. Tym niemniej gwałt na prawdzie został poczyniony”.

W tym samym esej J. Orlikowski rozprawia się z sytuacją odwrotną. Chodzi tu o przecięcie mieczem węzła gordyjskiego przez Aleksandra Macedońskiego. „To był pierwszy opisany w historii gwałt jednostki na prawdzie” – komentuje z dezaprobatą pisarz. – „Gwałt poczyniony w obliczu tłumu, który wcale nie zareagował entuzjazmem, a wręcz po szmerach zdziwienia, niepewności jaką postawę przyjąć w obliczu władcy po jego czynie, rozszedł się z pewnością w dużej mierze rozczarowany. Spodziewali się po tak wielkim człowieku jednak czegoś innego”.

Jedno z pytań, jakie zapewne nasunie się czytelnikowi po lekturze omawianych tekstów, brzmi: Czy do rozwiązywania problemów najlepszy jest miecz? Powstają też pytania dotyczące relacji między władzą a społeczeństwem. Stosunki te są w tych esejach bardzo interesująco analizowane.

Autor poświęca także dużo uwagi zagadnieniom dotyczącym czasu. Te rozważania prowadzą go do kolejnego tematu, mianowicie do religii. W jaki sposób? Nienowocześnie, co nie znaczy, że mało interesująco. Wręcz przeciwnie. J. Orlikowski próbuje prześledzić postrzeganie przez nasz gatunek zjawiska czasu, w odbiorze którego – gdzieś w bardzo odległej przeszłości – nastąpił moment, kiedy to „Czas rozdzielił się na troje, a ten ostatni jest najbardziej okrutny, bo przypomina o człowieczej śmiertelności”. Chodzi tu oczywiście o czas przyszły, który dla konkretnej istoty ludzkiej kończy się w momencie śmierci. Trzeba zatem coś zrobić, aby mimo zgonu, przyszłość nadal była możliwa. „A tu jedynym rozwiązaniem jest utworzenie

świata niezależnego od człowieka, a zatem magii, wierzeń, które pozwolą na uporanie się z problemem śmierci”.

I tak powstały wszechpotężne Istoty – groźne, ale i łaskawe, dysponujące czasem przyszłym w wiecznym, lepszym świecie, otwierającym się przed człowiekiem po zgonie, który nie oznacza już końca wszystkiego, lecz nowy początek. W tych dywagacjach najciekawsze są refleksje na temat stosunku ludzi do życia jako daru. Świadomość, że tym właśnie ono jest, pojawia się szczególnie w momentach zagrożenia, a także w chwilach, gdy niebezpieczeństwo minie. Niezwykle wnikliwe analizy własnych przeżyć wewnętrznych w takich sytuacjach, nadają słowom pisarza znamiona głębokiej prawdy.

Skoro jesteśmy już przy siłach wyższych, wspomnę, iż według Janusza Orlikowskiego człowiek nie przychodzi na świat „z cnotą”, lecz zyskuje ją dzięki wiedzy o właściwych postawach moralnych. Pomocna może tu być filozofia. Ale nie ona jest najważniejsza. Decydujący jest fakt, iż „docieranie do prawd dotyczących ludzkiego postępowania jest możliwe dlatego, że każdego człowieka wspiera w tym jakiś głos kierujący jego duszą, czyli daimonion. Z greckiego istota boska, duch opiekuńczy”. I tu – jak to często bywa w omawianych esejach – pojawiają się znaki zapytania. Wątpliwości są uzasadnione, bo przecież wiele na świecie zła i nawet ci, którzy generalnie są ludźmi dobrymi, nie zawsze postępują właściwie. Może więc, a raczej – z pewnością – wtrąca się w losy świata i w nasze wybory etyczne demon, „Wszak przebiegłość szatana jest nadzwyczaj wyrafinowana i to co dobrem się wydaje w konsekwencji do zła może prowadzić”.

Swoje poglądy na wyżej zasygnalizowane, a także podobne zagadnienia, autor *Nierozumnego diamentu* porównuje z przekonaniami filozofów i pisarzy z różnych epok, wśród których znajdują się Fryderyk Nietzsche, Immanuel Kant, Zbigniew Herbert, Wisława Szymborska, Czesław Miłosz.

Odniesień do twórczości naszych noblistów szczególnie wiele jest w próbie odpowiedzi na pytanie o istnienie „miłości prawdziwej”. Próbę taką podejmuje autor w tekście *Pożądanie i miłość*, gdzie przedstawia m.in. ciekawą tezę, iż „miłość to uczucie pomniejszone o władzę”. Jednakże zakochanie się, to spotkanie, a może trafniej – zderzenie się – dwóch indywidualności, z których każda, co zdaje się nieuniknione, stara się drugą zdominować. To sprzeczne z przywołaną wyżej tezą. Czy zatem możliwe jest istnienie miłości bez chęci narzucenia partnerowi własnego „ja”, bez „walki o wzajemne wpływy”? Na pytanie to pisarz nie znajduje, a w każdym razie nie udziela (moim zdaniem), jednoznacznej odpowiedzi.

Powróć jeszcze do problemów dotyczących wiary i religii, ponieważ są one bardzo mocno obecne w omawianej publikacji. Autor wielokrotnie przywołuje różne zdarzenia oraz przesłania biblijne, które służą mu jako przykłady w argumentacji „za” lub „przeciw” jakiemuś analizowanemu właśnie twierdzeniu, odnosi się do tajemnic wiary (głównie chrześcijańskiej), próbuje objąć rozumem dogmaty. Prawdy wiary nie poddają się logice, jednakże „przyglądanie” im się w taki sposób, jakby były równaniami matematycznymi, skłania do bardzo ciekawych refleksji na temat istotnych w życiu każdego człowieka spraw i prowadzi do interesujących wniosków dotyczących nurtujących go problemów. Ciekawym zjawiskiem u J. Orlikowskiego są rozliczne dygresje, które pojawiają się, gdy autorowi jakieś zagadnienie, zdarzenie lub stwierdzenie – z czymś lub kimś się kojarzy. Jego skojarzenia często bywają zaskakujące i niejednokrotnie zdają się odległe „od meritum”, ale jest to tylko początkowe, przelotne wrażenie, ponieważ zaraz czytelnik widzi sens w takim, a nie innym analizowaniu danego tematu.

Nie oprę się w tym momencie pokusie przedstawienia małego fragmentu takiego rozumowania. Punkt wyjścia: przemiana chleba i wina w wieczerniku i na ołtarzu podczas mszy św.

W tych mistycznych momentach decydującą rolę spełnia Słowo. A „Słowo to jest działanie. A gdy mówimy o sprawach wiary czy też jej braku, nabiera znaczenia priorytetowego. (...) Gdyby słowo nie było działaniem, cóż znaczyłaby liturgia? Gdyby nie słowo jaki sens miałyby poezja?”

Tak... I już jesteśmy przy Czesławie Miłoszu oraz jego *Piesku przydrożnym* i śledzimy zafascynowani porównywanie treści utworu noblisty z listami św. Pawła i wykazywanie podobieństw (z całym szacunkiem należnym sacrum) między niektórymi ideami zawartymi w tych jakże odległych w czasie (i nie tylko) tekstach. J. Orlikowski przywołuje tu słowa św. Pawła: „Czyż od was wyszło słowo Boże? Albo czy tylko do was przyszło?” I zaraz, jakby jednym tchem, stwierdza: „Piórem poety kieruje daimonion. Tylko wtedy możemy mówić o znakomitym wierszu (...). On (poeta, przyp. DS.) może nawet nie zdobyć się na to, by się do tego przyznać (...), tym niemniej należy przypomnieć, że w odległej przeszłości ludzkość nie oddzielała misterium od poezji.” Wnioski z tych i dalszych dociekań pisarza na temat, czym i jaka winna być poezja, każdy czytelnik wysnuje sobie sam. I mogą to być bardzo różne, sprzeczne nawet wnioski. Bo Janusz Orlikowski często nie zamyka tematu, nie daje zdecydowanych, a tym bardziej ostatecznych odpowiedzi na postawione pytania. Taka „otwarta furta” skłania, a nawet w pewnym stopniu zmusza czytelnika do refleksji i poszukiwania własnych rozwiązań zasygnalizowanego przez autora problemu. To, moim zdaniem, jeden z walorów omawianych esejów.

Jak już wspomniałam wyżej, inspiracją do zajęcia się jakimś tematem bywają dla autora *Srebrzystego żalu* jego własne przeżycia lub zaobserwowane zdarzenia. I tak powodem do napisania eseju *W sercu duszy* była scena, której pisarz był świadkiem podczas zabawy sylwestrowej, zaś *Kilka słów o cierpieniu i dzielności* powstało tuż po świętach wielkanocnych, kiedy to zadumał się nad pustym grobem Chrystusa. Różne stany ducha, cechy osobowości, a także różne odczucia

fizyczne, bardzo zaprzatają uwagę pisarza i każą mu analizować przyczyny ich powstawania i trwania, a także zastanawiać się, czym w istocie są. Rozmyśla więc m.in. o cierpieniu, wytrwałości, dzielności, a także o radości, przy której zatrzymam się na chwilę, ponieważ jej źródłem pisarz nie doszukuje się w tym, w czym widzi ją większość ludzi. „Co kreuje radość?” – pyta J. Orlikowski i zaraz sam odpowiada na swoje pytanie: „Pewność doznawanego cierpienia i sens w jego pokonywaniu”. A w zakończeniu eseju stwierdza: „Nic nas nie obliuguje, tylko sam poziom radości. Samo dobro. Bowiem pozbyliśmy się zła”.

Wśród esejów kończących zbiór znajdują się teksty, w których autor szczególnie zdecydowanie akcentuje swe życiowe wybory i analizuje swoją osobowość, stara się odpowiedzieć na pytanie: Kim jestem i dlaczego? W eseju *Czy to na niby*, czytamy: „To ciągle poczucie oddzielenia, braku zakorzenienia, które towarzyszy mi odkąd pamiętam. Kontakty z rówieśnikami podszyte zawsze tym samym – ty, czyli inny”. Inny, czyli kto? Owo poczucie wyobcowania wynika z bycia poetą, a także z niechęci do rywalizacji. W dalszej części cytowanego tekstu pisarz zwierza się: „Pozycja poety w małym miasteczku. Nie lubię o niej myśleć. Tak jak podejrzewam nie lubiłbym w mieście dużym i gdyby moje «akcje» tam były proporcjonalnie znacznie wyższe. Stąd nie tęsknię za blichtrzem. Te same by działy się problemy, tyle że w tle by pojawiały się bardziej makro.”

Równoległe do powyżej sformułowanych deklaracji, w końcowej części tej publikacji znajdujemy słowa o „poczuciu miejsca”. To pragnienie, aby być skądś, aby móc jakieś miejsce na ziemi nazwać własnym. „W życiu każdego człowieka to nad wyraz ważne. Miejsce bowiem to poczucie bezpieczeństwa.” I tam, w miejscach, w których pisarz czuje się bezpieczny i gdzie snuje filozoficzne refleksje o ważkich problemach świata i człowieka, gdzie powstają jego wiersze, jest też czas na zwykłe, drobne, codzienne radości. Janusz Orlikowski umie cieszyć się drobiazga-

mi – spacerem, wyjściem na zakupy, banalną rozmową z napotkanymi ludźmi, powrotami do domu – „naturalnej przystani człowieka, miejsca skąd tak naprawdę dzieją się wszelkie historie”. Wśród tych spraw i zdarzeń przewija się niczym motto wiersz Życzenie:

nad ranem rodzą się pytania
dlaczego ziemia nie jest rajem?
później opisują przeszkody
za słowem słowo

mając dziewięćdziesiąt lat umrzeć młodo
i choćby trochę znać odpowiedź

Słowa te starczyłyby jako zakończenie moich refleksji o *Gwałcie na prawdzie*, więcej – byłyby znakomitym tych refleksji podsumowaniem. Dorzucę jednak jeszcze do nich słów kilka o moim, wielokrotnie pojawiającym się podczas lektury tej publikacji odczuciu, że obraz świata, jaki marzy się pisarzowi z Dobrodzienia, jest wyidealizowany, niemożliwy do zaistnienia. Myśli tej towarzyszyła druga: Jak to dobrze, że ktoś taki obraz świata kreuje, pragnie, aby zaistniał, pokazuje drogi...

Janusz Orlikowski, *Gwałt na prawdzie*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2014, ss. 240.

Danuta Sułkowska – pisze wiersze oraz mniejsze i większe formy prozatorskie, m.in. opowiadania, recenzje, artykuły publicystyczne; członkini redakcji „Literata Krakowskiego”, redaktor XLIII almanachu Krakowskiej Nocy Poetów; inicjatorka i współorganizatorka ogólnopolskich konkursów poetyckich: „O Wawrzyn Sądecki” oraz „Stary Sącz. Witraż poetycki”; redaktor almanachów pokonkursowych. Publikuje m.in. w „Akancie”, „Gazecie Kulturalnej”, „Literacie Krakowskiej”, „Hybrydzie”, „Roczniku Sądeckim”, „Almanachu Sądeckim”. Należy do Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Twórczego Artystyczno-Literackiego. Mieszka w Starym Sączu.

Monika Jacenik

DOMINIKANA DZISIAJ – WSPÓŁCZESNY „RAJ UTRACONY”?

Dlaczego niemal każdy turysta pragnie powrócić na Dominikanę, czym są kamienie miłości, jak pulsuje życie w karaibskim „raju” i wreszcie, co sprawia, że ów raj może stać się piekłem – to pytania, które stawia Mirosław Wlekły w swojej debiutanckiej książce *All inclusive. Raj, w którym seks jest bogiem*.

Recenzowana książka składa się z dwóch części – „Raj” i „Piekło” – podzielonych na mniejsze struktury tematyczne. Pobieżny przegląd spisu treści bez wątpienia wzbudza ciekawość i zaskoczenie czytelnika, gdyż w pierwszej ze wspomnianych części można znaleźć treści zatytułowane „Wojna” czy „Wudu”, w drugiej – wprost przeciwnie – „Bogini” lub „Motele księdza Jezusa”.

Zaproponowana przez reportera polaryzacja dominikańskiego świata odpowiada – rzecz jasna – ścisłemu podziałowi na dobro i zło. Wlekły buduje więc – celowo lub niepostrzeżenie – wizję rzeczywistości wykluczającej istnienie „czegoś” pomiędzy. Rezygnuje tym samym zabrania dziennikarskiego głosu na temat karaibskiego „Czyśćca” – nawiązującego do Dantowskiej triady. Ma do tego prawo, bowiem *All inclusive...* nie jest typowym, przewidywalnym kompozycyjnie, bedekerem dla turysty poszukującego informacji na temat atrakcyjnych okazji cenowych, ale dojrzałym i przemyślanym reportażem podróżniczym poświęconym obyczajom, mentalności, kulturze i patologii świata „ociekałego” prostytutką, będącą lukratywnym źródłem dochodu; prostytutką „rozkwitającą” zarówno na karaibskiej plaży, jak i na szczytach wła-

dy. Wlekły dostrzega ogromne zagrożenie w przestępczości o charakterze seksualnym, szczególnie wówczas, gdy jej bohaterami są duchowni. Dokonuje więc rekonstrukcji faktów dotyczących dwóch polskich księży, których sprawa stanowiła w ostatnim czasie języczek uwagi mediów.

Oprócz tematów „społecznych” dziennikarz nie stroni od narracji typowej dla podróżnika poznającego świat; szczególnie przybliża historię i geografię odwiedzanego miejsca (co jednak nie jest w jego książce nadrzędne). Jest dla czytelnika przewodnikiem odkrywającym prawa egzotycznego świata, nieraz okrutnego i bezwzględного.

W swojej książce reporter nie koncentruje się na omówieniu środkowoamerykańskiej oferty *all inclusive*, ale bacznie przygląda się sytuacji Dominikańczyków, sygnalizując jednocześnie, że przybywa do miejsca, w którym „seks jest bogiem” i rzeczywiście – większość zagadnień tematycznych to potwierdza.

Reporter ma świadomość występowania luk w dominikańskim systemie prawnym w różnych sferach życia publicznego. Okazuje się, że na tamtejszych ulicach nie obowiązują żadne przepisy prawne, a kierowcom obce są również zasady kultury osobistej. Macho siedzący za kierownicą jest przecież panem życia i śmierci – nie dba o bezpieczeństwo własne ani bezpieczeństwo innych użytkowników dróg. Jak podkreśla Wlekły – lekkomyślność ta ma niestety swe odzwierciedlenie w życiu prywatnym; mężczyzna, który jest agresywny na drodze, posiada cechy, pozwalające mu uwieść więcej kobiet i spłodzić więcej

dzieci. Niechlubne rekordy próbują bić zarówno młodzi, jak i dojrzały Dominikańczycy. Takie skłonności świadczą poniekąd o ogromnym dystansie, jaki mają do siebie mieszkańcy Wysp Karaibskich, co jednak nie zawsze jest postrzegane jako zaleta. Kobiety bez skrępowania rozmawiają o kolorze skóry; nie czują zażenowania wówczas, gdy Europejczyk próbuje dowiedzieć się, czym różni się karnacja *mulaty* od *moreny*. Dzięki wnikliwości reportera i jego rozległej wiedzy czytelnik dowiaduje się również, że kolor skóry – nawet współcześnie – pozostaje przyczyną wzajemnej niechęci i stanowi podstawę do wywiedzionych z historii – kulturowych sporów.

Baczną obserwacją Innego – będącą niewątpliwą zaletą książki Wleklego – ujawnia się w wielu miejscach jego reportażu. Podróżnik dociera do Papita – znawcy wudu – mieszkającego na peryferiach dominikańskiej dżungli, który przybliży mu m.in. obrzęd grzebania zmarłych – *banco de palo* oraz wykazuje podobieństwa między bóstwami wudu a hagiografią katolicką. Dodaje również, że wudu spełnia funkcję fetysza posiadającego moc sprawczą. Wykorzystują go politycy, którzy korzystają z „duchowych usług” kapłanów podczas kampanii wyborczych, widząc w tym sposób na realizację swoich politycznych aspiracji. Reporter przysłuchując się opowieści Papita, próbuje uporządkować zgromadzone informacje; wierzy w możliwość poznania Innego, bowiem „przekłada” dominikańskie osobliwości kulturowe i religijne na język bliski każdemu czytelnikowi.

Z lektury *All inclusive* wyłania się portret reportera-narratora zdającego się być znawcą środkowoamerykańskiej obyczajowości. Przywołuje wiele ważnych – z punktu widzenia kulturowego – informacji wzbogacających o szczegóły uzyskane dzięki relacjom tamtejszych świadków historii. Miejscami dokonuje dojrzałej oceny socjologicznej

(choć jak podkreśla, nie jest socjologiem) sformułowanej w oparciu o obserwację oraz wiedzę zdobytą podczas pobytu na Dominikanie. Potwierdzeniem postawionej tezy jest m.in. rozdział zatytułowany „Trujillo”, w którym reporter dochodzi do wniosku, że „na wizerunku pierwszego macho i wzoru męskości Dominikany jest skaza”. Wlektły wielokrotnie broni swojej opinii i dlatego subtelnie, aczkolwiek konsekwentnie, zmierza do tego, by w II części swej książki poruszyć jakże ważki problem molestowania seksualnego przez duchownych. W tym celu umawia się na spotkanie z dominikańską redaktorką – Nurią Peirą – prowadzącą dziennikarskie śledztwo w sprawie arcybiskupa Wesołowskiego. Peira zrealizowała wstrząsający film obciążający polskiego nuncjusza. W swoim dokumencie dziennikarka przywołała wypowiedzi ofiar arcybiskupa, które potwierdziły dopuszczanie się przezeń czynów o charakterze pedofilskim i homoseksualnym.

Wlektły stara się dotrzeć do sedna problemu. Analizuje postanowienia dominikańskiego Konkordatu, który według jego rozmówców zapewnia duchownym nietykalność nawet wówczas, gdy ci dopuszczają się przestępstw. Z drugiej strony reporter dostrzega zagrożenie w anachronicznym sposobie myślenia rodziców, którzy nie przyjmują do wiadomości faktu, iż duchowny mógłby kogoś zepsuć lub skrzywdzić. Autor sprzeciwia się tym samym wszechwładzy struktur kościelnych, zakazujących w jego opinii w szkołach zajęć z edukacji seksualnej. Twierdzi ponadto, iż ów brak elementarnej wiedzy ma wpływ m.in. na stale rosnącą liczbę gwałtów o charakterze kazirodczym. Czy jednak w tej sytuacji jakiegokolwiek działania prewencyjne mogą okazać się skuteczne? Reporter nie udziela na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi, choć jego głos zasługuje na uznanie, ponieważ stanowi wyraz sprzeciwu wobec używania przemocy. Warto jednak

podkreślić, że Wlekły nie występuje w roli arbitra, a jedynie omawia anatomię problemu, który dotyczy nie tylko mieszkańców Wysp Karaibskich.

Debiut Mirosława Wlekłego ukazuje dramatyczny, ale i wielobarwny obraz Dominikany urzekającej rajskimi krajobrazami roztaczającymi się nad piekłem ludzkiej biedy i bezradności. Karaibski Tartar uobecnia się w sferze stosunków międzyludzkich respektujących nadużycia i wzajemną przemoc. Trudna sytuacja dominikańskich kobiet i dzieci zdaje się wynikać przede wszystkim z ułomnego systemu prawnego oraz nieskuteczności działań funkcjonariuszy służb publicznych, którzy nieraz popełniają wiele przestępstw. Utrudniony dostęp do edukacji i szerzący się analfabetyzm skutkują nieumiejętnością reagowania w sytuacji zagrożenia własnej czci i godności. Jedyną nadzieją dla ofiar przestępstw seksualnych jest surowa postawa papieża Franciszka, zwolennika bezwzględnej walki z księżmi-pedofilami. Lektura niniejszej książki wymaga od czytelnika intelektualnego zaangażowania. Na pewno skłania go do refleksji na temat statusu Dominikany we współczesnym świecie. Czy rzeczywiście jest to raj (być może rzeczownik ten należałoby opatrzyć cudzysłowem...)? Wlekły pozostawia czytelnika w stanie zawieszenia, zapraszając go do wypracowania autonomicznej opinii.

Mirosław Wlekły, *All inclusive. Raj, w którym seks jest bogiem*, Warszawa 2015, ss. 246.

Monika Jacenik – doktor nauk humanistycznych, nauczycielka języka polskiego i bibliotekarka. Ukończyła studia filologiczne w Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. W 2015 r. obroniła dysertację nt. „*Pod gwiazdą przygody*”. *Antonio Halik – studia o życiu i twórczości*. Aktualnie pracuje w Zespole Szkolno-Przedszkolnym nr 1 w Katowicach. Interesuje się literaturą podróżniczą i reportażem.

Barbara Strzelbicka

WSZYSCY JESTEŚMY WINNI. O „SKAZANEJ” BARBARY ROSIEK

Powieść Barbary Rosiek *Skazana* jest kontynuacją *Ćpunki* – z wszelkimi cechami *sequela*: ci sami bohaterowie, te same miejsca, ten sam krąg tematyczny. O ile jednak część pierwsza ludzi pewnym optymizmem, daje niewielką wprawdzie, ale jednak – nadzieję, to część druga tę nadzieję odbiera. Główna bohaterka pogrąża się w chorobie oraz w nałogu. Krótkotrwałe zrywy w kierunku poprawy na początku powieści okazują się być tylko przysłowiowym słomianym zapalem, a potem jest już tylko pogrążanie się w destrukcji. Od pewnego momentu postać tytułowej bohaterki zaczyna wywoływać niechęć, przerażającą się w obrzydzenie – z zagubionej dziewczyny staje się egoistycznym potworem, żądającym od świata, żeby zajmował się tylko nim.

Możliwość rozwoju akcji jest ograniczona stanem bohaterki, nieoczekiwany zwrot wymagałby interwencji sił pozaziemskich albo wynalezienia lekarstwa na HIV. Barbara Rosiek jednak trzyma się realiów, bo wie, że wiara w cuda dla wielu jej młodych czytelników byłaby zgubna. Nie o rozwój wydarzeń więc, który jest raczej oczywisty, w powieści chodzi. Traci także na sile przestroga, zawarta w części pierwszej, bo chociaż opisy dolegliwości Anki P. są dość drastyczne, to jednak wszystko razem jest zbyt obezwładniające, by mogło być przestrogą. Nic się nie da zrobić, otoczenie jest bezradne i bezsilne, może jedynie patrzeć, jak młoda osoba umiera na własne życzenie (żeby nie napisać: na skutek własnej głupoty). Nie działają żadne nakazy ni zakazy, zdobycie narkotyku jest łatwe, obietnice narkomana – kruche, system pomocy – nieskuteczny.

Co zatem jest głównym tematem książki? Autorka pamiętnika, czyli Anka P., oskarża świat o to, co się z nią dzieje. Oskarża wszystkich swoich bliskich o brak miłości dla niej, choć jest jedynym dzieckiem w rodzinie, dla którego rodzice, dziadkowie i ciotka mają nieprzebraną ilość cierpliwości. W oskarżaniu nie stawia sobie granic: matce zarzuca, że ta nie chciała zająć w ciąży, ojca oskarża o ucieczkę, bo umarł. Czas dzieciństwa nazywa ułudą, wyznając: *Do czternastego roku życia żyłam w świecie uludy domowego szczęścia i ciepłota. Wszyscy kochają ją za mało.*

Jednak nie trzeba szczególnie krytycznego namysłu, by zauważyć, że nie jest to przekonanie uzasadnione, lecz rodzaj pretekstu, a właściwie sposób na wywołanie poczucia winy u najbliższych. Dzięki temu poczuciu winy można nadal bezkarnie wszystkich wykorzystywać, okradać, okłamywać i szantażować groźbą własnej śmierci.

Wydaje się, że prawdziwą przyczyną problemów bohaterki – gdyby była ona bohaterką realną – jest brak umiejętności radzenia sobie z negatywnymi uczuciami, potrzeba ich natychmiastowej eliminacji alkoholem, narkotykami, a jeśli ich nie ma albo nie działają – samookaleczeniem. Ma być dobrze, wesoło, szczęśliwie, a jeśli tak nie jest, to trzeba wziąć pigułkę.

Postawa bohaterki jest silnie zdeterminowana jej przekonaniem o winie otoczenia. Nie potrafiąc wziąć odpowiedzialności za własne postępowanie, jest także przekonana o nieodwracalności jego skutków. Jest więc podwójnie skazana: z powodu zakażenia wirusem oraz

skazana jak w *Procesie* Franza Kafki przez nieznane siły, determinujące jej życie. Pokazuje swoje rany: brak miłości rodzicielskiej, doświadczenie gwałtu, jakby mówiła: zobaczcie, co mi zrobiliście! Teraz ja wam pokażę! W świecie Anki P. nie ma przebaczenia, jest równia pochyła, po której stacza się ona, ciągnąc za sobą bliskich. W świecie Anki P. wartości są odwrócone. Mężczyzna, który zawładnął jej życiem, wciągnął w narkotyki, zaraził HIV-em, a przy tym był groźnym przestępcą – jest w jej wspomnieniach dobry, ona do niego tęskni – jak ofiara do swojego kata. Świat Anki P. jest światem niebezpiecznym, a jej postawa może być zaraźliwa, bo nie tylko narkomanów i osób śmiertelnie chorych takie zachowania dotyczą. Oczekiwanie, że życie będzie pozbawione przykrości i cierpienia, jest oczekiwaniem złudnym. Jedyne sposoby, to nauczyć się radzić sobie z trudnymi uczuciami – bez uciekania się do sposobów na skróty.

W kontekście dbałości Pisarki o realizm pojawia się pytanie o granice stylizacji językowej. W powieści *Skazana* mamy do czynienia

ze stylizacją, dopuszczającą dowolność interpunkcji oraz pewną nieporadność językową – wszak jest to pamiętnik dziewczyny, która ma ukończoną zaledwie szkołę podstawową. Wspomina wprawdzie o swoim zainteresowaniu literaturą, w tym także filozoficzną, co wydaje się być uzasadnieniem dla wprowadzenia fragmentów, w których bohaterka posługuje się językiem wyszukany. Efektem zabiegów jest narracja nierówna, bo bohaterka raz prowadzi ją nieporadnie, a raz zahacza o styl wysoki, przez co staje się pretensjonalna. Brak dystansu wobec narracji bohaterki, który można zaznaczyć kursywą lub cudzysłowem, rodzi pewne niebezpieczeństwo: młodzi czytelnicy będą przekonani, że tak właśnie jest poprawnie.

Zakończenie *Skazanej* jest otwarte, a Barbara Rosiek napisała trzecią część trylogii o Ance P. Czy jednak może być ona optymistyczna?

Barbara Rosiek, *Skazana*, Mawit Druk, Warszawa 2015.

Barbara Strzelbicka

PYTANIA, DO POSTAWIENIA KTÓRYCH ZMUSZA „PROCA”

18 grudnia 2015 r. w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie miała miejsce premiera sztuki Nikołaja Kolady *Proca*. Dramat powstał w 1989 roku, należy do rzadko granych w Polsce – wystawił go w 2002 roku Teatr Scena Prezentacje w Warszawie, a przed trzema laty Polskie Radio zrealizowało go w formie słuchowiska.

Nikołaj Kolada jest twórcą znanym i uznanym, autorem dramatów, wystawia-

nym przez teatry na całym świecie. Często porównywany jest do Czechowa – być może dlatego, że przedstawia „rosyjską duszę”. Zbyt mało znam twórczość Kolady, by się do tego ustosunkować, jednak po obejrzeniu *Procy* nasunęło mi się raczej skojarzenie z *Lękami porannymi* Grochowiaka.

Kolada podejmuje tematy trudne, ale bardzo istotne dla kondycji współczesnego człowieka. Można je ująć jednym określeniem



Tomasz Włosok, Iwona Chołuj, Adam Hutyra, foto: Barbara Strzelbicka.

– poszukiwanie prawdy o sobie. Dochodzenie do niej jest procesem bolesnym. Sam Kolada przyznaje, że posługuje się prowokacją (rozmowa opublikowana na łamach „Gazety Teatralnej”, grudzień 2015 – luty 2016, którą przeprowadziła z dramaturgiem Ewa Oleś, sekretarz literacka teatru). Prowokacja zmusza człowieka do zajęcia stanowiska, określenia postawy, nie ma mowy o zasłanianiu się i używaniu wybiegów.

W *Procy* dochodzenie do prawdy o sobie dotyczy zarówno bohaterów, jak aktorów i widzów. Wydaje się, że w przypadku bohaterów problem jest najprostszy – ich historie zostały napisane, choć na tyle metaforycznie, że jednoznacznie nie da się ich zinterpretować. Postacie są tak wyraziste, a problemy tak głębokie, że aby dobrze i wiarygodnie zagrać

role, aktorzy muszą odnaleźć w sobie ich uczucia i po prostu się nimi stać – przynajmniej na czas spektaklu. Wymaga to wielkiego kunsztu, ale także wrażliwości, doświadczenia życiowego i odwagi. Cechy, które na scenie pokazali Adam Hutyra, Iwona Chołuj i Tomasz Włosok, są najczęściej skrywane, pokazywane jedynie w chwilach słabości, a najczęściej spychane do strefy cienia, bo nie cieszą się społecznym uznaniem. Alkoholizm, homoseksualizm, bieda, kalectwo, prostytutka są naznaczone społecznym *tabu*. Jak więc się do tego przyznać – nawet przed samym sobą? Jednak udawanie, że tego nie ma, zamykanie oczu na „brzydką” stronę ludzkiej natury, skutkuje uczuciem nieprawdziwości życia – o czym mówi najmłodszy z uczestników dramatu, wyznając, że w brudnym mieszkaniu swojego przyjaciela – alkoholika, kaleki,

żebraka – znajduje prawdę. Prawdziwe jest jego życie, prawdziwe jest też jego uczucie. Nie oznacza to, niestety, zwycięstwa prawdy i szczęśliwego zakończenia.

Widzowie, żeby zmierzyć się z przedstawionymi problemami, muszą dokonać sporego wysiłku – co jest trudne zwłaszcza w czasach, gdy wszystko musi być ładne i *glamour*. Nie każdy chce przyjąć do wiadomości istnienie czegoś głębszego pod gładką zewnętrzną powłoką. Oto okazuje się, że miłość jest nie tylko dla ludzi pięknych, geje nie zawsze są pachnący i dobrze ostrzyżeni, alkoholicy mają dusze, a prostytutki serca. Jednak nie takie wnioski są najważniejsze, bo nie są też odkrywczyste. W tej sztuce najważniejsze są pytania niewypowiedziane i może nie zawsze pomyślane, czasem zaledwie przeczuwane, objawiające się niesmakiem, niepokojem. Ile mamy cech wspólnych z bohaterami spektaklu? Jak często traktujemy im podobnych jak ludzi gorszego gatunku? Żyjemy w zgodzie ze sobą czy też dostosowujemy się do po-

wszechnie obowiązujących standardów? Ile w nas nienawiści do cudzej odmienności? Ile w nas strachu, że jesteśmy podobni do tych, którymi pogardzamy? Ile w nas miłości bliźniego? To zaledwie część pytań, do zadania których prowokuje sztuka. I nie są to pytania, na które wystarczy raz odpowiedzieć, żeby się od nich uwolnić, lecz takie, które trzeba stawiać sobie ciągle.

Proca – Nikolaï Kolada, przekład – Jerzy Czech, reżyseria i scenografia – André Hübner-Ochodlo, muzyka – Adam Źuchowski, współpraca scenograficzna – Stanisław Kulczyk, asystent reżysera – Adam Hutyra, ruch sceniczny – Włodzimierz Kuca, animacje, akustyka – Dominik Głowacki, światło – Przemysław Bielawski

Obsada: Ilja – Adam Hutyra, Anton – Tomasz Włosok (gościnnie), Larysa – Iwona Chołuj

Premiera – 18 grudnia 2015 r.



Iwona Chołuj, Ewa Oleś i Goście, foto: Barbara Strzelbicka.

Ida Jadwiga Łubińska

CZĘSTOCHOWIANKA: JANINA PLUCIŃSKA-ZEMBRZUSKA (1922-1987)

Cofnijmy się pamięcią do maja 1986 r., trzydzieści lat wstecz. W salach Biura Wystaw Artystycznych (obecnie Miejska Galeria Sztuki) odbywała się ekspozycja malarstwa i grafiki Janiny Plucińskiej-Zembrzuskiej, z okazji jej jubileuszu trzydziestopięciolecia pracy twórczej. Ostatnia za życia.

Już wtedy miała na swoim koncie przeszło 100 wystaw indywidualnych zorganizowanych w latach 1951–1986 w Częstochowie, Warszawie, Kielcach, Katowicach, Radomiu, Bielsku Białej, Rybniku, Bytomiu, Krakowie, Przemyśle, Wrocławiu i innych miastach. Uczestniczyła też w wielu wystawach zbiorowych.

Nagradzana była m.in. w 1956 r. nagrodą miasta Częstochowy za pracę twórczą, podobnie w 1964, w 1965 – odznaką zasłużony dla rozwoju województwa katowickiego, w 1967 – nagrodą im. Klajmana – za malarstwo, w 1984 medalem miasta Częstochowy – za wkład pracy w rozwój miasta.

Janina Plucińska była rodowitą częstochowianką. Urodziła się w rodzinie rzemieślniczej, ojciec – Romuald Respondek, był stolarzem. Matka – Józefa, pochodziła z rodziny Fertnerów, mającej długie, bo sięgające XVIII w. tradycje artystyczne. W dzieciństwie Janina wiele czasu spędzała w pracowni swego pradziadka Piotra Fertnera, który zrealizował wiele rzeźb do częstochowskich kościołów. Dziadek – Jan Terner – również rzeźbiarz, kontynuował tę tradycję.

Wojna, obowiązki matki kilkorga dzieci, praca zawodowa w Spółdzielni Poligraficznej „Udziałowa” na stanowisku rysownika–retuszerza nie zniszczyły w niej artystycznych pasji.

Zamiłowanie i talent podbudowane zostały kilkuletnią nauką rysunku – w okresie

okupacji u profesora Rudlickiego, a w latach 1946–51 w częstochowskiej Szkole Sztuk Plastycznych i w Ognisku Plastycznym, gdzie m.in. wykładali: Wanda Wereszczyńska, Wojciech Barylski, Władysław Wagner.

Po raz pierwszy przedstawiła swoje prace w 1947 r. Uprawiała różnorodne rodzaje plastyki: malarstwo i rysunek, grafikę i rzeźbę. Różne też były techniki, w których realizowała swoje pomysły: olej, akwarela, tempera, collage, tusz. Interesująco i nowatorsko, jak na tamte czasy, prezentowały się jej „aluminowe reliefy”.

Tematem twórczości Janiny Plucińskiej było życie, stany uczuciowe i emocjonalne człowieka. Potwierdziła to w wywiadzie udzielonym dla „Życia Warszawy” w 1970 r.: „Najbardziej pociąga mnie człowiek. Staram się usilnie pokazać jego wewnętrzne przeżycia, pokazać jego duszę. Równie silnie fascynuje mnie dziecko, jego wrastanie w życie”. Ten ostatni motyw przez wiele lat był w jej zasięgu. Modele znajdowały się w domu. Wychowując je, troszcząc się o nie, obserwowała jak się zmieniają, dojrzewają.

Malowała też pejzaże, martwe natury, portrety bliskich i znajomych, lecz temat „człowiek” powracał nieodmiennie, obsesyjnie. Powstał cykl „Macierzyństwo”, „Baby”, „Żałobnice”, „Świątki ludowe”, „Moje epitafium”, „Uścisk miłości”, „Golgota”.

Częstym motywem jej twórczości był krzyż. „W prezencie ślubnym otrzymała krzyż wyrzeźbiony przez pradziadka Piotra (...) Krzyż był stałym tematem jej przemysłów i szkiców, zwłaszcza tych, które chowała do szuflady”. (ks. Mariusz Jersak – w katalogu do wystawy w Kościele Akademickim w Piotrkowie Trybunalskim w 2016 r.). Krzyż od-

cisnął się też głębokim piętnem na jej życiu.

W skromnym mieszkaniu malarki w dzielnicy Tysiąclecie, w latach osiemdziesiątych XX w. na niespełna 40 metrach kw. zmagazynowane były w specjalnie skonstruowanych szafach – obrazy, dziesiątki obrazów. Spoglądały z nich twarze lub postacie ludzkie, które w uproszczonej, skondensowanej stylistyce opowiadały swoje losy, przeżycia, stany duszy. Wyrażały ból, lęk, miłość, radość, tklivość... mnogość stanów psychicznych. To prace dojrzałe i mądre.

Na sztalugach nowe płótna, a na nich kolejne wersje uświęconego tematu. Tak, uświęconego, bo w tych obrazach jest jakaś mistyka, sacrum. Mieszkanie jednoznacznie określało osobowość właścicielki. Sztuka była tu pierwszą potrzebą życia – imperatywem, któremu była posłuszna.

Twórczość Janiny Plucińskiej-Zembrzuskiej jest twórczością osobliwą i spontaniczną, nie dającą się wtłoczyć w ramy określonej konwencji, zasznurować. Odkąd rozpoczęła swój dialog z człowiekiem, z naturą ludzką przy zachowaniu pewnego kodu: – ludowe znaki plastyczne, proste formy i układy kompozycyjne, anegdotyczność prowadzonej w obrazie opowieści, prowokuje widza do refleksji, ale też wzrusza, budzi niepokój, zmusza do zadumy. Jest głęboko ludzka i intrygująca. W swoim uproszczeniu, wysublimowaniu, urasta do rangi symbolu.

Janina Plucińska była związana z Częstochowskim Stowarzyszeniem Plastyków Nieprofesjonalnych od początku jego istnienia tj. od 1981 r., aż do swojej śmierci w kwietniu



Centrum idei „Ku Demokracji”
w Piotrkowie Trybunalskim (wejście od Pl. Kościuszki)

26.04–21.05.2015



REKTORAT KOŚCIOŁA AKADEMICKIEGO PANIEN DOMINIKANEK
p.w. MATKI BOŻEJ ŚWIĘTEJ w PIOTRKOWIE TRYBUNALSKIM
ul. Rybicka 3, 97-300 Piotrków Trybunalski tel. +48 44 845 92 43



PROGRAM
REGIONALNY
rozwoju przedsiębiorczości



Łódźkie



1987 r. Rok później zarząd Stowarzyszenia ustanowił nagrodę jej imienia, która przyznawana była jego członkom za wybitne osiągnięcia artystyczne. Ma postać statuetki Stańczyka. Pierwszą wersję zaprojektował i uformował w ceramicznym tworzywie ówczesny opiekun i przyjaciel Stowarzyszenia – nieżyjący już artysta rzeźbiarz Szymon Wypych, nadając twarzy Stańczyka własne rysy. Ale jak w każdej ekspresyjnie rozwijającej się formacji (obecna nazwa to – Częstochowskie Stowarzyszenie Plastyków im. Jerzego Dudy-Gracza) coś się zmienia, ewoluuje... Autorem obecnie przy-

znawanej statuetki, wykonanej z metalu, jest artysta rzeźbiarz – Mariusz Chrząstek.

Mijają lata, blakną wspomnienia. A szkoda, by ta ciekawa, oryginalna twórczość uległa zapomnieniu. Mecenaską twórczości Janiny Plucińskiej jest jedna z jej córek, pani Anna Szwedowska.

Twórczość malarki przypomniano w Muzeum Częstochowskim w r. 1989. Także w Muzeum – „Zagroda włościańska” kilka lat temu

prezentowany był pewien fragment jej działalności artystycznej. W 2014 r. można było zobaczyć jej prace w sali Klubu Spółdzielczego „Nasza Praca” przy ul. Broniewskiego.

Niektóre kościoły, nie tylko z naszego regionu, eksponują, zwłaszcza w okresie postu, związane z tematyką sakralną prace Janiny Plucińskiej. Tak też było i w tym roku. Powyżej plakat z jej zeszłorocznej wystawy w Piotrkowie Trybunalskim.



Altea Leszczyńska, z cyklu: Marionetki.

Altea Leszczyńska

STEREOTYP KOBIETY W OPARCIU O FILMY NA DVD OFEROWANE W PRASIE

Redakcje pism kobiecych prześcigają się w uatrakcyjnianiu swojej oferty poprzez dodawanie filmów na DVD. Zasadniczo filmy na płytach mają wzbudzać zainteresowanie i entuzjazm czytelniczek i w rezultacie gwarantować ich wierność danemu czasopismu. Miesięcznie można znaleźć w prasie kobiecej kilka tytułów. Oblicza się, że dotychczas wydawnictwa prasowe wypuściły kilkaset płyt DVD i VCD, które zapewniają znaczący wzrost sprzedaży, gdyż amatorki filmów wolą za gazetę z filmem zapłacić 10 złotych, niż za sam film złotych kilkadziesiąt. Najciekawszą kwestią pozostaje dobór dołączanych filmów. Czym się kierują wydawnictwa prasy kobiecej, pozostaje nieodgadnioną tajemnicą. Prezentowane filmy można podzielić na kilka grup: komedie romantyczne (najliczniejsze jak dotąd), melodramaty (oczywiście o miłości), filmy sensacyjne (niby taki męski gatunek), filmy kostiumowe, bajki i lektury szkolne; zdarzają się też oczywiście inne rodzaje filmów (horror, *political fiction*), ale pojawiają się one sporadycznie.

Jednymi z pierwszych filmów, jakie pojawiły się w roli gadżetu dołączanego do pism kobiecych, były „Amelia” i „Czego pragną kobiety”. Wydawcy prędko stwierdzili, że typowa czytelniczka ich pisma oczekuje lekkiego i zabawnego filmu o przygodach miłosnych mało rozgarniętych kobiet i przystojnych, choć równie „bystrych” mężczyzn. Dziwnym zbiegiem okoliczności „błyskotliwi inaczej” bohaterowie filmowi są przeważnie ludźmi sukcesu, co jest o tyle zaskakujące, że większość czasu spędzają na uczuciowych intrygach. Głównym dążeniem bohaterek komedii romantycznych na DVD jest zdobycie miłości postaci granej

przez Hugh Granta lub Richarda Gere’a. Dojście do tego celu nie jest łatwe, po drodze czekają bohaterów różne problemy w postaci złośliwych byłych partnerów czy też teściów należących do mafii. Komedie romantyczne pojawiające się z czasopismami kreują świat, w którym miłość czeka na każdego i pokonuje wszelkie przeszkody. Perypetie mają być zabawne, a dialogi niezbyt skomplikowane, aby oglądająca film miłośniczka prasy kobiecej przypadkiem się nie zmęczyła. Przez pierwszych kilka miesięcy trwania tego procederu czytelniczki czasopism mogły wzbogacić swoje kolekcje o kolejne tytuły lekkich, łatwych i przyjemnych komedii z Julią Roberts czy Meg Ryan. Jednak po pewnym czasie wydawcy doszli do wniosku, że nie wszystkie kobiety lubią się pośmiać oglądając film i zdecydowali się na melodramaty. Filmy też oczywiście dotyczyły związków damsko-męskich, choć już niekoniecznie kończyły się *happy endem* (czytaj: ślubem głównych bohaterów). Ale podobnie jak komedie romantyczne, melodramaty dobierane przez wydawców również nie wymagały od oglądających je kobiet zbytniego wysiłku intelektualnego. Filmy amerykańskie (a najczęściej takie produkcje są oferowane) mają to do siebie, że są nieskomplikowane i jednowątkowe, a kadry prezentuje się po kolei, żeby się czytelniczka czasopism kobiecych nie musiała zbyt pilnie koncentrować na akcji i wszystko pojęła.

Przeglądając tytuły należące do tej kategorii, możemy sobie stworzyć wizerunek typowej czytelniczki prasy kobiecej, a zarazem amatorki DVD. Jest to z założenia kobieta dobrodusza i prostolinijna niczym amerykańskie love story o bogatym życiu wewnętrznym rodem

z *soap opera*. I takie są również bohaterki oferowanych filmów. Wydawcy z góry zakładają, że ich potencjalna czytelniczka będzie się utożsamiać z bohaterką hitu filmowego. Wizerunek kobiety według tytułów na DVD prezentowanych przez prasę kobiecą to pannenka o rozbuchanej wyobraźni erotycznej, gdyby żyła ona w XIX w., to zaczytywałaby się w romansach, a ponieważ należy do współczesności, więc gustuje w filmach na płytach dołączanych do swoich ulubionych czasopism. Tylko że romantyczne wzorce miłości z XIX w. i iluzja tworzona przez amerykańskich reżyserów i producentów kinowych nie przystają do rzeczywistości. Życie bohaterek filmowych pozbawione jest głębszego sensu i wartości. Świat medialnej popkultury prezentuje nam obraz współczesnej kobiety, której największą życiową tragedią jest niemodna torebka lub nieudana fryzura. Naczelną życiową zasadą tej kobiety to być piękną, ładnie pachnieć i mieć obok siebie jakiegoś (zamożnego i przystojnego) mężczyznę.

Wśród pism kobiecych z tzw. niższej półki (które, niestety, stanowią większą część prasy dla pań) interesujące tytuły filmów pojawiają się rzadko. Królują błahe *love-stories*, rubaszne komedie i filmy akcji. Przyjrzyjmy się paru tytułom: *American Pie* wydawca reklamuje film jako „zwariowaną i pikantną komedię o wkraczaniu w dorosłość”. To wkraczanie w dorosłość skupia się wokół problemu „pierwszego razu”. Jeden z bohaterów traci dziewictwo z szarlotką na ciepło. Innym arcyzabawnym momentem filmu jest scena, w której młody chłopak wymiotuje w trakcie imprezy po wypiciu piwa specjalnie spreparowanego przez jego kumpli. Inna radosna komedia to np. *Straszny film*. Oto fragment reklamy filmu: „Zabójca w masce ściga Cindy i jej przyjaciół. Czy Cindy zdoła się uratować? Czy uda jej się stracić dziewictwo?” Najwyraźniej wydawcy prasy kobiecej uznali, że ten problem jest kluczowy dla ich czytelniczek. To nie wszystko jeśli chodzi o *Straszny film*,

czytelniczki prasy kobiecej czeka tam jeszcze prawdziwa perełka – facet uprawiający seks z odkurzaczem. Pierwsza część filmu niewiele różni się od drugiej.

Jeśli chodzi o filmy obyczajowe, sprawa nie przedstawia się lepiej. Wydawcy wciskają swoim czytelniczkom albo tytuły na poziomie *American Pie* czy *Straszny film*, to znaczy o raczej „genitalnej” tematyce dialogów lub bardzo naiwne filmy o miłości. Jeśli chodzi o ten pierwszy rodzaj, to świetnym przykładem może być *Maybe Baby*, w którym przez 105 minut jesteśmy świadkami usilnych starań o dziecko – bez obaw, film nie jest żadnym porno! Główni bohaterowie i ich liczni znajomi rozmawiają na ten temat i udzielają sobie wzajemnie bardzo wyszukanych porad.

Jeśli chodzi o romantyczne *love-stories*, to sprawa dialogów nie jest lepsza. Filmy romantyczne wybierane przez wydawców prasy kobiecej to najczęściej błahe i naiwne filmiki kończące się ślubem (a w najgorszym przypadku zaręczynami) pary głównych bohaterów. Najlepiej sprzedaje się temat „on kocha ją, a ona jego (na razie) nie”. Choćby w filmie *Randka z księciem*, główna bohaterka – Samantha, wie, że żyje jako singla i chciałaby ten stan jak najszybciej zmienić. W podobnej sytuacji jest jej sąsiad Jack. Oboje szczerze się nienawidzą i wyrządzają sobie wzajemnie rozmaite złośliwości. Sąsiedzi przypadkowo zapisują się do tego samego portalu randkowego w Internecie. Nagle okazuje się, jak wiele ich łączy. Po przeczytaniu tak króciutkiego streszczenia nie trzeba już oglądać samego filmu. Inny z kolei tytuł *Randka z Lucy* (generalnie filmy z randką w tytule najwyraźniej dobrze się sprzedają) ukazuje odwieczny problem młodych kobiet, czyli jak wybrać tego jednego jedynego spośród kilku pretendentów do ręki. W romantycznych komediach pojawiają się zwykle atrakcyjne kobiety sukcesu gotowe rzucić wszystko dla swego wybranka i nawet przenieść się w czasie do epoki, w której ko-



Altea Leszczyńska, z cyklu: Marionetki.

biety nie miały szans na zrobienie kariery, jak to uczyniła bohaterka filmu *Kate i Leopold*. Innym przykładem filmu, w którym błaha rzeczywistość miesza się z naiwną fantazją, może być *Księżę z bajki*, w którym tytułowy bohater wraz ze swoim paziem pozostają zamienieni w żaby, dopóki piękna kobieta nie pocałuje księcia-żabki, a potem poślubi go. Księżę znajduje swoją wybawicielkę dopiero pięćset lat później na współczesnym Manhattanie.

Wydawcy również nie stronią od adaptacji dzieł literackich, ale w wersjach uwspółcześnionych, żeby ich czytelniczki wszystko zrozumiały i się nie przemęczyły oglądając film, na przykład o Elisabeth, spokojnej i in-

teligentnej studentce, która mieszka z trzema przyjaciółkami i nie ugania się za chłopakami. Jej życie zmienia się diametralnie, gdy pozna je czułego biznesmena Darcy'ego. Trudno odgadnąć, że film jest adaptacją książki Jane Austen pt. *Duma i uprzedzenie*. W prezentowanych filmach również pojawiają się kwestie społeczne, ale w takiej formie, że trudno je traktować poważnie.

Najczęściej przez wydawców wybierane są filmy amerykańskie. Ich twórcy zazwyczaj zakładają z góry u rodzimych widzów znajomość historii i języka sporów o miejsce płci w życiu społecznym. W Stanach Zjednoczonych przeciętny widz posiada pewną wiedzę wyłącznie dlatego, że dorastał w świecie, gdzie

o „płci” – w kontekście *gender*, czyli kształtowanej przez kulturę, a nie naturę – dyskutuje się już od dawna. Przykładem takiego serialu może być *Seks w wielkim mieście*, którego kilkanaście odcinków zaprezentowało „Naj”. Twórcom tego filmu wydaje się, że to film o kobietach i dla kobiet. Główne bohaterki to typowe przedstawicielki postfeminizmu. Niezależne finansowo, wykształcone i wyglądające zgodnie ze współczesnym wzorcem urody kobiecej. Głównym celem ich życia jest posiadanie mężczyzny i ciągle nowej pary butów. Postfeminizm, zdaniem Agnieszki Graff, nie walczy z feminizmem, ale ośmiesza go. Czerpie ze zdobyczy ruchu kobiecego i jednocześnie odrzuca jego ideały. Jest to możliwe dzięki temu, że pamięć zbiorowa, zwłaszcza jeżeli się dotyczy praw kobiet, okazuje się niezmiernie krótka. To zapominanie stanowi zabieg bardzo wygodny dla współczesnej kobiety sukcesu (Graff, 252): i tej realnej, i tej fikcyjnej – wyfiokowanej bohaterki czasopism kobiecych czy filmów na DVD.

Antropolożki: Marilyn Strathern i Carol MacCormack stwierdzają, że powszechnie utożsamia się pojęcie natury z kobiecością i czynnikiem biernym, a kultury z męskością i czynnikiem aktywnym, dominującym, abstrakcyjnym. Podobnie umysłowość jest utożsamiana z męskością i czynem, a cielesność z kobiecością, której to dopiero nadaje znaczenie przeciwny czynnik męski (Butler, 48). Wzorce kobiece w kulturze masowej istnieją od zawsze. Wzorec kobiecy to forma, do której każda kobieta powinna się teoretycznie dopasować dla własnego dobra. Nie istnieje jednak żaden przymus, aby proponowane wzorce traktować poważnie. Jednak odrzucając je musimy wziąć pod uwagę pewne ryzyko. Kobieta, która nie postępuje według przyjętych norm, stawia się na marginesie kultury. Uchylanie się przed postrzeganiem siebie przez pryzmat seksualności i decydowanie o sobie to kuriozalny w naszej kulturze luksus. Ceną jest wykluczenie. Wzorec

w opisywanym przypadku to rodzaj tresury a zarazem efekt działania rynku, który musi zaważać świadomością konsumentek, aby zmusić je do kupowania.

Simone de Beauvoir stwierdziła w *Drugiej płci*, że nikt nie rodzi się kobietą, kobietą można się stać. Judith Butler w *Gender Trouble* zastanawia się, co dokładnie de Beauvoir miała na myśli i rozwija jej tezę – nikt nie rodzi się z określoną płcią kulturową (*gender*)¹, *gender* dopiero się nabywa, tak więc „kategoria kobiety” jest zmiennym znaczeniowo określeniem kulturowym. Płeć biologiczna jest faktem, płeć kulturowa natomiast to zmienna konstrukcja i dlatego stwarza niezliczoną ilość możliwości. Skoro *sex* i *gender* są niezależnymi od siebie sferami, to bycie daną płcią biologiczną nie pociąga za sobą bycia określoną płcią kulturową.

Butler stwierdza ponadto, że *gender* nie musi ograniczać się jedynie do dwóch możliwości. Płeć biologiczna nie ogranicza płci kulturowej. Co więcej, *gender* jest czymś, czym dana osoba się staje, ale czym nigdy nie jest, samą płcią kulturową można określić jako nieskończoną i powtarzającą się czynność (stawianie się). Następnie Butler przytacza tezę Monique Wittig opublikowaną w „Femist Issues”: nikt nie rodzi się kobietą, a kategoria płci nie jest ani niezmienna, ani naturalna. W przeciwieństwie do de Beauvoir Wittig używa tu określenia *sex*, a nie *gender* i nie wprowadza rozróżnień pomiędzy płcią kulturową a biologiczną. Wittig mówi o płci jako o politycznej kategorii, która służy określonym celom. Uważa, że podział na kobiety i mężczyzn czyni heteroseksualność jedyną obowiązującą normą. Według Wittig płeć kobieca jest tworzona przez system znaczeń przypisywanych i określających kobiety. Powtarzanie pewnych określonych tez dotyczących danej płci sprawia, że tezy te

¹ Będę dalej używała zamiennie określeń „płeć kulturowa” i „gender” oraz „płeć biologiczna” i „sex”.

stają się faktami. Krótko mówiąc, nazywanie różnic płciowych spowodowało pojawienie się podziałów. Dlatego też postuluje, że zadaniem kobiet powinno być odrzucenie kategorii płci i systemu obowiązującej heteroseksualności.

Filmy DVD prezentowane z kolei przez prasę dla mężczyzn (CKM, Auto+), ukazują istniejący wzorzec mężczyzny – samotnego wojownika prawie zupełnie odartego z potrzeb emocjonalnych. Kobięcie w tych filmach przypada rola erotycznej ozdoby i jednocześnie znawczyni spraw sercowych, powinna ona przeniknąć zawilosci męskiej psychiki i dostosować się do samczych oczekiwań i wymagań pełniąc funkcję ”odpoczynku wojownika”. Filmy sensoryjne ukazujące kobiety aktywne, jeżeli się już zdarzają, to są to najczęściej „dzieła” w stylu *Xena. Wojownicza księżniczka. Koniec legendy*.

„Media stwarzają pozory, że używanych przez siebie ludzi traktują z wyrozumiałością, tolerancją i szacunkiem, zza tej zasłony hipokryzji widać jednak wyraźnie prawdziwe intencje – poszukiwanie sensacji, chęć wystawienia prostaczka na pośmiewisko” (Dunin, 270). Każdy, kto ogląda filmy na DVD dołączane do prasy kobiecej, dojdzie szybko do wniosku, że media te nie mają zbyt wysokiego mniemania o własnych czytelnikach. Oczywiście, ktoś może stwierdzić, że pisma typu „Naj” czy „Pani domu” nie są skierowane do feministek robiących habilitację, tylko do przeciętnych Polek. A może to właśnie dobór filmów kreuje wizerunek przeciętnej kobiety, zaniżając jej poprzeczkę. Wydawcy czasopism zajmujących się głównie modą, urodą i dietami starają się proponować takie filmy swoim czytelnikom, aby prezentowany tytuł nie odbiegał za bardzo od tematyki, w której specjalizuje się gazeta. Zatem wybierają przede wszystkim filmy proste i błahe, a ich atrakcyjność mierzy się sprzedawalnością. Tytuły prasowe z filmami na DVD idą jak świeże bułeczki. Oczywiście tytuły prasowe różnią się między sobą i nie

wszystkie decydują się na łatwiznę, w „Gali” na przykład znaleźć można naprawdę wartościowe kino dla ambitnego i wyrobionego odbiorcy. Ale większość pism podąża nadal utartą ścieżką popkulturową, nie wykraczając poza normy przypisane swojej grupie docelowej. Bierze się to z zapatrywania, że obie płcie charakteryzują się zupełnie innymi strategiami komunikacyjnymi oraz, co się z tym wiąże, wymagają innej treści czasopism i innej tematyki filmowej. Czyli odbiorcy mają odmienną świadomość, do której trzeba się doszlifować i którą równocześnie należy formować. Film na DVD musi być przystępny dla czytelniczki prasy kobiecej, w przeciwnym razie mogłaby się ona zniechęcić do danego czasopisma. Istnieją oprócz tego pewne mity społeczne, do których przekaz jest dopasowywany, co staje się powodem rozmaitych przekłamań i właśnie dlatego komedie romantyczne i melodramaty wiodą prym wśród tytułów dołączanych do pism kobiecych. Film na DVD musi być oczywiście dostosowany do upodobań i intelektu odbiorcy i utrzymywać jego uwagę. Kwestia *genderowa* płynie z faktu, że kobiety i mężczyźni lubią inne czasopisma i różne filmy, tak jak odmienne są ich strategie komunikacyjne, co niewątpliwie jest prawdą, ale też ogromnym uogólnieniem. Kobiety też się różnią między sobą i mają rozmaite upodobania filmowe (tak samo jest z mężczyznami) i zakładanie, że melodramat jest dla niej, a *action movie* dla niego, okazuje się pozbawione sensu. Niezależne kobiety stawiają sobie odmienne wymagania od tych, jakie są im narzucane przez wydawców czasopism.

Na szczęście wydawcom wyczerpuje się z wolna asortyment filmów (które i tak powtarzają) i co jakiś czas udaje im się wypuścić na rynek płytę z filmem, który przyciąga wymagające intelektualnie amatorki DVD. Ale prasa kobieca przybiera również inną taktykę. Otóż wydawcy doszli najwyraźniej do wniosku, że głównym celem życia ich



Altea Leszczyńska, z cyklu: Marionetki.

czytelniczek jest niesienie radości swoim partnerom i potomstwu, dlatego też coraz częściej oferowane są filmy typu *Kickboxer*, przy których komedie romantyczne z Julią Roberts wydają się zaangażowanymi politycznie i ideowo arcydziełami kinematografii światowej lub proponowane są też filmy dla dzieci, czyli bajki i lektury szkolne. Zaryzykuję stwierdzenie, że jeszcze długo komedie romantyczne, filmy sensacyjne i lektury szkolne będą królować wśród tytułów płyt dołączanych do czasopism kobiecych.

Producentom zależy, aby jak najwięcej towaru niskiej jakości sprzedać jak największej liczbie odbiorców. Można oczywiście polemizować, czy to przemysł filmowy jest zły, czy źli są odbiorcy. Ci ostatni oczywiście wpływają na sztukę poprzez prawo popytu i podaży, stymulują produkcję filmów dostosowanych do ich gustów. Im więcej kiczowatych filmów, które pojawiają się jako dodatki do prasy kobiecej zostanie zakupionych, tym więcej podobnych filmów możemy się spodziewać. Tytuły te bazują na przemawianiu do egzaltowanej uczuciowości i na nastawieniu się na nieautentyczne, przerysowane emocje. Filmy DVD w tak niskich cenach mogłyby wiele dobrego zrobić, ale wydawcy prasowi nie umieją zachęcić odbiorców do patrzenia głębiej, uwzględniając wiele aspektów.

Oczywiście, pisma kobiece różnią się między sobą. Dlatego też należy przyjąć założenie, że zjawiska, o których mowa, występują w różnym natężeniu. Interesująca tutaj jest kwestia znajomości zagadnień genderowych wśród redaktorów prasy kobiecej, czyli ich zrozumienia, że płeć kulturowa jest zespołem zachowań i norm przypisywanych danej płci, tworzonych i kontrolowanych społecznie. Prasa kobieca nie zajmuje się polityką, tylko informacją i dostarczaniem rozrywki. Rozrywka ta musi być dostosowana do świadomości odbiorcy. Ale prasa kobieca powinna posiadać wiedzę m. in. o funkcjono-

waniu informacji i rozrywki, a także wiedzieć, że nastawienie się na jeden tylko gatunek filmowy płyt DVD dołączanych do kolejnych numerów pisma może okazać się niewłaściwy. Jednym słowem: powinna zostać zachowana równowaga pomiędzy atrakcyjnością filmów i ich przesłaniem.

BIBLIOGRAFIA

- Beauvoir, Simone de. *Druga płeć*. Warszawa: Jacek Santorski & CO Wydawnictwo, 2003.
 Beauvoir, Simone de. *The second sex*. New York : Vintage, 1973.
 Butler, Judith. *Gender Trouble*. New York and London: Routledge, 1999.
 Dunin, Kinga. *Czego chcecie ode mnie Wysokie Obcasy?* Warszawa: Sic!, 2002.
 Filipiak, Izabela. *Kultura obrażonych*. Warszawa, 2003.
 Graff, Agnieszka. *Świat bez kobiet*. Warszawa, 2001.

FILMOGRAFIA

- American Pie, reż. Paul Weitz. USA: 1999.
 Duma i uprzedzenie, reż. Andrew Black. Wielka Brytania: 2003.
 Kate i Leopold, reż. James Mangold. USA: 1999.
 Kickboxer, reż. Mark Disalle. USA: 1989.
 Książę z bajki, reż. Allan Arkush. USA: 2000
 Maybe Baby, reż. Ben Elton. Wielka Brytania, 1999.
 Randka z księciem, reż. Bratt Parker, USA: 2002
 Randka z Lucy, reż. Jon Sherman. USA: 2002.
 Seks w wielkim mieście, reż. Darren Star. USA: 1998
 Straszny film 1, reż. Keenen Ivory Wayans. USA: 2000
 Straszny film 2, reż. Keenen Ivory Wayans. USA: 2001
 Xena. Wojownicza księżniczka. Koniec legendy, reż. Rob Tapert. USA: 2001.

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

SNY

„Miło snami uciec z życia”

(S. Wyspiański)

Kusząca myśl, zwłaszcza wówczas, gdy sny, nawet blahe, byłyby piękniejsze niż nudna codzienność. Z leciutkim przymrużeniem oka pisał o takich właśnie nocnych marzeniach Tuwim:

„Śnią mi się psotne faramuszki
Jakieś koszałki i opałki,
I te bajeczne, niemożliwe
Niebieskie śnią mi się migdałki”.

Wytrawnym śniarzem (archaiczne nieco określenie człowieka, który często śni) był Lechoń. Znawca astrologii wiedział, iż jako urodzony w poniedziałek, podlegał władztwu Księżyca, a ten władał nie tylko poniedziałkiem, ale i makiem stąd blisko wszak do Hypnosa i jego atrybutu). Lechoń wierzył w sny, każdy uważał za znaczący („Kto sny miewa, ten wszystkie granice przekroczy”), troskliwie notował je w Dzienniku, analizował, by dotrzeć do głębin swej wyjątkowo skomplikowanej psychiki. A sny miewał piękne, pełne symboli:

„Śniło mi się dziś niebo, zaraz je poznałem
Po zapachu koniczyn i śpiewie skowronka”.

Intrygująca wizja niosła pewnie Janowi, dręczonemu od dzieciństwa lękami, urojeniami, natręctwami, upragniony spokój. Tęsknota za nią skłoniła go być może do targnięcia się na własne życie, zwłaszcza, gdy myślał:

„Nie wyczekam, nie wyśnię nic więcej”.

Rówieśnego mu Tuwima zaświatowe szczęście nie wabiło zupełnie:

„O! sprawo smutna i daleka!

Jakkolwiek jest – czy duch, czy ciało –
Jedna mnie tylko wieczność czeka...
Jak mało!”,

ale skoro wśród wielu rzeczy przyjemnych lubił – co z właściwym sobie poczuciem humoru przyznawał-

„Nie wstawać cały dzień z kanapy”,

przeto i on nieraz ”w czarnych supłach snu” pozostawał. Tajemniczy świat sennych marzeń fascynował Juliana, bo przecież:

„Na szachownicy snów i jawy
Idzie gra o niewiadome”.

Noc, czas, w którym „sen z wiecznością się przecina”, bywała czasem nieżyczliwa:

„Nie śpię o pierwszej, o drugiej, nie śpię o trzeciej, o czwartej.

Noc ma oczy otwarte, ja mam oczy otwarte.

Wpatrujemy się w siebie upartymi oczyma,
Kto kogo wzrokiem powali,
Kto
Kogo
Przetrzył”,

a jednak smutniejsze były chyba te noce, gdy:

„Nie śniło mi się nic,
Nie śniło mi się nic,
Lecz gdyby mi się śniło,
Toby tak ślicznie było!...
A teraz – żal...”

Schronienia od trosk życia w świecie, którym, wedle wierzeń rozmaitych, władał

Hypnos z synami, Morfeuszem, Ikelosem i Fantasosem, szukali i inni poeci, Staff choćby, który wspominał:

„Snu ręce mgliste, lekkie, kładzione
Na oczy jawą cierpką znużone”.

czy Morsztyn, który, gdy „zgasły słońca zachodnie podwoje”, spieszył w sennych marzeniach „utopićienne niepokoję”.

Zatracenia w sennych marzeniach szukał też Słonimski („Czujny dezterter ze świata”), gdy smutny los emigranta nazbyt dokuczył:

„Snów mi trzeba i zraty w snach”,

takż Pawlikowska-Jasnorzewska: „Z wielu powodów i dla smutków wielu”...

a zwłaszcza „nadsakujący snom” Leśmian. Zainteresowany wszystkim co paranormalne, mistyczne, niezaradny życiowo, popadający często w rozmaite tarapaty Bolesław, w sennej wizji znajomej chaty szukał śladów minionych, szczęśliwszych lat:

„Z jakimż płaczem bym zajrzał – nieoprawny śniarz

Do szyby, by swą młodość wygrzebać w jej szronie”.

W krainie sennych wizji nie lubił natomiast poruszać się Wittlin. „Kto mówi, że sen piękniejszy bywa od jawy? Kłamstwo!” - pisał. Nadwrażliwy neurastenik bał się sennych urojeń, bo przecież ryby zwiastować miały śniącemu chorobę, zęby śmierć zgoła, a biały koń zapowiadał kłopoty (czyżby tę wykładnię wyczytał Józef w dziele Artemidora, jednego z pierwszych onejrokrytów – tłumaczy snów?).

„Noc, człowiekowi na pokój stworzona” – przekonywał Morsztyn.

O! Gdybyż tak było, wdychał pewnie niejednego (Gałczyński choćby), gdy dręczyły go senne koszmary. Konstanty – „minister

pełnomocny księżycy” - całe życie pozostawał pod jego niebezpiecznym (noktambulik) urokiem. „To są moje sprawy księżycowe, bardzo trudne”. Noce, zwłaszcza oczywiście księżycowe, choć piękne:

„Już niebieską emalią
drzewa księżyc pokrył”...

bywały dla Konstantego – dręczonego napadami lęków (serce miewał często „czarne i zatrwożone”), powtarzającymi się alkoholowymi kryzysami, w czasie których upijał się na ponuro – swoistym piekłem:

„Moje noce załęcznione, infernalne,
na skrzydliskach zielonawych się kołyszą,
opętane straszdyłaki, sny astralne
suną do mnie i wibrują nocną ciszą”

Miewał przecież, gdy odchodziły ciemne myśli, noce spokojne i sny urokliwe:

„We śnie w lasach są jasne polany,
spokój złoty i niesłychany,
pocałunki zielone jak paproć”.

Noc była zagadką i źródłem jakichś bliżej nieokreślonych niepokojów dla skłonnego do melancholii, skupionego nad swymi mocnymi powikłanymi uczuciami Iwaszkiewicza:

„Ja tylko tak udaję,
że się nocy nie boję”,

ale sny miewał – nawet wtedy, gdy wyrzekł się ideałów młodości i dla kariery (pono) uwiłkłał się w nieprzynoszący chluby romans z komunistyczną władzą – niezwykle (a może takie tylko utrwalił?). Sędziwy Jarosław w snach odnajdował jeszcze dawne namiętności:

„Śniłaś mi się niby ćma, niby Ofelia,
Samotna i nieprzytomna – w ogrodzie!
Twarz Twoja, niby szczupły nenufar
Leżała wśród kręgów na wodzie”.

Nocy z trwogą oczekiwał („Noc, trumna zwłok mych, ciasna każd...”) trapiiony przez egzystencjalne niepokoje Wierzyński, nie znajdował więc chyba w snach ukojenia, żegnał się przeto z życiem nader smutną konstatacją:

„Sen piekło potępionych i niebo niewinnych,

Sen zbawienie, sen kara (...)

Sen mara”.

Ale przecież, jak z przewrotnym nieco poczuciem humoru zauważyła Szymborska, był sposób na przykre sny:

„A kiedy zasypiamy,
we śnie widzimy rozstanie.
Ale to dobry sen (...)
bo się budzimy z niego”.

„sen każdy posiada znaczenie”

(S. Brzozowski)

Sny – „królewska droga do podświadomości”, jak twierdził Freud – zawsze uchodziły za jedno z bardziej zagadkowych zjawisk dotyczących każdego człowieka. Były elementem magii, wróżbiarstwa, budziły grozę, sprzyjały natchnieniu (Tartini wyśnił swą sonatę skrzypcową z diabelskim trylem), ratowały życie (Cellini, jak wieść niosła, pod wpływem snu zaniechał samobójstwa), pozwalały odczytać ukryte pragnienia, należało tylko właściwie odczytać zawarte w nich symbole.

„Świat to osobny iskrzących się ciemnic –
Własnych praw – dziwnych uciech i prób.
Może pełniejszy jeszcze tajemnic
Niżli kolebka i grób”.

– pisała Łuszczewska.

Wieki całe szukano też źródeł snów, a zmieniające się pomysły były odzwierciedleniem poglądów panujących w różnych epokach. Przedwcześnie zmarły Zimoro-

wic – wzorem starożytnych, wierzących, iż Hypnos ukrywa się w grocie pod rzeką Lete – przypuszczał:

„Jest niedostępna jaskinia, gdzie (...)
Na łożu gnuśnym sen drzymie leniwy,
W koło niego mak roście senliwy”.

Lechoń wołał mniemać, iż jest

„Ktoś trudny do nazwania, co sny nam
wybiera”.

Sny miały być (za sprawą duszy, która mogła wtedy opuszczać ciało) drogą do innych światów, a nawet dawać przedsmak śmierci (wszak Hypnos i Tanatos byli braćmi), co wyłożył Kochanowski (wielki znawca i miłośnik antycznej kultury) w jednej ze swoich fraszek.

„Śnie, który uczysz umierać człowieka.
I ukazujesz smak przyszłego wieku,
Uśpi na chwilę to śmiertelne ciało,
A dusza niech sobie pobuja mało”.

Upływ wieków nie rozwiązał zagadek, świat snów, ciągle tajemniczy, przywodził na myśl wiele przypuszczeń. Wieloznaczne, niejasne sennie wizje skłaniały do rozmaitych interpretacji. Gałczyński gotów był mniemać, że właściwie wszystko to „sen wariata śniony nieprzytomnie” a i dla Micińskiego nasza rzeczywistość była być może jedynie iluzją:

„Kto jestem? wie tylko ten,
Który wie, że mnie wcale nie ma.
Śni mnie ktoś jakby ciężki sen”.

„co kto w swoich widzi snach”

(S. Wyspiański)

W sennych widzeniach, zwiewnych, zmiennych, urywkowych pojawić się mogło wszystko – ot, choćby korowody ludzi bez ust, którzy nieśli w kobiałkach Wszystko co Boli,

by cisnąć to z mostu do rzeki, i jakieś schody błękitne, połyskliwe, zaczynające się sporo nad ziemią, i w łagodnych skrętach pnące się... dokąd?

„Około czego za dnia umysł ludzki chodzi,
To mu wszystko na pamięć cicha noc przywodzi”.

pisał przed wiekami Karmanowski, właściciel oryginalnego imienia Olbrycht. Skoro jednak co noc, jak zauważył Herbert:

„zasypiamy
z jedną ręką pod głową,
a z drugą w kopcu planet”,

przeto nie tylko okruchy dziennych zdarzeń pojawiały się w nocnych marzeniach, a sens wielu snów nawet po latach był dla śniącego zagadką. Sen taki właśnie („ciemny i dla mnie niezrozumiany”) miał ongi w Dreźnie Mickiewicz. Spisał go „dla pamiętki” natychmiast po przebudzeniu, bez żadnych poprawek, tak, jak układały się wersy:

„Śniła mi się zima, ja biegłem w szeregu,
Za procesją pod niebem, po śniegu”.

Takoz Asnyk – którego „Niejeden sen (...) wabił miły” - miewał podobnie zagadkowe dla siebie nocne wizje:

„Dziwny sen miałem z wieczora,
Trwał jakby przez wieczność całą –
Tyś była falą jeziora,
Ja byłem nadbrzeżną skałą”.

W krainie snów, „gdy pamięć ulata”, spełnić się mogło wszystko. Stare babsko z wiersza Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, które nocą „pochrapywaniem warczy” w swoim łóżu, znów mogło być pięknym podlotkiem, a miły staruszek, jakiś bywalec wieczorów autorskich z sympatią opisany przez Szymborską:

„słodko sobie śni,
że mu żona nieboszczka z grobu wstała i
upiecze staruszkowi placek ze śliwkami”.

Świat snów obdarzał nadzwyczajnymi umiejętnościami, czego doświadczała choćby Pawlikowska – Jasnorzewska:

„Wczoraj śnił mi się znów, dla odmiany
najpiękniejszy mój sen – niezrównany!-
o pływaniu w powietrzu jak w wodzie”.

i wszelakimi talentami, co z humorem przyznawała Szymborska:

„We śnie maluję jak Vermeer van Delft.
Rozmawiam biegle po grecku
i to nie tylko z żywymi”.

A jednak realistka, sceptycznie nieco wobec nocnych urojeń nastawiona Wisława szczęśliwsza była wówczas, gdy najpiękniejszy nawet sen okazywał się być nie tym ostatnim:

„Cieszy mnie, że przed śmiercią
zawsze potrafię się zbudzić”.

W nocnych fantazjach chyba niemal wszyscy śniący mogli spotykać ukochane osoby. Czasem były to piękne, nieco nawet śmiałe sytuacje, których próżno byłoby doczekać na jawie, co przyznawał Morsztyn:

„sen wdzięczny tę przysługę sprawił,
żem swą dziewczynę całował bez trwogi”.

czasem przeciwnie – jak pisał Leśmian – owe widzenia bywały męczące:

„Śniesz mi się obco (...)
O, jak ty trudno mi się śniesz”.

W snach kobiet zwłaszcza często powracała miłość dawno minioną. Z nostalgią przywołała takie wspomnienie w jednym ze swych przejmujących liryków Maryla Wolska.

„Śniło mi się, że młodzi jesteśmy oboje,
Że Maj stoi nad nami, w białych drzew
rozkwicie,

Że wciąż jeszcze cię kocham na Śmierć
i na Życie”.

Skoro więc nocne wizje niosły tyle bogactw
i możliwości, nic przeto dziwnego, że czasem
kusiło, by zajrzeć w cudze sny (choć wedle
niektórych wierzeń było to niebezpieczne,
obudzić bowiem mogło złe moce).

Dziewczynie z wiersza Leśmiana (a wedle
badań sny kobiet miałyby, jakoby, być bogat-
sze i piękniejsze niż panów):

„Śnił się (...) dzisiaj w nocy wilkołak
w głębi kniej

I dwaj rycerze zbrojni, i aniołowie trzej!”

a zmożonemu upałem Bajdale, bohatero-
wi innego ze znanych utworów Bolesława ,
szpetny Dusiołek:

„Pysk miał z żabia ślimaczy –
(że też taki żyć raczy!)

A zad tyli, co kwoka, kiedy znosi jajo”.

Tuwim dwuznacznie nieco żartował
na temat snów jakichś pań przelotnie znajo-

mych, których pierwsza młodość przemijała
w samotności:

„Panny «ażurowo – przejrzyste»

(...) Excusez... mam wrażenie, że... się hm!

Wam po nocach!

Parobkowie rzeźniccy śnią jak lwy mu-
skularni,

Silni, tężdzi, ogromni...”

Szczęśliwy wielce pies, co gotów był przy-
siąć Gałczyński, wyśnił:

„Na polu kalafiori,

na całe życie dość.

Każdy kalafior spory,

i w każdym rośnie kość”.

Może więc, wzorem Balińskiego:

„Trzeba lampę zgasić, kocem się owinąć –
I zasnąć. Żeby jutro płynąć dalej, płynąć...”

BIBLIOGRAFIA:

Wiktoria Dolińska, *Co mówią nasze sny*, Wy-
dawnictwo Literackie, Kraków 1976.

Wykorzystałam też kilkadziesiąt fragmentów
wierszy twórców wymienionych w tekście.

Magdalena Syguda

KALENDARIUM ROCZNIC HISTORYCZNYCH

październik – grudzień 2015

Październik

2 października 1515 r. (500 lat temu) – zmarła Barbara Zapolya (ur. w 1490, 1494-1495 lub 1946 r.), pierwsza żona Zygmunta Starego. Ich ślub odbył się w Krakowie 8 lutego 1512 r., pan młody miał wówczas 45 lat, a jego oblubienica zaledwie 17. Barbara była osobą łagodną, ich małżeństwo było niezwykle udane, mieli dwie córki, starsza – Jadwiga, urodziła się w 1513 r., młodsza – Anna, w 1515 r., to właśnie po narodzinach Anny Barbara zachorowała i zmarła.

7 października 1660 r. (355 lat temu) – Jerzy Lubomirski rozbił wojska Jerzego Chmielnickiego pod Słobodyszczami. Bitwa rozegrała się w czasie rozpoczętej w 1654 r. wojny polsko-rosyjskiej, trwającej z przerwą w latach 1656-1658 do 1667 r.

10 października 1410 r. (605 lat temu) – Jagiełło odniósł zwycięstwo nad Krzyżakami w bitwie pod Koronowem. Bitwa miała miejsce w czasie wielkiej wojny z Zakonem Krzyżackim, zakończonej podpisaniem pokoju w Toruniu 1 lutego 1411 roku.

11 października 1830 roku (185 lat temu) – w Teatrze Narodowym w Warszawie miał miejsce pożegnalny koncert Fryderyka Chopina, pianista wykonał *Koncert e-moll*. Chopin urodził się 1 marca 1810 r. (w metryce wpisana data 22 lutego) w Żelazowej Woli. Jego rodzicami byli Mikołaj Chopin i Tekla Justyna Krzyżanowska. Fryderyk wcześniej zaczął rozwijać swój talent, w wieku 7 lat miał już na swoim koncie dwa polonezy. Chopin studiował na wydziale „teorii muzyki, jене-

ralbasu i kompozycji” warszawskiej Szkoły Głównej Muzyki, którą kierował Józef Elsner. 2 listopada 1830 r. wyjechał do Austrii, później do Monachium i Stuttgartu, tam też dowiedział się o upadku powstania listopadowego, co tak skomentował: „[...] wróg w domu [...] o Boże, jesteś ty! – Jesteś i nie mścisz się! – Czy jeszcze ci nie dość zbrodni moskiewskich – albo – alboś sam Moskal! [...] A ja tu bezczynny, a ja tu z gołymi rękami, czasem tylko stękam, boleję na fortepianie, rozpaczam”. Jesienią 1831 r. udał się do Paryża i tam też osiadł. W 1836 r. zaręczył się z Marią Wodzińską, jednak po roku jej rodzice stwierdzili, że nie jest dla niej odpowiednią partią (zupełnie nie dbał o swoje zdrowie). Około 1838 r. Chopin związał się z francuską pisarką George Sand, związek przetrwał do lipcu 1847 r. Był to najlepszy okres w jego życiu. Chopin chorował na płuca, miał gruźlicę, zmarł 17 października 1849 r. w swoim paryskim mieszkaniu. Został pochowany na cmentarzu Père-Lachaise w Paryżu.

24 października 1795 r. (220 lat temu) – miał miejsce III rozbiór Polski. 22 lipca 1794 r. Katarzyna II podjęła decyzję o likwidacji państwa polskiego, pomiędzy Rosją, Austrią i Prusami rozpoczęła się walka o przejęcie terenów należących do Polski. 3 stycznia 1795 r. doszło do podpisania układu pomiędzy Rosją a Austrią, który ostatecznie został rozszerzony także o Prusy i podpisany 24 października 1795 r. I Rzeczypospolita przestała istnieć. W wyniku rozbioru Rosja zajęła ok. 120 tys. km² i 1,2 mln mieszkańców, Austria 47 tys. km² i 1,5 mln osób, Prusy – 48 tys. km² i ponad milion mieszkańców.

Listopad

5 listopada 1370 r. (645 lat temu) – zmarł Kazimierz Wielki, syn Władysława Łokietka i Jadwigi, córki Bolesława Pobożnego, ostatni król Polski z dynastii Piastów. Kazimierz urodził się 30 kwietnia 1310 r., 16 października 1325 r. poślubił córkę litewskiego księcia Giedymina – Aldonę, z którą miał dwie córki: Elżbietę i Kunegundę. 25 kwietnia 1333 r. Kazimierz został koronowany na króla Polski, brał udział w obu zjazdach w Wyszehradzie (1335 i 1338 r.). 29 września 1341 r. Kazimierz poślubił córkę landgraфа Hesji Henryka Żelaznego – Adelajdę. 8 lipca 1343 r. podpisano z Krzyżakami „pokój wieczysty” w Kaliszu. W latach 1345-1348 prowadził wojnę z Czechami, która zakończyła się pokojem w Namysłowie. W 1356 r. zawarł małżeństwo z Krystyną Rokiczanką, stał się tym samym bigamistą. W 1364 r. została założona Akademia Krakowska. Rok później Kazimierz oddał Adelajdę i ożenił się z Jadwigą, córką księcia głogowsko-żagańskiego Henryka, małżeństwo to nie zostało jednak zaakceptowane przez papieża. Kazimierz nie pozostawił po sobie męskiego potomka.

15 listopada 1915 r. (100 lat temu) – władze niemieckie wyraziły zgodę na ponowne otwarcie w Warszawie Uniwersytetu z polskim językiem wykładowym. Tego samego dnia założona została także Politechnika Warszawska.

18 listopada–27 grudnia 1655 r. (360 lat temu) – miała miejsce obrona Jasnej Góry w czasie potopu szwedzkiego. Armia szwedzka wkroczyła na terytorium Polski 21 lipca 1655 r., 25 lipca skapitulowało wojsko polskie zebrane pod Ujściem, w sierpniu Radziwiłłowie poddali również Litwę (ugoda w Kiejdanach – 20 października 1655 r.). Obroną Jasnej Góry dowodził przeor paulinów Augustyn Kordecki. Wydarzenie to miało duże znaczenie moralne, przyczyniło

się do pokonania wojsk szwedzkich. W 1656 r. ogłoszono Matkę Boską (Częstochowską) Królową Korony Polskiej.

19 listopada 1765 r. (250 lat temu) – z inicjatywy króla Stanisława Augusta Poniatowskiego otwarty został Teatr Narodowy w Warszawie. W tym dniu w budynku Operalни przy ulicy Królewskiej miała miejsce premiera „Natrętów” Józefa Bielawskiego.

26 listopada 1715 r. (300 lat temu) – zawiano w Tarnogrodzie konfederację generalną przeciwko Augustowi II Mocnemu, której celem była „obrona wolności Rzeczypospolitej i doprowadzenie do ewakuacji z kraju wojsk saskich oraz odsunięcie ministrów saskich od decyzji dotyczących Rzeczypospolitej”. Marszałkiem konfederacji został Stanisław Ledóchowski. Rokowania pokojowe z udziałem Rosjan, rozpoczęte w październiku 1716 r. w Warszawie, zakończyły się podpisaniem traktatu 3 listopada 1716 r. Obie strony ratyfikowały traktat, zatwierdzony później przez Sejm Niemy, 30 stycznia 1717 r.

27 listopada 1815 r. (200 lat temu) – car Aleksander I, będący równocześnie królem Polski, nadał konstytucję Królestwa Polskiego. Na kongresie wiedeńskim doszło do podziału Księstwa Warszawskiego na trzy części: Królestwo Polskie, Wielkie Księstwo Poznańskie oraz Rzeczpospolitą Krakowską. Królestwo Polskie, zwane także Kongresowym, zostało proklamowane 20 czerwca 1815 r. Konstytucja opracowana została pod kierunkiem księcia Adama Jerzego Czartoryskiego.

Grudzień

7 grudnia 1550 r. (465 lat temu) – miała miejsce koronacja Barbary Radziwiłłówny, drugiej żony Zygmunta Augusta. Barbara urodziła się 6 grudnia pomiędzy 1520 a 1523 rokiem w Wilnie jako najmłodsze dziecko Jerzego Radziwiłła i Barbary Kolanki z Da-

lejowa. Barbara słynęła z niezwyklej urody. W dniu 18 maja 1537 r. została wydana za mąż za wojewodę nowogrodzkiego, Stanisława Gasztołda. Mąż miał jednak trudności z opanowaniem temperamentu żony, która nazywana była „wielką nierządnicą Litwy”. Po pięciu latach małżeństwa Stanisław zmarł i Barbara, już jako wdowa, zaczęła używać życia, miała mieć podobno aż trzydziestu ośmiu kochanków. Ich romans zaczął się niedługo po przybyciu Zygmunta Augusta, w 1543 r., na Litwę (Zygmunt do 1545 r. był w związku małżeńskim z Elżbietą Habsburżanką). Rodzina Barbary ukuła spisek, nakryci kochankowie mieli ponoć zostać zmuszeni przez Radziwiłłów do ślubu (w sierpniu 1547 r.). Nie wiemy do końca, jaka była prawdziwa wersja wydarzeń, jedno jest pewne – Zygmunt musiał kochać Barbarę, skoro zgodził się na ślub. Niestety, małżeństwo nie zostało zaakceptowane przez ogół społeczeństwa, sytuacja zmieniła się dopiero po śmierci Zygmunta Starego w 1548 r. August postawił na swoim, przywiózł Barbarę na Wawel i doprowadził do jej koronacji. Niestety, stan jej zdrowia pogarszał się z każdym dniem. Zygmunt czuwał przy niej bez przerwy, jednak 8 maja 1551 r. Barbara zmarła (prawdopodobnie na raka trzonu szyjki macicy). Jej zwłoki, zgodnie z życzeniem zmarłej, pochowano 23 czerwca w katedrze wileńskiej.

10 grudnia 1935 r. (80 lat temu) – Irena Curie (Joliot-Curie) otrzymała wraz z mężem Frédérikiem Joliot Nagrodę Nobla z chemii za odkrycie sztucznej promieniotwórczości. Irena Curie była córką Marii Skłodowskiej-Curie i Pierre’a Curie, urodziła się 12 września 1897 r. w Paryżu, w 1925 r. obroniła swoją pracę doktorską, zmarła na białaczkę 17 marca 1956 r.

11 grudnia 1605 r. (410 lat temu) – odbył się ślub Zygmunta III Wazy z Konstancją Habsburżanką. Konstancja urodziła się 24 grudnia 1588 r. w Grazu, zmarła 10 lipca 1631 r. w Warszawie, była siostrą pierwszej

żony Zygmunta – Anny Habsburżanki, a takie związki uznawane były w Polsce za kazirodcze.

22 grudnia 1930 r. (85 lat temu) – na Międzynarodowym Salonie Lotniczym w Paryżu polski samolot PZL P.6 wybrany został najlepszym i najnowocześniejszym samolotem myśliwskim. Projekt samolotu sporządził inżynier Zygmunt Puławski, prototyp wyprodukowano w Państwowych Zakładach Lotniczych w Warszawie.

25 grudnia 1895 r. (120 lat temu) – w Piotrkowie Trybunalskim urodził się Stefan Rowecki „Grot” (inne pseudonimy: Rakoń, Grabica, Inżynier, Kalina), generał dywizji Wojska Polskiego, od początku okupacji niemieckiej działacz konspiracyjny, od października 1939 r. zastępca Komendanta Głównego i szef sztabu Służby Zwycięstwu Polski. Depeszą z 18 czerwca 1940 r. został mianowany zastępcą Komendanta Głównego ZWZ (Związek Walki Zbrojnej), 30 czerwca 1940 r. natomiast Komendantem Głównym powołanej do życia Komendy Głównej ZWZ w kraju. 14 lutego 1942 r. Rowecki stanął na czele Armii Krajowej (ZWZ przemianowano na AK). 30 czerwca 1943 r. został aresztowany przez gestapo w Warszawie w swojej kryjówce przy ulicy Spiskiej 14. Początkowo wywieziono go do Berlina, później znalazł się w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, gdzie, z rozkazu Himmlera, został zamordowany pomiędzy 2 a 7 dniem sierpnia 1944 r., czyli tuż po wybuchu powstania warszawskiego.

styczeń – marzec 2016

Styczeń

16 stycznia 1826 roku (190 lat temu) – w Szostakowie przyszedł na świat Romuald Traugutt (ps. „Michał Czarnecki”) – dyktator powstania styczniowego. W 1845 roku rozpoczął służbę wojskową w rosyjskiej

szkole oficerskiej w Żelechowie, brał udział w tłumieniu węgierskiej rewolucji w czasie Wiosny Ludów, w latach 1853-1856 uczestniczył w wojnie krymskiej. W 1862 roku zakończył służbę wojskową w stopniu podpułkownika. Po wybuchu powstania styczniowego objął początkowo dowództwo nad dwuosobowym oddziałem powstańczym. Rząd Narodowy awansował go do stopnia generała, 17 października 1863 roku został ogłoszony dyktatorem powstania. Szybko zreorganizował wojsko, liczył na włączenie się ludności chłopskiej do walki. 10 kwietnia 1864 roku został aresztowany w Warszawie. Przewieziono go na Pawiak, później przetrzymywany był w Cytadeli Warszawskiej. Po licznych przesłuchaniach, które nie przyniosły efektu (Traugutt nikogo nie wydał), skazano go na śmierć. Został powieszony 5 sierpnia 1864 roku w okolicy Cytadeli.

18 stycznia – 11 marca 1401 roku (605 lat temu) – została zawarta unia wileńsko-radomska, która unormowała stosunki polsko-litewskie i przywracała związek pomiędzy obu państwami. Na mocy unii Witold uznał zwierzchność Korony nad Litwą i zobowiązał się włączyć ziemie litewskie do Polski, w zamian otrzymał dożywotnio tytuł Wielkiego Księcia Litewskiego.

22 stycznia 1921 roku (95 lat temu) – urodził się w Warszawie Krzysztof Kamil Baczyński (ps. „Jan Bugaj”, „Emil”, „Jan Krzyski”, „Krzysztof”, „Piotr Smugosz”, „Krzysztof Zieliński”, „Krzysz”) – polski poeta pokolenia Kolumbów. W 1939 roku zdał maturę, w czasie okupacji był członkiem Szarych Szeregów, a także żołnierzem Armii Krajowej. W 1942 roku rozpoczął studia polonistyczne na tajnym Uniwersytecie Warszawskim, które rzucił, by zaangażować się w działalność konspiracyjną. Początkowo był związany z batalionem „Zośka” (1 lipca 1944 roku zwolniony

z pełnionej funkcji, miał się zająć dokumentowaniem działań kompanii). Przeniósł się do batalionu „Parasol”, 1 sierpnia przebywał w rejonie placu Teatralnego, nie mogąc walczyć w powstaniu razem ze swoim zgrupowaniem, przyłączył się do oddziału Lesława Kossowskiego, zmarł 4 sierpnia 1944 roku w pałacu Blanka, dosięgła go kula strzelca wyborowego w czasie pełnienia służby.

21/22 stycznia 1941 roku (75 lat temu) – NKWD aresztowało we Lwowie Leopolda Okulickiego, generała brygady Wojska Polskiego, współorganizatora SZP-ZWZ-AK (ps. „Niedźwiadek”). Od 1940 roku pełnił on funkcję komendanta ZWZ we Lwowie pod pseudonimem „Mrówka”, po aresztowaniu przewieziono go do więzienia Brygidki, gdzie gen. Sierow zaproponował mu współpracę. Po odmowie przewieziono go do Moskwy, znalazł się na Łubiance, potem w Lefortowie. Okulicki był ostatnim komendantem głównym AK, 19 stycznia 1945 roku wydał w Częstochowie rozkaz rozwiązujący AK i zwalnający żołnierzy z dalszej służby w tej organizacji. Został skazany w procesie szesnastu na 10 lat więzienia, zmarł 24 grudnia 1946 roku (według władz rosyjskich – na atak serca).

25 stycznia 1831 roku (185 lat temu) – w trakcie powstania listopadowego sejm jednogłośnie zdetronizował cara Mikołaja I.

30 stycznia 1716 (300 lat temu) – zmarła Maria Kazimiera d'Arquien – żona Jana III Sobieskiego i jego wielka miłość, znana do dziś jako królowa Marysieńka. Maria przyszła na świat 28 czerwca 1641 roku w Nevers, była damą dworu Marii Ludwiki Gonzagi, mając cztery lata, przybyła ze swą panią do Polski. Później wyjechała na kilka lat, żeby się uczyć, wróciła około 1653 roku. W 1655 roku poznała Jana Sobieskiego, któ-

ry od razu się w niej zakochał, jednak wtedy jeszcze niczym się nie wyróżniał i Ludwika Maria zdecydowała, że Marysiénka poślubi Jana Zamoyskiego, który był znacznie lepszą partią. Jeszcze w trakcie trwania tego małżeństwa Maria Kazimiera zaczęła korespondować z Sobieskim. 7 kwietnia 1665 roku zmarł jej mąż, 5 lipca oficjalnie wzięli ślub, Marysiénka urodziła mu trzynastoro dzieci, było to jedno z nielicznych małżeństw, które połączyła prawdziwa miłość.

Luty

1 lutego 1411 roku (605 lat temu) – zawarł pierwszy pokój z Krzyżakami w Toruniu, który kończył wielką wojnę. Na mocy tego pokoju Polacy odzyskali ziemię dobrzyńską, a Litwa – Żmudź, ale tylko na czas życia Jagiełły i Witolda. Dodatkowo Krzyżacy mieli wypłacić Polsce bardzo wysokie odszkodowanie.

8 lutego 1296 roku (720 lat temu) – w Rogoźnie zamordowano na polecenie margrabiów brandenburskich Przemysła II, który 26 czerwca 1295 roku został koronowany w Gnieźnie przez arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakuba Świnkę na króla Polski. Jego państwo obejmowało tereny Wielkopolski i Pomorza Gdańskiego.

14 lutego 1831 roku (185 lat temu) – Polacy dowodzeni przez Józefa Dwernickiego pokonali wojska Fiodora Geismara w bitwie pod Stoczkiem.

15 lutego 1386 roku (630 lat temu) – władca państwa litewskiego, Jagiełło, przyjął chrzest, który był jednym z warunków podpisanej 14 sierpnia 1385 roku unii w Krewie. Jagiełło w zamian za małżeństwo z Jadwigą i koronę królewską zobowiązał się przyjąć chrzest w obrządku łacińskim, odzyskać ziemie utracone przez Polskę, a także włączyć Litwę i Ruś do Korony. 2 lutego

w Lublinie szlachta wybrała go na króla polski, 15 lutego przyjął na chrzcie imię Władysław, 18 lutego miał miejsce ślub Jagiełły z Jadwigą, a 4 marca 1386 jego koronacja.

23 lutego 1766 roku (250 lat temu) – zmarł Stanisław Leszczyński, dwukrotny król Polski w latach 1704-1709 i 1733-1736. Leszczyński urodził się w 1677 roku, od 1699 roku był wojewodą poznańskim, po detronizacji Augusta II Mocnego został wybrany na króla Polski (dzięki wsparciu króla Szwecji – Karola XII). W kraju doszło jednak do wojny pomiędzy zwolennikami Augusta II i Stanisława Leszczyńskiego, w 1706 roku podpisano pokój w Altranstadt, August II zrezygnował z tronu i Leszczyński został prawowitym władcą. Jednak w 1609 roku, po klęsce Szwecji w bitwie pod Połtawą, musiał opuścić kraj, przez pewien czas przebywał m.in. w Szwecji. Po śmierci swego rywala wrócił do kraju, gdzie dzięki wsparciu zięcia – Ludwika XV – znów otrzymał koronę. 26 stycznia 1736 roku abdykował, udał się do Francji, gdzie Ludwik przekazał mu dożywotnio Lotaryngię.

Marzec

10 marca 1646 roku (370 lat temu) – po śmierci swej pierwszej małżonki, Cecylii Renaty (1644 rok), Władysław IV Waza pojął za żonę Marię Ludwikę Gonzagę de Nevers. Decyzja o zawarciu małżeństwa zapadła 13 lipca 1645 roku, 5 listopada tego samego roku odbył się w Luwrze ślub *per procura*, na którym króla Polski reprezentował Krzysztof Opaliński. Nowa królowa musiała zmienić imię z Marii Ludwiki na Ludwikę Marię, gdyż wówczas w Polsce to imię zarezerwowane było wyłącznie dla rodzicielki Chrystusa. Nie była lubiana przez poddanych, gdyż ingerowała w sprawy polityczne.

13 marca 1516 roku (500 lat temu) – zmarł w Budzie Władysław II Jagiellończyk. Syn króla Polskiego Kazimierza IV Jagiellończyka i Elżbiety Rakuszanek urodził się 1 marca 1456 roku w Krakowie, dzięki układom z Jerzym z Podiebradu w 1471 roku został królem czeskim. Walczył na Węgrzech z Maciejem Korwinem, które to walki zakończył w 1479 roku pokój w Ołomuńcu. Po śmierci Korwina w 1490 roku został królem Węgier. 22 lipca 1515 roku podpisał układ dynastyczny z Habsburgami. W zjeździe wzięło udział trzech władców: Władysław II Jagiellończyk (król Czech i Węgier), Zygmunt I Stary (król Polski) oraz cesarz Maksymilian I Habsburg. Cesarz zobowiązał się wycofać poparcie dla Moskwy i Krzyżaków, którzy działali przeciwko Polsce. W zamian miało dojść do podwójnego małżeństwa dzieci Władysława (Anny i Ludwika) z wnukami Maksymiliana (Ferdynandem i Marią), co w przyszłości oznaczało przejście przez Habsburgów władzy w Czechach i na Węgrzech.

17 marca 1921 roku (95 lat temu) – została uchwalona konstytucja marcowa, która zawierała zasadę trójpodziału władzy, jednak z przewagą władzy ustawodawczej nad wykonawczą. Zgromadzenie Narodowe (Sejm i Senat) było władzą nadrzędną w stosun-

ku do rządu i prezydenta, ten ostatni wybierany był na 7-letnią kadencję właśnie przez Zgromadzenie Narodowe. Kadencja Sejmu i Senatu wynosiła 5 lat. Konstytucja zapewniała prawa mniejszościom narodowym, gwarantowała swobody obywatelskie i wprowadzała obowiązek powszechnej edukacji w zakresie szkoły podstawowej. Konstytucję marcową zastąpiono w 1935 roku konstytucją kwietniową.

18 marca 1596 roku (420 lat temu) – Zygmunt III Waza przeniósł stolicę z Krakowa do Warszawy, z jednej strony Warszawa miała zdecydowanie dogodniejsze położenie niż Kraków (bliskość Pomorza i Litwy), z drugiej natomiast, i ten argument przeważył, na początku 1596 roku miał miejsce pożar zamku wawelskiego.

21 marca 1801 roku (215 lat temu) – Izabela Czartoryska założyła w Puławach Świątynię Sybilli, czyli pierwsze w Polsce muzeum narodowe. Jej twórcą był Chrystian Piotr Aigner, pierwowzorem natomiast świątynia Westy w Tivoli. W świątyni Czartoryska gromadziła nie tylko pamiątki rodzinne, ale także pamiątki po wielkich Polakach. Nad wejściem znajduje się napis: „Przeszłość-Przyszłość”, a lwy strzegące schodów подарowane zostały przez cara Aleksandra I.

Magdalena Syguda

MARIA BEATRIX Z KRASIŃSKICH RACZYŃSKA – NIEDOSZŁA KRÓLOWA SZWECJI

foto: Wikipedia



Nazywano ją kobietą egzotyczną, trochę zwariowaną, w końcu zrobiono z niej szaloną i podłą intrygantkę. Maria Górską pisała o niej: „to była bardzo przewrotna kobieta, zbrodniarka, jak na ucho sobie mówiono”¹. Jaka naprawdę była córka naszego wieszczka? Przekonajmy się.

Maria była trzecim z kolei dzieckiem Zygmunta Krasińskiego i Elizy z Branickich, przyszła na świat 24 lipca 1850 roku (wcześniej urodzili się dwaj chłopcy – Władysław i Zygmunt, a w 1853 dołączyła do ich grona Elżbieta). Dziecko otrzymało na chrzcie św. imiona „Marja Beatrix Elżbieta Anna Kry-

styna Zofja Katarzyna Róża Teressa”². Na rodziców chrzestnych wybrano Wincentego Krasińskiego, księcia Livia Odelescalchiego i jego żonę – Zofię oraz Katarzynę Potocką (ta ostatnia reprezentowana była przez Ksawerę de Beaupre). Zygmunt szybko stracił zainteresowanie córką, trzy tygodnie po jej narodzinach wyjechał do Karlsbadu, gdzie spotkał się ze swą wielką miłością – Delfiną Potocką. Z czasem jednak Krasiński zaczął doceniać swoją rodzinę, jego zainteresowanie nią wzrosło, w jednym z listów pisał nawet: „Dzięki Ci za pytanie o dzieciach moich. Bóg im w miłosierdziu swym nieprzebranym błogosławi. Rosną i rozkwitają, a są niewinnymi, karnymi, dobrymi i nie obranymi z tej iskry życia, której przede wszystkim potrzeba nam, by móc wyżyć”³. Dzieci stają się radością rodziców, są dobrze wychowane i grzeczne. No, może poza Marią, o której Róża Potocka pisała: „była bardzo podobna do ojca, nie tylko z twarzy, ale i z ruchów. Nieco mała na swój wiek, twarzyczkę miała okrągłą, nos nie bardzo foremny, sprytnie ciemne oczy, policzki rumiane, jakby umalowane i świejące. Nazywano ją panną Marianną, chętnie rezonowała o wszystkim, ale widocznie z nadmiaru imaginacji, a może też chorobliwego ustroju nerwów, często się z prawdą mijała, dlatego matka była dla niej dość surowa i mówiła, że pannę Mariannę trzeba krótko trzymać”⁴.

² Odpis uwierzytelniony metryki urodzenia Marii Beatrix Krasińskiej z 1863 roku. Archiwum Państwowe w Częstochowie.

³ Z. Krasiński, *Listy do Koźmianów*, oprac. Z. Sudolski, Warszawa 1977.

⁴ E. Raczyński, *Pani Róża z domu Potocka synowa Zygmunta Krasińskiego potem Edwardowa Raczyńska*, Warszawa 1997, s. 75.

¹ M. z Łubieńskich Górską, *Gdybym mniej kochała. Dziennik lat 1896-1906*, Warszawa 1997, s. 107.

Niestety, nad rodziną Krasińskich wisiało jakieś fatum, 12 września 1857 r. zmarła w Złotym Potoku ich najmłodsza latorośl – Eliza. Dziewczynka została pochowana w kościele w Złotym Potoku. Jesienią tego samego roku rodzinę znów ogarnęło przeżenie. Tym razem zachorowała Marylka. Na szczęście okazało się, że jej choroba była wynikiem ząbkowania. Następne lato Eliza spędziła wraz z dziećmi we francuskim Trouville, to był dobry czas, liczne zabawy, spacer, poza tym klimat bardzo dobrze służył dzieciom, które po ojcu odziedziczyły usposobienie do grzylcy. Eliza wiele podróżowała ze swymi dziećmi, głównie do Francji i Włoch.

Jak to już było wcześniej wspomniane, nasza bohaterka była bardzo żywego usposobienia. Kolejne nauczycielki nie potrafiły zapanować nad jej temperamentem, jesienią 1858 roku Eliza rozpoczęła poszukiwania odpowiedniej guwernantki. Dzięki pomocy Antoniny Jachowiczowej, autorki książek dla dzieci, wybór padł na pannę Eufrozyne Dobrską. Jak się później okazało, była to nader trafna decyzja. Początki były trudne, gdyż Marylka miała wstręt do nauki, dodatkowo była trochę leniwa. Panna Eufrozyna mogła na szczęście liczyć na pomoc i wsparcie pani Jachowiczowej, która w jednym z listów radziła: „Z małą dużo rozmawiaj, staraj się pięknie po polsku mówić, aby pokazać cały wdzięk naszej mowy”⁵.

W listopadzie 1858 roku zmarł Wincenty Krasiński, w tym czasie stan zdrowia Zygmunta, który przebywał w Paryżu, znacznie się pogorszył. Kiedy rodzina przyjechała do niego, jego stan był już krytyczny. Zmarł 23 lutego 1859 roku. Pochowano go w Opinogórze. W tym trudnym momencie Elizie pomagał

kuzyn Zygmunta – Ludwik Krasiński. Pomoc szybko przerodziła się w uczucie, 10 maja 1860 r. odbył się w Paryżu ich ślub. Był to człowiek dobry i serdeczny, dzieci bardzo się do niego przywiązały.

Wracając jednak do panny Eufrozyny, to okazało się, że miała ona niesamowity wpływ na swą wychowanicę. Maria nie tylko zaczęła się uczyć z wielką chęcią, ale wręcz łaknęła wiedzy. Pobierała lekcje historii, geografii i literatury, oprócz tego oczywiście, jak każda panienka z dobrego domu, kształciła się muzycznie. Uczyla się gry na fortepianie, lecz najbardziej lubiła śpiewać. Eliza widziała w niej ogromny potencjał, więc nie żałowała pieniędzy na edukację. Gdy Maria miała 14 lat, panna Dobrska wyszła za mąż, nową nauczycielką została panna Borowska. Jednak przyjaźń łącząca te dwie pierwsze panie przetrwała, przez kolejnych kilkanaście lat korespondowały ze sobą. O przywiązaniu do panny Dobrskiej świadczy list z 1865 r., w którym Maria pisała: „Spodziewam się, że Pani nie przestanie na tym liście i dalej będzie mi udzielała zajmujących szczegółów, czytając je zdaje mi się, że przy kochanej Pani jestem, że słyszę jej głos. Tęskno mi nawet do Pani rzędzenia, trudne to do uwierzenia, jednak tak jest”⁶.

W lutym 1867 r. śmierć zabrała kolejnego członka rodziny, zmarł brat Marii – Zygmunt, który miał zaledwie 21 lat.

Chcąc nie chcąc, Maria dorastała, była dobrą partią, więc panowie zaczęli się nią interesować. Do jej adoratorów mieli się podobno zaliczać hrabia Zamoyski oraz Roman Czartoryski. 20 czerwca 1868 r. jej najstarszy brat Władysław wziął ślub z ukochaną kuzynką Marii – Różą Potocką z Krzeszowic. Pod koniec tego roku Maria przebywała wraz z matką w Paryżu. Tam też uczęszczała

⁵ *Listy Antoniny Jachowiczowej i jej syna, Eryka do Eufrozyny i Franciszka Nowakowskich z lat 1855-1874*, Zbiory Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Opublikowane przez Dolnośląską Bibliotekę Cyfrową <http://www.dbc.wroc.pl/dlibra/docmetadata?id=11116&from=publication> [dostęp 31.03.2016].

⁶ Cyt. za: M. Jastrzębska, *Pani na Złotym Potoku. Opowieść o Marii z Krasińskich Raczyńskich*, Łomianki 2014, s. 51.

na lekcje śpiewu, nie były to jednak zwykłe lekcje, gdyż okazało się, że Maria ma ogromny talent. Śpiewu uczyła ją Paulina Viardot – hiszpańska mezzosopranistka. Śpiewanie szło jej coraz lepiej, coraz częściej też była proszona o występy w czasie spotkań towarzyskich. Jej talent dostrzegła Delfina Potocka, która sama była niezwykle uzdolniona.

Maria rozkwitała z każdym dniem i chociaż nie była taką piękną jak jej matka, to jednak błyszczała na salonach. Zawsze elegancka, podkreślała swą urodę perłami i diamentami. Potrafiła prowadzić ciekawe rozmowy, dostrzegano w niej cechy charakteru ojca. Maria nie lubiła nudy, ciągle aktywna, była osobą nietuzinkową, zupełnie odbiegała od poziomu większości panien na wydaniu tamtych czasów. Krasińscy spędzali zimy poza krajem, zwykle w Mentonie. Jak Maria spędzała tam czas? Oddajmy jej głos. „Ogromne spacer, lekcje angielskiego, śpiewu, fortepianu i rysunku, drobne i nieodzowne zajęcia domowe, wieczory obowiązkowo spędzane w salonie zabierają mi cały czas”⁷. Pod koniec 1870 r. Maria zajęła się pracą twórczą, pisała powieść. Niestety, poza jej listami do naszych czasów nie przetrwało żadne z jej dzieł, możemy więc tylko przypuszczać, że odziedziczyła po ojcu lekkość pióra. Maria lubiła teatr, jeździła konno, latem 1871 r. Ludwik podarował jej nawet w prezencie konia arabskiego.

Pod koniec 1871 r. miało miejsce nietypowe zdarzenie, które zwykle zdarzyć się może jedynie w bajkach. Król Szwecji Karol XV ujrzał w Brukseli portret Marii, dziewczyna tak bardzo przypadła mu do gustu, że chłonił wszelkie informacje na jej temat. Kazał nawet zorientować się, jakie szanse u tej młodej panienki ma wdowiec (Karol miał wówczas 45 lat). Ktoś może powiedzieć, że przecież Maria nie pochodziła z królewskiego rodu. A jednak wszystko było możliwe do spełnienia.

⁷ Cyt. za: Tamże, s. 65.

Po pierwsze: król doskonale znał Zygmunta Krasińskiego, tłumaczył nawet jego wiersze. Po drugie: Maria miała otrzymać bardzo okazały posag. Ponadto poprzez Franciszkę Krasińską łączyło ją pokrewieństwo z królem Włoch, Wiktorem Emanuelem. W końcu oferta matrymonialna została przedstawiona, reprezentantami króla byli monsieur Demirgian i Nabaraony Bey. Krasińscy mieli mieszane uczucia, największym przeciwnikiem tego przedsięwzięcia był Ludwik. Oczywiście w grę wchodziły ogromne pieniądze, które musieliby wyłożyć rodzice panny młodej. Z jednej strony chodziło o znaczny posag, z drugiej trzeba było „zdobyć” dla Marii tytuł „Altesse Serenissime”, co też było bardzo kosztowne. Początkowo przedstawiciele króla usłyszeli odpowiedź odmowną, nie dali jednak za wygraną, namawiali, kusili tytułem królowej i dziedziczeniem tronu, aż w końcu Krasińscy zdecydowali się zatrudnić adwokata Antoniego Wrotnowskiego, który miał zadbać o ich interesy. Sprawy bowiem były dosyć skomplikowane. W kwietniu 1872 roku Ludwik otrzymał nominację na hiszpańskiego granda. Pierwszy krok został wykonany. Teraz Wiktor Emanuel, król Włoch, miał mu nadać tytuł książęcy. Po jego otrzymaniu Ludwik musiałby jeszcze adoptować Marię, która zyskałaby wówczas tytuł Serenissima, czyli Najjaśniejsza. Wtedy już droga do korony była otwarta.

W czasie tego całego zamieszania Maria przebywała w Mentonie, historia objęta była całkowitą tajemnicą, czekano na zaręczyny. Drobna różnica zaistniała jedynie w edukacji naszej panienki, Marylka bowiem zaczęła się uczyć języka włoskiego i niemieckiego. Warto przytoczyć fragment listu z tego okresu: „Gdyby Pani wiedziała, jaka przyszłość niedaleka może mnie czeka, toby Pani nie tylko się zadziwiła, ale struchlała. Stanowisko tak ważne, jedyne w świecie całym, że można dla dobra ogółu poświęcić swe szczęście, ale czy wolno ofiarę robić z cudzego? Nie mogę jaś-

niej się tłumaczyć, bo to wszystko tajemnica i proszę nawet o zniszczenie tego listu”⁸. I dalej: „Gdyby droga Pani mogła wiedzieć, przez jakie dziwne koleje życia muszę przechodzić (...). Co najgorsza, że jasno obowiązku swego nie widzę, a ci od których zależę są niestety zanadto olśnieni, aby mi go wskazać pewną ręką (...). Wkrótce będę mogła wyjaśnić tę tajemnicę podobniejszą do snu czarodziejskiego niż do rzeczywistości”⁹. W czerwcu 1872 r. przedstawiona została przedślubna intercyza, zgodnie z którą Maria mogła dysponować całym swoim majątkiem osobistym. Dziewczyna zdawała sobie sprawę z zaszczytu, ale coraz bardziej się obawiała swego przyszłego życia. „Różnych kłopotów mam teraz bez liku – pisała do byłej nauczycielki – tak dziwne są czasem drogi życia, że mi się wydaje, że może czytam kartkę nie z własnego życia, lecz z tysiąca i jednej nocy. Przyszłość, która wielu by się wydawała szczytem pragnień i szczęścia ludzkiego, mnie trwogą i tęsknotą przejmuję. Kilka dróg leży przede mną, jakąż wybrać?”¹⁰. Do tego wszystkiego dochodził nadmiar obowiązków, ciągłe lekcje śpiewu, malarstwa, języków i literatury. W końcu wszystko zostało ostatecznie ustalone. Pierwsze spotkanie przyszłych małżonków miało się odbyć jesienią 1872 r. w Nicei. Później huczne zaręczyny, którym patronować miał sam Wiktor Emanuel, i pierwsza wizyta Marii w Szwecji. 17 września Maria przebywała już w Boulogne. Niestety, następnego dnia Karol XV zmarł, a tron objął jego młodszy brat – Oskar. I tak marzenie o koronie się nie ziściło. Był to kolejny cios dla Marylki, przywdziała żałobne szaty, a już 6 lutego 1873 r. spadło na nią kolejne nieszczęście, zmarł jej ukochany brat Władysław, jej przyjaciel i bratnia dusza. W liście do Eufrozyny pisała: „Młodość moja na zawsze uleciała (...) już nie mam marzeń i nadziei tylko wspomnienia: brat i narzeczony, istoty niezerównane sercem

i umysłem spoczywają w zimnym grobie, jedna tylko modlitwa nas łączy”¹¹.

Eliza postanowiła zadbać o szczęście swego jedynego już dziecka, dlatego zaczęto się rozglądać za kolejnym kandydatem na męża. Wybór padł na hrabiego Stanisława Tarnowskiego, jednak kawaler nie był nią zainteresowany i odmówił. Maria dalej kształciła swój głos, jesienią 1874 r. przebywała w Karlsbadzie, gdzie wraz z panną Rives śpiewała w kościele. Wtedy też została doceniona przez matkę. „Maria śpiewa w sposób naprawdę niezwykle (...). Mówię to nie jako matka lecz oceniam artystkę, gdyż Maria może być za taką uważana – przewyższyła bowiem zwykły poziom amatorów salonowych”¹². Marylka udzielała się również charytatywnie, brała udział w licznych kwestach, a w czasie organizowanego w Warszawie Bazaru z okazji świąt Bożego Narodzenia zajmowała się stoiskiem z egzotycznymi towarami pochodzącymi z Chin.

Czas względnego spokoju u Krasieńskich nie trwał długo, 15 maja 1876 r. na zapalenie płuc zmarła Eliza (zgodnie z jej życzeniem pochowana została w Krasnem, czyli siedzibie Ludwika). Po śmierci matki pisała do pani Nowakowskiej „Smutną i słodką zarazem mi była pielgrzymka do grobu ojca i braci, mogłam się tym drogim trumnom poskarżyć, że mnie samą zostawili, że mnie do siebie nie przygarnęli (...). Często cierpię na serce i omdlenia zresztą jestem bardzo rozsądna, tak jakby Mama żądała abym nią była”¹³.

Ale oto rozpoczął się nowy rozdział w jej życiu. W majątku w Krzeszowicach poznała bowiem „Boskiego Edzia”, czyli Edwarda Raczyńskiego. Był to mężczyzna doskonały, nie dość, że przystojny, inteligentny, podróżował

⁸ Cyt. za: Tamże, s. 76.

⁹ Cyt. za: Tamże, s. 76.

¹⁰ Cyt. za: Tamże, s. 78.

¹¹ Cyt. za: Tamże, s. 84.

¹² *Świadek epoki. Listy Elizy z Branickich Krasieńskiej z lat 1835-1876*, t. 4, oprac. Z. Sudolski, tłum. U. Sudolska, Warszawa 1996, s. 382.

¹³ Cyt. za: M. Jastrzębska, dz. cyt., s. 95.

po Turcji, Indochinach i Chile, więc był człowiekiem ciekawym świata, to na dodatek hrabia na Rogalinie. Cóż z tego, że majątek trochę podupadł, a Edward nie rwał się do pracy, a wszystkie jego interesy kończyły się klęską. Hrabia to zawsze hrabia. Tak scharakteryzował go jego syn: „godny pióra Musseta, o ognistym temperamencie i czułym sercu, żołnierz i esteta, a przy tym prosty i skromny, uosabiał przeciwieństwo ideału, o którym marzą dziewczęta”¹⁴. Z tego opisu widać, że Raczyński nie mógł narzekać na powodzenie u kobiet. Co ciekawe, tym „awanturnikiem” zainteresowała się nie tylko Maria, ale i jej szwagierka, Róża. Edward wybrał jednak Marię. I wtedy rozpętała się burza, Maria nagle stała się wstrętną intrygantką, która chce, by Róża do końca życia opłakiwała swego męża. Edward podjął decyzję, a Maria była szczęśliwa. Pisała: „Znalazłam w Edwardzie czego daremnie od tylu lat szukałam, to jest prawdziwą wiarę i pokorną a gorącą, zdolności i inteligencją rzadkiej wzniosłości i bystrości, a serce najlepsze i najdelikatniejsze to gruntu wszystkiego i łatwo może wszystko inne zastąpić. Ufam w Bogu, że własną pracą będzie użyteczny i chlubny swemu krajowi, że zasłuży na miłość i szacunek ogólny”¹⁵. Niektórzy insynuowali, że szale na stronę Marii przeważał jej ogromny posag (w końcu Ludwik był milionerem). 26 marca 1877 r. spisano intercyzę, która zapewniała rozdzielność majątkową, Maria mogła rozporządzać swym majątkiem w dowolny sposób. Zaznaczono, że jej dobra posagowe nie mogły zostać spieniężone, nie można było także obciążać ich długami. Ślub odbył się 9 kwietnia 1877 r. w Warszawie. Zabrakło na nim Ludwika Krasieńskiego, który nie aprobował wyboru Marii.

Państwo młodzi udali się w podróż poślubną do Hiszpanii. Rozpoczął się szczę-

śliwy okres w życiu Marii, szybko odnalazła się w roli żony i pani domu. Młodzi dzielili swój czas pomiędzy Rogalinem a Złotym Potokiem, który Maria otrzymała w posagu. Było to jej ukochane miejsce, przypominało jej bowiem szczęśliwe chwile z dzieciństwa. Już 30 stycznia 1878 r. przyszedł na świat ich pierworodny syn Karol, który według Marii był podobny do jej najstarszego brata – Władysława. Państwo Krasieńscy szybko postarali się o drugie dziecko, niestety, Maria poroniła i Karol pozostał jedynakiem. „Przypadek mój wielkim był dla nas zmartwieniem, mnie więcej zasmucił niż nawet mogę to pokazywać, bo boję się gorzej smucić męża, który się tak cieszył nowymi moimi nadziejami macierzyństwa”¹⁶.

Z czasem coś zaczęło się psuć w relacjach małżonków. Maria miała dosyć wielkiego świata, chciała innego życia, Edward jednak nie zamierzał z tego zrezygnować, musiał być ciągle w centrum uwagi. Zaczęły się kłótnie. Denerwowała ją obłuda, niski poziom intelektualny elit, dobroczynność na pokaz, o czym nie bała się mówić i pisać. Była inna i czuła się inna, sama siebie nazywała „egzaltowaną dziwaczką”¹⁷. Jej stan zdrowia się pogarszał, nie wiadomo, co było przyczyną, czy odezwała się u niej rodzinna gruźlica, czy były to problemy natury psychicznej (depresja), Magdalena Jastrzębska podkreśla niezwykle modne wówczas leczenie morfiną, które prowadziło do uzależnienia. Dodatkowo sytuacji nie poprawiało zachowanie Edwarda, który nawiązał korespondencję z Różą, bo żona zaczęła go denerwować. Możemy też domniemywać, że to mógł być powód niezgody małżonków.

W 1883 r. Maria nie mogła dłużej znieść tej sytuacji, zabrała Karola i udała się do Włoch. Tam poznała Anielę Trypplin,

¹⁴ E. Raczyński, *Rogalin i jego mieszkańcy*, Kraków 2003, s. 182.

¹⁵ Cyt. za: M. Jastrzębska, dz. cyt., s. 101.

¹⁶ Cyt. za: Tamże, s. 110.

¹⁷ *Listy Marii Raczyńskiej, córki Zygmunta Krasieńskiego do p. A. Trypplin*, „Świt” 1885, nr 56.

z którą połączyła ją przyjaźń. Zatrzymali się w Wenecji, stan jej zdrowia nie był jednak najlepszy, świadczy o tym fakt, że musiała być podtrzymywana przez służącą, aby móc w ogóle pisać. Dręczyły ją myśli o śmierci, czuła, że nie będzie jej już dane wrócić do Złotego Potoku. Rozpoczęła pracę nad biografią rodziców, która kołatała się jej w głowie już od kilku lat. Wszystko, co napisała, wydawało jej się złe, sława ojca bardzo jej przeszkadzała, bała się, że mu nie dorówna. Pisała „po kilku dniach w piec wrzuciłam częstokroć łzami moimi jeszcze gorące foliały”¹⁸. Prosiła nawet Anielę o przyjazd do Wenecji i pomoc w ukończeniu dzieła.

Maria spędzała wówczas dużo czasu z Karolem, pokładała w nim ogromne nadzieje, liczyła, że będzie on kontynuatorem świetności rodu Krasińskich. Raczyńska miała odmienne zdanie również w kwestii wychowania, sprzeciwiała się panującej wówczas modzie i do opieki nad chłopcem zatrudniała jedynie Polaków. Karol nie uczył się ani języka francuskiego, ani też angielskiego. Święta Bożego Narodzenia Maria przeleżała w łóżku, a na proszonym obiedzie zemdląca. Jej stan był zły. W chwilach lepszego zdrowia czytała, pisała i zwiedzała miasto. Nie wiemy, czy biografia została ukończona, rodzinne archiwum Raczyńskich spłonęło bowiem w czasie wojny. Zmarła 24 sierpnia 1884 r. w Trydencie. Podano kilka odmiennych informacji na temat jej śmierci, m.in. że utonęła, kąpiąc się na Lido, inne gazety podawały, że to było jezioro Como, jeszcze inni twierdzili, że zmarła w Trydencie, Parmie albo Modenie. W dość brzydki sposób pisał o tym także syn Róży i Edwarda: „Marylka opuściła potem Wenecję i przenosiła się we Włoszech z miasta do miasta. Nie była sama; towarzyszył jej jakiś utytułowany Włoch rad utrzymywać się z cudzych pieniędzy. W Parmie czy Modenie umarła

nagle na zakażenie krwi, którego się nabiwała, używając brudnej strzykawki. Towarzysz nastraszony ulotnił się”¹⁹. Pochowano ją w Rogalinie. Dwa lata później Edward ożenił się z Różą, mieli dwóch synów: Rogera i Edwarda.

Najlepszym podsumowaniem niech będzie artykuł zamieszczony po jej śmierci w „Kurierze Warszawskim”: „Córka wielkiego poety, odziedziczyła po nim bogatą wyobraźnię, inteligencję i wielką miłość do kraju i literatury ojczystej. Pomimo warunków otoczenia, które najpomyślniej zdawały się układać, życie ś.p. Marii było nieprzerwanym szeregiem cierpień moralnych i fizycznych. (...) Znający zmarłą bliżej, w świeżej pamięci mają nieopisany urok, jaki przebijał z tego umysłu inteligentnego i bystrego, tak bardzo geniusz ojca przypominającego. Zmarła odziedziczyła też po ojcu dar poetycki, a w bliższym kole jej otoczenia znane są utwory ś.p. Maryi, nacechowane piętnem prawdziwej inteligencji i wyższego polotu myśli”²⁰.

¹⁸ Tamże, nr 53.

¹⁹ E. Raczyński, *Rogalin...*, s. 198.

²⁰ „Kurier Warszawski” 1884, nr 199.

Jarosław Kapsa

BEZ GORSETU

Był jak młody Bóg, wysoki, szczupły, z burzą włosów spadającą na czoła. Uwodził głosem; jego wiecowe wystąpienia brzmiały jak koncert. Porywał publikę, budził ją grzmotem głosu, dźgał ostrym sarkazmem, uspokajał łagodniejąc, by znów jak lew ryknąć... Za nim szła legenda nieustraszonego, szlachetnego socjała, ściganego przez policję jawne, tajne i dwupłciowe we wszystkich zaborach.

Ignacy Daszyński, lider tworzącej się w Galicji socjaldemokracji.

I była ona: czarna piękność, starsza od pięknego socjała o dziesięć lat; w obyczajności galicyjskiej, poważna matrona, dobra żona – męża korona. Felicja z domu Nossig, żona Izydora Próchnika, urzędnika bankowego. Tak naprawdę, od kilku lat małżeństwo było fikcją, bez dzieci, bez spoiwa wspólnych zainteresowań... Próchnik był jak pan Dulski; urzędolenie (amcienie – po galicyjsku), wieczorem bilard, cygaro i likier do kawusi. Felicja do roli Dulskiej nie pasowała; z niepohamowaną łapczywością porywała nowości księgarskie i wyłapywała czujnie polityczne. Jej brat, Alfred, zafascynowany syjonizmem, marząc o prawdziwym socjalizmie, który urzeczywistni się w Erec Israel, wciągał Felicję w wir dyskusji, debat z najprzeróżniejszymi fantastami społecznymi. Tak trafiła na Ignacego; i nie on, lecz socjalizm, zwłaszcza manifest Bebla o wyzysku kobiet, podbił serce Felicji. Była wspólna praca, organizowanie czytelników dla kobiet, wspólne redagowanie artykułów i referatów... Zauroczenie intelektualne i fizyczne...

Izydor Próchnik uznał urodzone ze związku Felicji i Ignacego dziecko – Adama – za swoje, przyznając mu prawo noszenia

swojego nazwiska. Felicja wyjechała ze Lwowa, na Uniwersytecie w szwajcarskim Bernie zrobiła doktorat z socjologii.

Złośliwi, a takich we Lwowie nie brakowało, mawiali, że ta galicyjska Madame Bovary z zazdrości o szwagierkę młodego kochanka – Zofię, wdowę po zmarłym w 1990 r. Felicianie Daszyńskim – zapragnęła stać się sawantką. Faktycznie – Zofia, szara myszka z Królestwa, o wielkich rozmarzonych oczach, jako pierwsza kobieta w Szwajcarii uzyskała w 1891 r. prawo do obrony pracy doktorskiej na uniwersytecie w Zurichu. Po śmierci męża zamiast pogрузić się we wdowieństwie, kontynuowała prace naukową najpierw w Wiedniu, potem na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. W 1896 r. wysłała ponownie za mąż za znakomitego botanika Stanisława Golińskiego. Wartości prac naukowych pani docent Daszyńskiej-Golińskiej nie mogli podważyć nawet najwięksi męscy tradycjonałiści. Przeciwnie, rzecznicy ograniczenia roli kobiet do słynnych trzech K (Kinder, Küche, Kirche), polecali studentom fundamentalny skrypt Daszyńskiej o rozwoju nauk ekonomicznych. A pani Zofia nie przestawała szokować: w długiej sukni i podkutych butach wspinała się na tatrzańską Orlą Perć; chłopską furmanką, osłonięta od kurzu „pudermantelem” (męski kitel chroniący przed kurzem) docierała do zapadłych wsi, by tam zachwycać się wygrzebanymi z ziemi „słowiańskimi” skorupami...I oczywiście spiskowała na całego z niebożnymi socjałami z Królestwa i Galicji.

II

Wróćmy jednak do lwowskiej pani Bovary. W cieniu coraz bardziej ujawniającego się skandalu Felicja organizowała w 1891 r.

w swoim Lwowie pierwszy „wszechpolski” (dla Królestwa i Galicji) zjazd kobiet. Przybyło koleją żelazną i bryczkami ponad 200 pań. Wkroczyła do hotelu George osobiście, w otoczeniu czeredki adorantek, warszawska Hetmanka Paulina Kuczalska-Reinschmidt, przynosząc wieści z paryskiego zjazdu europejskich emancypantek. Przydomek, jakim Warszawa obdarzyła publicystkę „Tygodnika Ilustrowanego”, wiernie oddawał jej charakter. Król Sobieski czuł się, stojąc jako pomnik, speszony jej żołnierskim hartem, jej żelaznym spojrzeniem, dumnie podniesionym czołem. Z wielką nieśmiałością ober w restauracji George podawał jej wiedeński deser; a portier (ten sam, który bez mrugnięcia oka podawał klucz Franciszkowi Józefowi) czerwieniał, gdy przyszło tłumaczyć przeznaczenie porcelanowej gruszki zwisającej z łańcuszka nad toaletą w hotelowym pokoju.

Głosem swym wodzowskim pani Paulina perorowała wobec grona szarych mężatek:

– Istota prawa wyznaczona jest tradycją i religią, opiera się na przekonaniu o trwałości związku małżeńskiego (co Bóg złączył...) i uzupełniającej się roli mężczyzny i kobiety w tym związku. W pięknych słowach mówi o tym Kodeks Cywilny Królestwa Polskiego z 1825 r (obowiązujący dla zaboru rosyjskiego zbiór przepisów oparty na kodeksie Napoleona) „W obliczu ołtarza, w obliczu prawa, zaręczają sobie małżonkowie wsparcie i wzajemną pomoc (...) Lecz niejednakowo ukształtowało ich przyrodzenie, dając w podziale mężowi siłę, aby opiekował się małżonką, bronił ją i zastępował głową rodziny. Kobięcie zaś udzielając słodycz, skromność, czułość, które stawiały się rękoiem przysięgi szczęścia małżonka, jeżeli będzie umiał niemi kierować i utrzymywać w przyzwoitych obrębach. Nie w przemocy więc mężczyzna znajduje się przyczyna przewagi (...), lecz w samym od natury pochodzącym rozróżnieniu płci (...) Małżonka dopuszczona do nazwiska i domu męzowskiego, powinna iść za nim, towarzyszyć

mu wszędzie, słodzić przykrą życia kolej; on zaś nawzajem opatrywać jej potrzeby, czuwać nad bezpieczeństwem całością i szczęściem”.

Żona zatem, w prawodawstwie Królestwa podlega mężowi, ale warunkowo: on winien zadbać o jej potrzeby, zagwarantować bezpieczeństwo i szczęście. Słowa nawet najpiękniejsze zdruzgotała dokonana przez Cara rewolucja. Bo cóż miała czynić kobieta polska po nieszczęsnym powstaniu 1863, po zrabowaniu majątków ziemiańskich, nazywanym uwłaszczeniem chłopów, po zesłaniu mężów w mroźne krainy Sybiru... Czy iść powinna za mężem, słodzić przykrą kolej życia na zesłaniu? Czy też przejąć w swoje ręce bezpieczeństwo całej rodziny, swoją pracą ratować rodzinny majątek, by służył dzieciom?

Kodeks Rodzinny wyczerpał się, gdy rewolucja zniszczyła naród. Jak można utrzymać upośledzenie prawne kobiet, gdy to one brutalnością rządu zmuszone były przejąć rolę męską? Jak można utrzymać zapis artykułu 183 Kodeksu, że kobieta nie ma prawa bez zgody i asysty męża stać się przed sądem, skoro wyłączono z tego sprawy karne? Przypomnę tu naszą koleżankę, zaledwie 20-letnią, wnuczkę Tadeusza Kościuszki, Marię Bohuszewiczówną. Zgodnie z prawem nie mogła ona bez zgody opiekunów prawnych zarządzać swoim majątkiem, zaciągać zobowiązań, występować przed sądem... Ale to samo prawo postawiło ją przed sądem jako oskarżoną, wysłało do więzienia, doprowadziło do śmierci w drodze na Syberię. Prawo zabrania kobietom występować publicznie w sprawach politycznych, nie dopuszcza ją do udziału w stowarzyszeniach, zakazuje demonstrowania swoich poglądów. Nie ma w Europie państwa, w który kobieta może upomnieć się w swoje z sejmowej [trybuny] trybuny. Lecz są państwa, takie jak to w którym my żyjemy, gdzie sądy karzą śmiercią kobiety mające odwagę upomnieć się o dobro rzeczy wspólnej. Dlatego właśnie my, kobiety polskie, mamy moralny obowiązek i moralne prawo powtórzyć za Olimpią de Gouges, męczennicą

jakobińskiej rewolucji: jeżeli kobiecie przysługuje prawo do szafotu, to tym samym powinna zdobyć prawo i do trybuny.

Słowa skwitowano burzą oklasków, rumieńcem podniecenia i stukotem parasolek...

III

Trudno było się równać z Hetmanką Pauliną. Trudno było też nie widzieć i nie czuć różnic między paniami z Królestwa, świadomymi nie tylko swych praw, ale i własnej potęgi. Car, wbrew sobie, represjami popowstaniowymi, wyzwolił „królewieckie” damy. Ich praca zawodowa nie była tam wyskokiem przeciw naturze, lecz zwykłym obowiązkiem. Blisko 40% zatrudnionych w fabrykach było kobietami. Na wsi chłop pił, żona martwiła się o postępek w uprawie, sprzedaż plonów, zdobycie dodatkowych zarobków. Spółdzielczość stawiała się kobiecą inicjatywą (choć w zarządach pro forma zasiadali panowie). Oświata, ta niesiona jak ogień prometejski by polszczyć wiejską działwę, też była domeną kobiet – Siłaczek. W resztówkach dawnych dworów kupiec żydowski nawet nie gadał z rozwielnionymi panami; wyczuwał, że rządzi silną ręką starsza (lub młodsza) Pani Dziedziczka.

Pozycja zawodowa wymagała przygotowania. Przyrastały szkoły żeńskie, uczące nie tylko salonowego obycia, lecz przedmiotów niezbędnych w pracy zawodowej. Nie dziwiła kariera córki ziemiańskiej Zofii Daszyńskiej, jej wyjazd na studia...

Słuchała Hetmanki Pauliny, zatopiona we własnych myślach, Maria Dulębianka. Zjazd kobiet mógł odbyć się w Galicji, w Warszawie; policmajster aresztowałby wszystkie emancypantki. Ale w Warszawie, pod kozacką nahajką, kwitła wolność. W Krakowie – stęchlizna. Gorszyła tym twierdzeniem salonową królewiecką inteligencję, marzącą o takiej wolności, jaką „unser lieber Keiser” Franciszek

Józef nadał w 1867 r. Galicji i Lodomerii. Maria nie znosiła Krakowa, tych odrapanych, szacownych zabytków, tego koszarowego smrodu dolatującego z legendarnego wzgórza wawelskiego; tych kościołów na każdym ulicznym rogu, zapelnianych tłumem pań krakowskich.

Panie krakowskie to osobny gatunek ludzi – o czym z nimi rozmawiać?... O możliwie najlepszych metodach uszczęśliwiania głupawych mężów. Pani krakowska nie istnieje jako istota poszczególna, tylko jako dodatek. Nie ma własnego imienia, po ślubie staje się Józefową, Kalasantową, Ambrożyną, Felicjanową... Nie ma swoich tytułów, pozycję społeczną ma po mężu jako: profesorowa, aptekarzowa, redaktorowa, doktorowa, mecenasowa, kupcowa... Może tylko burdelmama zachowuje swoją odrębność. Durne krakowskie kwoki, które o kobietach pracujących na własną pozycję mówią tym samym, pełnym słodkiej hipokryzji głosem, co i o kokotach i utrzymankach swoich mężusiów. A ich mądrości, wygłaszane z powagą biskupią: przyzwoite dziewczę może dla zdrowia i urody zabawić się jazdą na łyżwach, ale chronić ją Boże od roweru, bo cykliści to niecnoty.... Aż się chce po takim dictum wskoczyć na bcykl, przejechać przez Planty, nie bojąc się, że męski wzrok oceni kształt łydki...

Maria nie cierpiała rodzinnego Krakowa i miała ku temu swoje powody. Od dziecka wychowywana w artystycznej atmosferze przez matkę spokrewnioną z Leonem Wyczółkowskim, wierzyła w swój talent. Z pensji pani Maliszewskiej matka prowadziła ją do pracowni samego mistrza Jana Matejki, a mistrz uznawał ją za swoją ulubienicę o największych zdolnościach. Tak, tak, krakowska inteligencja, na obrazach Matejki znajdziecie odcisk pracy kobiety: Marysi, córki Dulęby i Dulębiny. I cóż z tego, skoro nie mogła uczyć się krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych. Dlaczego? Słyszysz jeszcze Dulębianka ten słodki głos

rozsądku: tam modele – mężczyźni i kobiety – pozują nago, dziewczę nie może być narażane na nieprzystojność. I mówi to ta sama mieszcza, co po domu lata w brudnej halce, nie zwracając uwagi na narażanie nie-ludzi, służby żeńskiej i męskiej, na nieprzystojność estetyki obwisłych piersi i wzdętego brzucha. Z tych samych powodów także inna malarka, Olga Boznańska, wyjechała z Krakowa. Olga do Monachium, Maria do Paryża. Owszem – i tam męski szowinizm chciał zrobić z niej najwyżej muzę lub modelkę, ale gdy upór połączyło się z pieniędzmi od tatki, można było talent rozwinąć.

Mężczyźni są świecie przekonani, że talent jest tylko ich ozdobą. Nadęte pyszałki... Ucząc się pod okiem Wojciecha Gersona (protekcja mamy przez krewniaka Wyczółkowskiego znów okazała się pomocna), zdobywając uznanie swoimi pracami, Maria spotkała inną Marię. Malowała jej portret, wydobywając piękno z melancholijnego oblicza. Stała się jej najbliższą powiernicą i przyjaciółką.

W swojej pamięci zapisywała rozprawę: Maria Konopnicka – żywot rozdwojony. Była [w niej] to Konopnicka, gwiazda literatury, która przebojem wdarła się na szczyt Parnasu poematem „W górach”. Niecierpliwie oczekiwano kolejnych tomików jej wierszy, toczono ożywione dyskusje nad jej artykułami w „Świecie”, „Tygodniku Ilustrowanym” i w kobiecym „Bluszczu”. Uznawano ją za herolda polskiego patriotyzmu, stawiano w jednym rzędzie z Orzeszkową, a nawet Sienkiewiczem i Prusem...

I była druga Maria – kobieta na skraju nerwowego rozstroju, swoim zdrowiem płacąca za odwagę emancypacji. Wychowana przez ojca w surowej atmosferze patriotycznych nakazów i obowiązków, zdobna żałobą po śmierci w postaniu styczniowym swego brata Jana Wasilkowskiego, miała być wzorem Matki Polki. Chciała nim być. Tyle, że zabrakło Ojca-Męża-

-Polaka. Mąż, ziemianin z Kaliskiego, Jarosław Konopnicki, okazał się nicponiem, jednym z tych wielu nieudaczników w kontuszach, marzących o czynach wielkich, gubiących się w rzeczach małych. Wtarabaniał się w ciąg fantastycznych interesów, kończących się żenującymi negocjacjami Marii z żydowskimi kupcami w celu odroczenia kolejnych spłat, kolejnych pożyczek. A mąż, piękny Jarosław, w szlacheckiej kompanii polował, pił, biesiadował, fantazjował... Dzieci jej nie szczędził, urodziła ośmioro, dwoje zmarło w powijkach. Chłopcy, wychowywani przez beztroskiego tatusia, rośli na podobnych do niego nicponi i darmozjadów. Zahukane córki bały się odezwać do znerwicowanej mamusi.

Trzeba było mieć odwagę większą od szwoleżerów, by powiedzieć: dość. Maria postawiła wszystko na jedną kartę, rzuciła męża, zabrała dzieci, zamieszkała w Warszawie. Na życie i dzieci zarabiała jako korepetytorka, sukcesy literackie dały jej podstawy do utrzymania rodziny. Jednak jak przyszły pieniądze, mąż się pojawił. Przyjechał piękny Jarosław, wspaniałomyślnie wybaczył żonie ucieczkę, po czym poprosił o małą kwotę pozwalającą zrealizować kolejny świetny interes.

Dulębianka uśmiechnęła się smutno: Konopnicka to święta kobieta, ona by takiego chłopa na szrotce wyniosła przy świątecznych porządkach, a Maria pokornie dożywia darmozjada, podobnie jak zarzyna się, by spełnić wielkopańskie zachcianki dzieci. Maria; tu wszyscy widzą ją na pomniku, a jest nieszczęsną samotnicą, z poszarpanymi nerwami, marzącą o ramieniu, na którym mogłaby się oprzeć. A potem złośliwcy, tacy jak Ludwik Krzywicki, wygadują o niej, że jest „niewiaścą wielce kochliwą”.

IV

Niechęć do Krakówka (obrzydlówka) wygnała Dulębiankę z Galicji. Powróciła ,

by od 1903 r zamieszkać z przyjaciółką Marią Konopnicką w podlwowskim Żarnowcu, w dworku ofiarowanym przez Naród dla Matki-Polki. Odmienna była droga innej uczestniczki lwowskiego zjazdu 1891 r., Kazimieri Bujwidowej, przybyłej do Krakowa za mężem, w poszukiwaniu wolności, odebranej jej litewskiej ojczyźnie.

Jej rodzina, Klimontowicze, wszystko poświęcili i prawie wszystko stracili dla Ojczyzny, ruszając w bój bez broni w styczniu 1863 r. Dołą panny z patriotycznej rodziny było zdobyć źródło utrzymania, by nie być ciężarem, lecz pomocą dla prześladowanych ojców, braci, mężów powstańców. Skończyła szkołę, uzyskując uprawnienia nauczycielskie, nauczyła się krawiectwa. Prawdziwą jej pasją stały się nauki biologiczne, poznawane na Uniwersytecie Latającym. Na jednym z wykładów spotkała młodego doktora nauk medycznych, Odoną Bujwidą, z ogniem w oku promującego bakteriologiczne odkrycia Pasteura i Kocha. Ślub wzięli w 1886 r.; młode małżeństwo przeniosło się do Krakowa, gdzie Odon objął nowo utworzoną katedrę higieny na Uniwersytecie Jagiellońskim. Kazimiera stała się jego prawą ręką w badaniach naukowych. Odon był duszą rozwichrzoną, nauka zaś, zwłaszcza biologia, wymaga systematyczności, konsekwencji, wytrwałości i zdolności, by coś zorganizować, utrzymać, rozwijać. Nikt nie zaneguje naukowych osiągnięć Odoną, ale założenie i prowadzenie zakładu szczepień pasterowskich było zasługą jego „dobrze zorganizowanej żony”.

Pan profesor Odon, chcąc nie chcąc – bo to Kraków – musiał bywać i przyjmować. Małżonkę mierziły tony i dźwięki tego życia towarzyskiego. Miała być tylko „doktorową” odpowiedzialną za kuchnię i zastawę; nie wypadało jej odzywać się w czasie męskich, mądrych rozmów. Ale nie dało się tych „mądrości” pokornie wysłuchiwać. Przyszła taka

profesorska gwiazda przełomu XIX i XX w., słynny lekarz „kobiecy”, i dowodzi, że nie ma związku między brudnymi rękami a gorączką połogową. Więc pani Kazimiera mu strzela: a co pan profesor ostatnio na ten temat czytał, chyba tylko Pismo Świąte... Jeszcze gorzej kończyły się debaty o krakowskim „tabu”; dlaczego kobiety nie mogą studiować na Uniwersytecie (ufundowanym przez kobiety, co złośliwie podkreślała Bujwidowa). Dyskusje o różnicach w kształcie mózgu kobiet i mężczyzn a tym samym ograniczeniach intelektualnych, kończyły się wypraszaniem tradycjonalistów przez wściekłą gospodynię. Zszokowała nawet galicyjskich patriotów, gdy wyliczała, gdzie można kobietom w CK Austro-Węgrzech studiować: w Wiedniu, w Grazu, w Czerniowcach.... tylko w Krakowie nie; bo widać polskim profesorom zależy na zgermanizowaniu Polek.

Odo Bujwid wybrany został w 1896 r. radnym miasta królewskiego Krakowa. Jak to on, zaczął od terapii szokowej. Pokazał rajcom pod mikroskopem, jaką wodę piją... I dowiódł, że picie „limoniady” z domieszką gówna jest nie tylko nieestetyczne, ale i grozi sraczką (biegunką, czerwonką, cholerą). W ten sposób przekonał ich do budowy wodociągów i kanalizacji. Pozycja naukowca w oczach mieszczan krakowskich nie wzrosła dzięki temu znacząco. Krakus jako centuś wyliczał, że ta woda z gównem być może nie jest sympatyczna, ale jest za darmo. A bez gównien, beztrosko zbieranych przez kanalizację, zrujnowane zostanie podkrakowskie ogrodnictwo...

Znacznie gorszą jednak rzecz uczyniła Kazimiera. Od przyjazdu buntowała się przeciw „kościółkowości” krakowskiej. Była biologiem, pozytywistką; oczywiście dla niej było to, co można udowodnić badaniami. Wiary z nauką nie można mieszać. Choroby nie są zsyłane przez Boga, trzeba wykrywać ich źródła, zapobiegać i leczyć,

a nie ograniczać się do modlitwy. Z takimi poglądami w mieszczańskim Krakowie czuła się obcą. A gdy księża potępili jej ukochaną inicjatywę, tworzenie czytelnicy i biblioteki dla kobiet (ponoć miała tam demoralizować niewinne dziewczęta podsuwając im pornografię); wściekła się i złożyła publiczną deklarację apostazji (wystąpienia z kościoła rzymskokatolickiego). Był to pierwszy taki akt w historii krakowskiej Kurii, od czasu Bolesława Śmiałego nikt większego skandalu nie zrobił... Przed Kazimierą zamknięto drzwi do krakowskich salonów. A w mieszkaniu doktorostwa goszczono już tylko przybyłych z Królestwa „wyzwoleńców”.

V

Nie Kraków, nie Lwów dały Galicji sygnał do zmian w kwestii emancypacji kobiet. Zaczęło się na prowincji w mieście Biała. Biała była specyficzna; tu kończyła się Galicja, po drugiej stronie potoku leżało należące do Śląska Bielsko. Niby i tu i tam rządził Franciszek Józef, ale Śląsk (austriacki) był Śląskiem, a Galicja Galicją. Korzystając z położenia nadgranicznego, Biała bogaciła się, rozwijał się tu przemysł tkacki; zarobki wystarczały na niedzielną kurę w garnku prawie każdej rodzinie.

W 1896 r. dziewięć obywaterek miasta Biała wystąpiło z żądaniem dopuszczenia ich do udziału w wyborach do parlamentu austriackiego. Powołały się na przepisy ordynacji wyborczej. Obowiązywał system kurialny, w ramach kurii mieszczańskiej wymogiem było posiadanie majątku na obszarze miasta i płacenie od niego podatku. Dziewiątka pań były właścicielkami i płatniczkami podatku, spełniały więc wszelkie warunki stawiane przez ordynację, by móc wybierać i być wybierane. Oczywiście, urząd odrzucił ich petycje, ale uparte kobiety zdecydowały się zaskarżyć do sądu. Ostatecznie sprawa trafiła do Najwyższego Trybunału Państwo-

wego. Orzeczono, że w 15 miastach Galicji w ramach kurii mieszczańskiej, w wyborach mogą brać udział właścicielki majątku, płatniczki podatku; ale głosować mogą, zgodnie z prawem cywilnym, za pośrednictwem mężów. Bzdura lex, ale prawo... W międzyczasie zniesiono podział kurialny, wybory do parlamentu austriackiego stały się równe dla wszystkich, prócz kobiet. Ale tradycyjna ordynacja, taka, gdzie kobiety – zgodnie z orzeczeniem trybunału – mogły głosować za pośrednictwem mężów, obowiązywała w wyborach do Sejmu Krajowego.

W 1907 r. specjalnie zawiązany komitet wystawił pierwszą w historii Galicji (i pierwszą w historii Polski) kandydatkę do organu demokratycznego (w tym wypadku Sejmu Krajowego). Była nią Maria Dulębianka. W Krakowie, Tarnowie, Lwowie, Stanisławowie powstawały komitety wspierające kandydatkę; zaangażowały się znane osobistości: w Krakowie Bujwidowie, we Lwowie Konopnicka; udział w agitacji wzięły emancypantki warszawskie. Wsparcie dla kandydowania kobiet zadeklarowali prywatnie (nie w imieniu partii): lider PPS Ignacy Daszyński i przywódca Stronnictwa Narodowego Stanisław Głąbiński. Niestety, głosy oddane na Dulębiankę zostały ze względów formalnych unieważnione. Nie było też ich dużo: 518, w tym 418 męskich i – zaledwie – 100 kobiecych (oddanych zgodnie z wymogami, za zgodą mężów).

W świecie zmian społecznych szereg rzeczy dzieje się w sposób niewytłumaczalny. Ktoś kiedyś wymyślił gorset i za naturalne uznano prawo torturowania nim kobiet. Potem ktoś odważny zrzucił gorset, by kobiety żyć mogły tak, jak im jest wygodnie. Ktoś... Zapomniano nazwiska pań, naszych sufrażystek, emancypantek, skandalistek, wyzwolicielek...

Jarosław Kapsa

BUNT MŁODYCH

Było tak kiedyś, że Radomsko stało się miejscem niekoszernym, Król Władysław IV wydał w 1634 r. przywilej dla miasta, zakazujący Żydom osiedlać się w Radomsku i prowadzić tam swoje interesy. Rodziny żydowskie osiedlały się więc w sąsiednim, należącym do magnatów mieście, Pławnie. I dzięki temu Pławno rosło, Radomsko malało; stolarze, garncarze, rymarze i szewcy pławieńscy słynęli w całej okolicy, a o Radomsku nikt dobrego słowa nie mówił.

Powiadają, że w 1780 r. król Stanisław August przejeżdżał przez Radomsko, a gdy jego karetka utknęła w błotach przy przeprawie przez rzekę, doznał monarcha uszczerbku swojego stroju. Wielce się król zdziwił, że po krawca trzeba było słać umyślnego aż do majątku Wunschego, w grodzie królewskim nie było ani jednego kompetentnego rzemieślnika. Krawiec ten, Mojsze Ofman, na mocy specjalnego dekretu królewskiego zyskał prawo osiedlenie się w Radomsku. Nie ryzykował jednak zamieszkania wśród chrześcijan, postawił swój dom w wiosce zwanej Bugaj. Od tego miejsca swoje nazwisko przyjęła rodzina potomków krawca; Dawid Bugajski, gdy wzbogacił się na budowach dróg w guberni piotrkowskiej, postawił w Radomsku w 1899 r. wielką synagogę.

Przywilej Władysława IV wniosły pruskie władze zaborcze po 1795 r.; nie oznaczało to jednak od razu otwarcia wszelkich możliwości dla życia Żydów w Radomsku. Bugaj od miasta dzieliła drewniana brama, Żydzi nadal nie mogli handlować na rynku. Ale brama nie przeszkadzała w interesach, chrześcijanie woleli kupować taniej lepsze produkty; chłopci z okolic też z mlekiem czy ziarnem woleli iść na Bugaj. Z Pławna więc

przesiedlali się Żydzi pod Radomsko i miasto to zaczęło rosnąć, a Pławno maleć. Przewagę ostatecznie przywiozła kolej. Rebe z Pławna straszył, że pociągi przywiozą zło; postawił na swoim: zamiast przez jego miejscowość, drogę żelazną poprowadzono przez Radomsko, Kłomnice do Częstochowy.

Zanim kolej przywiozła zło i dobrobyt, trzeba było w Radomsku ustanowić kahał (gminę żydowską). Był bowiem problem: mieszkańcy Bugaja kahał swój mieli w Przedborzu, a zmarłych odprowadzali na cmentarz w odległych Sulmierzycach. Założono już w 1820 r. komitet synagonalny, zatrudniono rabina, szanowanego Johana Klingermana. Po zarazie – epidemii cholery – powstał cmentarz, zmieniony w 1832 r. w kirkut żydowski. Nadal jednak trzeba było opłaty odprowadzać do Przedborza i akceptować decyzje tamtej gminy. W dodatku w Przedborzu wspólnota żyła ortodoksyjnie, w radomskim¹ Bugaju popularnością cieszyli się chasydzi. Gdy więc powstał cmentarz, zdecydowano o zatrudnieniu nowego rabina, któremu bliższa była radość i śpiew chasydzki. Poproszono w tej sprawie o radę samego Dow Bera z Radoszyc; święty mąż wskazał swojego ucznia, syna rabina z Włoszczowej, Salomona (Szlomę) ha -Kohena, zwanego Rabinowiczem.

Trzydziestoletni Szloma Rabinowicz był człowiekiem wielce świętobliwym i mądrym zarazem. Młodość spędził na naukach otrzymywanych u rabinów z Przedborza, Strykowa, Lelowa; pielgrzymował nawet do Góry Kalwarii. Żył skromnie; żona Gitele prowadziła sklep; a sam Szloma dniami i nocami

¹ Forma była powszechnie używana w opisywanych czasach; obecnie używa się formy: radomszczańskim.

studiował święte księgi. Porzucać swojego włoszczowskiego życia nie chciał; za grzech uznawał, że płacić mu będą za rady; wszak mądrość za darmo od Stwórcy dostał.

Powiadają więc, ale powiadają to tylko ludzie złośliwi, że to Gitele awanturą wymusiła decyzję. Obiecano bowiem rebe Rabinowiczowi pensję 2,5 rubla miesięcznie i lokal na sklep w rynku. Szlomie, jako świętemu, wystarczyły słowa Księgi; ale Gitele miała dość życia na garnuszku teściów. Wdzięczni powinni być radomszczanie zacnej Gitele, Bóg też jej takową wdzięczność okazał. Raz jej tylko zdarzyło się zachorować; Szloma oderwał się wówczas od Gemary, wzniosł brodę do góry i wykrzyknął: „Panie, masz tam u siebie całe osiedle ludzi dobrych, mnie choć jedną Gitele zostaw”. I to się spełniło, żyła żona rabina 90 lat, zdrowa, wciąż pracowita i energiczna.

Rabin Radomska szybko stał się znanym w całym chasydzkim świecie. Nie tylko mądrość dał mu Stwórca, lecz i umiejętność anielskiego śpiewu. Do jego ławy garnęli się chasydzi z Królestwa i Zachodniej Galicji. Przybywały tysiące osób, by z jego ust spijać miód mądrości. Stał się też mężem opatrnościowym w trudnych czasach polskiego powstania w 1863 r. Bo gdy szlachta polska walczyła z wojskami rosyjskimi o wolność Ojczyzny, każdy walczący, niezależnie od strony, uznał za słuszne bicie i rabowanie Żydów. Autorytet rabina był przydatny, by oszczędzić cierpień.... Zmarł rebe Salomon w 1866 roku, po nim prezesem gminy został starszy syn Cwi Meier, a młodszy Issachen obrany był rabinem. Po nich przywództwo duchowe przejął Wszystkowidzący i Wszechwiedzący rebe Jezechiel, wnuk Salomona. Do czasu Zagłady dynastia Rabinowiczów, znana i szanowana w całym chasydzkim świecie, wyznaczała normy życia radomskowskich Żydów.

W początkach wieku XX nikt by się nie ośmielił nazwać Radomska małą mieściną. Mieszkało tu już 12 tys. ludzi, z tego blisko połowa – 5,5 tys. – było Żydami. Dawno już zapomniano o wiejskich chatkach w Bugaju; większość murowanych domów w centrum, przy rynku, należała do żydowskich rodzin. Kolej przyniosła więcej dobrobytu niż zła; powstały wielkie fabryki: wytwórnia mebli giętych Thoneta, druga, podobna, Braci Kohn, zakłady metalurgiczne, tkalnia wełny... Zatrudniały one ponad 1200 robotników, dodatkowo blisko 800 osób prace znajdowało w zakładach rzemieślniczych. Radomsko urosło, stało się miastem fabrycznym, wpatrzonym w Łódź i Częstochowę.

Wpatrzonym dosłownie; bo młodzi siedzieli na dworcu, tęsknym okiem odprowadzając pociągi, czekając na dostawy dzienników łódzkich, piotrkowskich czy warszawskich, by zaspokoić ciekawość o wielkim świecie. Tam się działo; a tu średniowiecze, małomiasteczkowy ciemnogród.

Rankiem budził wszystkich brzęk wiader. Przy studni ustawiały się kolejki, osobno chłopcy, osobno dziewczęta. Bogatszym wodę dostarczał woziwoda Lejbele, niski, gruby, o skąym zaroście i piskliwym głosiku. Dziewczęta nie skąpiły mu docinków:

- Lejbele, ty nie jesteś chłopiec, ty jesteś dziewczyna!

- Jestem chłopcem, nie dziewczynką i mam zamiar ożenić się z Tobelem i zbudować jej dom z warsztatem albo sklepem.

- Idź Lejbele, ty się nie ożenisz, ale znajdziesz męża, bo ty nie chłopiec, tylko dziewczyna!

- Lejbele odchodził wściekły, cały gang dzieciarni odprowadzał go krzykiem: „Lejbele Błazen, Lejbele Dziewica, chcesz

pannę młodą...” Dzieciaki pociągały go za ubranie, bębniły w puste wiadra wody... Lejbele zdenerwowany groził pięściami, rzucał przekleństwa, ale po kilku minutach jego złość przechodziła w żal, zaczynał lamentować. Dzieci dają mu spokój, otaczają go ich twarze, które wyrażają żal i wyrzuty sumienia. Lejbele uspokojony, podnosi swoje wiadra, idzie do studni, w towarzystwie szuka współczucia i smutku. Ale kiedy wraca później z pełnymi wiadrami wody, cały spektakl zaczyna się od nowa ...

Tyle wolności młodzieńczej, ile chwil przewagi nad biednym wozowodą. Potem krnąbrność temperowano w chederze z pomocą tradycyjnego, siedmiopaskowego bata lub nowoczesnej elastycznej różgi. Winowajca kładł się na ławce, melamed (nauczyciel) wymierzał pierwsze razy, chłostę dokańczali rówieśnicy. Cheder był szkołka religijna, uczono czytać i pisać w języku hebrajskim; czytano i komentowano Talmud, zaczynając od podstawy: Miszny, potem przechodząc do Gemary. Niekiedy mądry melamed uczył też podstaw handlu, umiejętności pisania podań do władz i innych rzeczy, bez których trudno było żyć. Nauka odbywała się w wynajętej izbie; melamud, nie tylko przez skromność, z jedną kostką cukru pił dziesięć herbat, a jak tylko mógł, dorabiał w sklepie, w stróżowaniu, w pisaniu próśb i petycji, w przepisywaniu ksiąg rachunkowych.

Były już w początkach XX w. publiczne szkoły dla Żydów. Taką w Radomsku otwarto w 1903 r., w domu Randela, w wynajętej izbie. Nazywano ją Jandowa Szkoła; nauczycielem, uprawnionym przez administrację był pan Golomba. Golomba był Litwakiem, przybyłym ze środkowej Rosji; jidysz znał słabo, polskiego wcale. Uczył języka rosyjskiego, bo innego nie znał, a w tym języku także geografii i arytmetyki. Raz w tygodniu przychodził kantor z Synagogi, Zaks, ucząc

muzyki i ćwicząc z chórem śpiewanie „Boże, cara chroń”. Do tej szkoły nie każdy mógł chodzić, kosztowne było nie tylko chesne, ale i obowiązek zakupu dla uczniów mundurka i czapki. Szkoła zmieniła się na korzyść, gdy Golomba zastąpił młody nauczyciel Bogdański, uczący wychowanków w sekrecie polskiego i polskiej historii.

Dziewczęta też miały swoją szkołę: prowadziła ją pani Funem Rozenblattowa, zwana od wykonywanego fachu Dentystą. Opieka nad uczennicami nie przeszkadzała jej w rwaniu zębów miejscowym i zamiejscowym. Zresztą uważano, że nadmiar wiedzy szkodzi kobietom. Powtarzał to sam cadyk Jezechiel Rabinowicz. Było bowiem tak, że Ferszel, bogacz, który zbudował i prowadził Hotel Polski, wysłał dwie córki do pensji pani Marszatowicz. I obie córki uciekły z oficerami rosyjskimi, przynosząc rozpacz i hańbę rodzinie. Nauka była męska domeną, bo gdzie słaby umysł kobiecy odkryłby prawdy Gemary! Wystarczy więc, by dziewczyna opanowała jako tako pisanie, czytanie i rachunki; wtedy mogła prowadzić sklep, utrzymując pobożnego, studiującego Talmud męża.

Rebe Jezechiel Rabinowicz był prawdziwie konserwatywny wobec kobiet. Uczył młodych, by wzroku nie podnosili w rozmowach z dziewczętami, bo tak nie tylko jest przyzwoicie, ale bezpiecznie. Zapatrzywszy się, młodzian ryzykował zawezwanie sukkubów; a te, pod postacią pięknych kobiet, będą go nocami męczyć, wysysając męską siłę. Wzajemnie też panny i młode mężatki nie powinny na pokuszenie wodzić młodzieniaszków, niedbale odstawiając kosmyki włosów czy wabiąc krojem spódnicy. Opowiadano jak rebe Jezechiel wielokrotnie upominał modną żonę bogatego rzemieślnika, która nową, z Łodzi przywiezioną sukienką, gorszyła uczniów chederu. Gdy zabrakło słów upomnienia, rebe klątwę rzucił, po roku zmarło dziecko modnej damy.

Jednak nawet najświętszy mąż, a takim był rebe Jezachiel, nie mógł wpłynąć na radomskowskie dziewczęta, które jadowitością języków żmije straszyły. Słusznie powiadano: chcesz mieć dobrą, posłuszną i posażną żonę, wyślij swata do Gidel. Tam były najlepsze partie, z rodzin wzbogaconych obsługą chrześcijańskich pielgrzymów. Radomskowskie panny brał tylko biedak, który godził się, że zamiast posagu teść weźmie go na trzyletnie utrzymanie. Tylko taki biedak w desperacji łapał małżonkę, która zamiast się słuchać, żarty z niego robiła i kołki na głowie strugała.

Miały dziewczęta swojego ulubieńca, nazywanego Damski, bo jak „dama” – nie wiadomo było, z czego się utrzymywał. Chodził w starych przykrótkich, obcisłych spodniach i równie złachanej kapocie, zaglądając wszędzie tam, gdzie go słodkim kugłem albo kisiem z żurawin częstowano. Godził się czasem malować dom; przychodził z drabiną i farbami w wiadrach; na tej drabinie z pędzlem w ręku śpiewał tak pięknie i tęsknie, że cały orszak otaczających go kobiet ronił łzy. Malował raz prosto, raz krzywo, czasem kwiatki, czasem ptaszki, a jak się znudził, zostawiał malowanie w połowie zrobione i znikał. Całe noce latały za nim kobiety, krzycząc, by robotę dokończył... Wracał po tygodniu i złość gospodyni rozbrajał kolejną pieśnią o tragicznych miłościach.

Gdy kolej połączyła Radomsko ze światem, gdy powstały wielkie fabryki, nie dało się żyć po staremu. Dziewczyna, jak dostała pracę przy meblach w zakładach wiedeńskich bogaczy, Kohnów, czuła się ważniejsza niż ojciec i matka. Jej stała pensja znaczyła więcej, niż wytargowany grosz w rodzinnym sklepiku. Już nie czekała biernie, aż swatka znajdzie jej męża; sama bystro się rozglądała...

A i chłopcy się zmieniali. Także na gorsze. Byli tacy, których nazywano „voile jungen”

(dobra młodzież), a byli złą młodzieżą. Drwili z rebe Jezechiela, który z przekonaniem głosił, że Żyd nie kradnie. Oni okradali nie tylko gojów, ale i swoich. Wodzem „dobrej młodzieży” był Hasriel Faldak. Wysoki, gruby, w czapce z daszkiem i długimi, na dół opuszczonymi wąsami. Elegancko ubrany w kamizelkę i biały, papierowy kołnierz przy koszuli; spodnie wpuszczone w wysokie, błyszczące buty, przy kamizelce wielki zegarek na dewizce, a w ręku gruba laska, która budziła u wszystkich postrach. Pracować nie musiał, na elegancki strój i wygodnie życie zarabiał zbierając haracz od kupców. Włamywał się też nocami do domów bogatszych Żydów. Bano się go, ale i podziwiano. Na młodzieży wrażenie zrobił, gdy zakłócił obrządek poboru do wojska. Była już wojna japońska, ściągano do poboru młodzież z okolicznych wiosek: z Pławna, Gidel, Pajęczna. Faldak zebrał wszystkich rekrutów, poprowadził do karczmy, gdzie kazał im dawać wódkę za darmo. Potem pijani poborowi w towarzystwie równie pijanych „dobrych młodzieńców” poszli do punktu poborowego; takiego hałasu narobili, że nawet żandarmi bali się interweniować i wcielać młódź w kamasze.

Starzy więc pokornie płacili haracz, a młodzi wpatrzeni byli w Faldaka jak w słońce, wierząc, że ich przed carską władzą obroni. Kobiety go tylko otarcie nienawidziły. Kazał on sobie każdej, która starała się o pracę w fabryce mebli, wypłacać haracz za zgodę. Jak która nie miała grosza, domagał się rozliczenia w naturze, na sianie. Więc jak herszt wpadł na złodziejskiej robocie i go w kajdanach prowadzono do aresztu, tłum kobiet biegł plując na niego i wyzywając od najgorszych.

Młodych jednak nawet podłość Faldaka nie skłaniała do zmiany myślenia. Bo skoro taki łajdak postawił się cadykowi, kahałowi, policji i wojsku, to czemu my w pokorze znosić mamy brzemię losu? Bo co to za życie

Żyda, którego bije każdy...Głośno już było o pogromach, które najpierw przetoczyły się przez gubernie rosyjskie, potem dotarły i do Królestwa. W 1902 r. był pogrom w Częstochowie, nikt nie bronił Żydów, tłum wraz z Kozakami grabił sklepy, wybijał okna, bił starców, kobiety i dzieci. Faldak był zły, ale bierność też jest zła. Nie jesteśmy gorsi od Polaków, możemy być silni, możemy bronić swoich domów.

Wrzały wszystkie miasta Królestwa, do młodzieży żydowskiej docierały idee syjonizmu, wiara w możliwość utworzenie własnej Ojczyzny Erec Israel. Kursowały pisemka i broszurki. W fabrykach pojawiały się ulotki PPS, zachęcające do strajków o godne płace. Radomskowscy Żydzi w zdecydowanej większości słuchali rebe Jezechiala, a ten wyraźnie określał syjonistów jako heretyków. A gdy żalono się, że za 12 godzin pracy w fabryce mebli nie dostawało się płacy wystarczającej na szabasowe przyjęcie, rebe wznosił tylko oczy ku niebu i zachęcał, by w dzień pracować, a w nocy czytać Talmud.

Do rebe Jezechiala przyjeżdżali po radę chasydzi z całego kraju; postawiono więc dla nich przy synagodze Bejt Midrasz (Dom nauki), w którym mogło się zmieścić kilkaset osób. W święto Purimowe 1905 r., w marcu, gdy tradycyjnym tupaniem i krzykami wyrażano nienawiść do wstrętnego ministra Hamana; po odczytaniu Księgi Estery na mównicę wdarł się Simcha Kalka, podniesionym głosem krzycząc: będę mówił w imieniu robotniczej i socjalistycznej partii syjonistycznej Paolej Syjon... Drzwi były zamknięte przez jego współników, a na ich straży stało dwóch towarzyszy z rewolwerami. Jeden stary Abraham Kleiner odważył się protestować wołając: idźcie do lasu wiecować, heretycy, nie beczcieście domu modlitwy.

I tak wrzenie ogólnokrajowe dotarło do chasydzkiego Radomska, rozlewając się

po ulicach, po rynku, po szkołach i fabrykach. Był strajk w Thonecie, kierowany przez komitet Paolej i Bundu, zakończony po miesiącu sukcesem. Kolejny strajk miał miejsce w wytwórni pończoch. Tu w komitecie obok mężczyzn były kobiety, w tym czarna Dworia, córka melameda Józefa Bera.

Dworia nie była jedyną dziewczyną zaangażowaną w ruch rewolucyjny. Była też Pinia Kalka, żona Simchy, Leitsze Waliński, żona Abrahama, „Długiej głowy”, sprzedawczyni Sławikówna, wnuczka melameda Joske, Cheisze-Sora Sweter, żona Mordechaja Zelig-Rozenblata, Fruma Miedwiedejowa i inne. Dziewczęta angażowano nie tylko do strajków w obronie praw robotniczych. Powierzano im wymagające odwagi zadania: przemycaly broń i broszurki z Częstochowy. Żandarmi nie odważyli się sprawdzać, co młoda dziewczyna ma pod spódnicą.... Dzięki przemycanej broni tworzone grupy bojowe. To dawało poczucie siły. Gdy partie uchwały, że rewolucja nie toleruje bandytyzmu, wydano wyrok na bandę Faldaka. Większość gangu wołała się wynieść z Radomska, kilku uczciwszych przyłączyło się do bojówek. Przydali się, bo bojowcy korzystali z ich doświadczenia, gdy zdobywali środki na rewolucję napadami na kasy i zbieraniem „podatku” od kupców.

Było tak w 1906 r., że jak się mąż z żoną pokłócili albo kupiec nie oddał długu kupcowi, to zamiast do rabina, szli pod osąd towarzyszy partyjnych. Wszyscy robotnicy fabryczni byli w związkach, łamistrajk brutalnie był przeganiany. Modlono się nadal w synagodze, ale życie publiczne przeniosło się na ulicę Strzałkowską. Tu był ciągły kiermasz „izmów”; dostawało się broszurki o syjonizmie, socjalizmie, anarchizmie, nacjonalizmie; czytano je, dyskutowano, kłóccono, godzono... Partie stały się hegemonem w życiu żydowskiej wspólnoty.

Wiosną 1906 r. Mosze Judke, uliczny sprzedawca, członek „Bundu”, zauważył na dworcu pięćdziesięcioosobową grupę Rosjan. Podszedł, zagadnął po rosyjsku, a że ze swoimi blond włosami wyglądał na Polaka, Rosjanie otwarcie mówili, po co przyjechali. Byli żołnierzami, Kozakami, dostali rozkaz zorganizowania w Radomsku „spontanicznego” pogromu. Ostrzeżeni przez Judkę rewolucjoniści zorganizowali wiec na Rynku. Kozaków okazało się za mało, pogrom ograniczył się do krótkotrwałej bijatyki na ul. Strzałkowskiej. Gdy tydzień później przybyła większa grupa Kozaków, na pomoc radomskowskim bojowcom przybyli PPS-owcy z Częstochowy wraz z uzbrojonymi w rewolwery rewolucjonistami z Huty na Rakowie. Poszła fama, że bojowcy dysponują nawet kulomiotem. Kozacy nie próbowali podejmować konfrontacji z uzbrojonym ludem.

Tak bunt młodych, porwanych ideami syjonizmu i socjalizmu, ocalił Radomsko przed pogromem.

W 1909 r. zmarł sławny cadyk, rebe Jezachiel ha-Kohen Rabinowicz. Na jego pogrzeb przybyło blisko 25 tysięcy chasydów z Królestwa i Galicji Zachodniej. Specjalne pociągi dowoziły ich z Łodzi i Częstochowy. Wielki pogrzeb żegnał stary świat, w którym z ust Wszystkowiedzącego Rebego spijano jak miód słowa Prawdy, w którym, gdy Rebe czytał Torę nikt nie ośmielił się nawet kasłać, a gdy Rebe zaczynał tańczyć, cały świat porwany został w wir ekstazy... Świętym punktem dla pielgrzymujących chasydów pozostał ohel (grób) radomskiej dynastii rabinów na cmentarzu przy ul. Przedborskiej. Zabrakło w nim tylko ostatniego z dynastii, Salomona Henocha Rabinowicza, syna Jezechiela, zamordowanego przez Niemców w Warszawie w strasznych dniach likwidacji getta.

Przeminęła pewna epoka, może zła, może dobra. Inne jest dziś Radomsko, tu nawet dusze chasydzkie nie wzlatują nad rynkiem. Zapomniane ślady polskim okiem próbujemy odszukać.

A było tak, w połowie XIX w. żył w Radomsku w domu przy ul. Krakowskiej pobożny Żyd Rafael Olejnik. Gdy skończył 105 lat (bo Bóg go obdarzył długimi latami życia), zdecydował się rozwieść ze swoją o dwa lata młodszą żoną. Powiadał, że go swat kaznodzieja Magid oszukał, miał się żenić z kimś innym. Żona go wzięła, zaprowadziła do kuchni i mówi: spójrz na te garnki, one są z mojego posagu, czarne od sadzy, służą nam 80 lat; przypatrz się im, przypomnij wszystkie z nich wieczerze i powiedz, czy ja nie byłam właściwą żoną...

Nie oszuka się czasu, byliśmy razem Żydzi i Polacy nie jedno, lecz wiele, stuleci. Dziś za późno by twierdzić, że ktoś nie był właściwym mężem czy żoną; że ktoś kogoś mógł wybrać innego, lepszego. Musimy być razem nadal, choćby po żywych tylko pamięć została. Za długo razem byliśmy, by z serca wyrwać stare obrazy.

Na podstawie opowieści zawartych w książce *Księga Pamięci o Żydowskiej Wspólnocie Radomska i okolic*, Nowy Jork 1967 r., w tym wspomnień: J. Poznańskiego, D. Krojze, L. Weimana, G. Badera, Y. Feinkinda, Z. Grinspana, D. Kana i innych.

Barbara Strzelbicka

SPEKTAKL DLA PRZYJACIELA



Stanisław Kulczyk, Arkadiusz Głogowski, bp Antoni Długosz, Emilia Krakowska, Marek Mokrowiecki, Andrzej Kalinin, foto: Barbara Strzelbicka.

Marek Perepeczko z Częstochową był związany w latach 1997 – 2005. Tak, był związany nie tylko z Teatrem im. Adama Mickiewicza, któremu dyktował przez sześć sezonów – był związany z całym miastem, zaprzyjaźnił się z nim za pośrednictwem jego mieszkańców. I właśnie ci przyjaciele, w których pamięci trwale się zapisał, przygotowali na 10 rocznicę Jego śmierci szczególny wspomnieniowy spektakl. Autorem scenariusza i reżyserem był dyrektor teatru Robert Dorosławski, a kanwą spektaklu stała się książka Andrzeja Kalinina Marek Perepeczko w Częstochowie. Wspomnienia przyjaciół.

Konwencję przedstawienia można by nazwać stolikową: przy ustawionych na scenie stołach siedzieli przyjaciele Marka Perepeczki

i dzielili się z widzami fragmentami swojej pamięci, w której zapisał się „Perep”. Wspominali Go także zaproszeni goście, początkowo siedzący na widowni, a potem zasilający zainscenizowany teatralny bufet – bo niewątpliwie do bufetu, w którym Perepeczko lubił przebywać, nawiązywał scenograficzny pomysł Stanisława Kulczyka. Dla Perepeczki bufet teatralny, jak domowa kuchnia, był miejscem szczególnym. Tu jadał, rozmawiał z ludźmi, wymieniał poglądy z Czesławą Czok, gospodynią miejsca, z którą był zaprzyjaźniony. Z relacji osób występujących w spektaklu wynikało, że był zaprzyjaźniony z wieloma osobami, nie tylko związanymi z teatrem – najwyraźniej miał taką potrzebę, taki stosunek do bliźnich i taki sposób na międzyludzkie relacje – przyjaźń. Dzięki temu, że nie było



Arkadiusz Głogowski, Marek Mokrowiecki, Andrzej Kalinin, foto: Barbara Strzelbicka.

w czasie spektaklu ścisłego podziału na scenę i widownię, wszyscy czuliśmy się jak grupa przyjaciół, wspominająca tego wspaniałego Człowieka. Przyczyniła się do tego również atmosfera prostoty i serdeczności – żeby nie powiedzieć: wyczuwalna obecność ducha Marka Perepeczki.

Wspominający wywodzili się z różnych grup, umownie nazwanych: Przyjaciółmi z miasta (Sabina Lonty, Krystyna Pietrzak, Teresa Kobic-Rabenda, Jadwiga Buksińska, Włodzimierz Mierzwa, Andrzej Kalinin), Przyjaciółmi z teatru (Teresa Dzielska, Marta Honzatko, Agnieszka Łopacka, Czesława Czok, Stanisław Kulczyk, Piotr Dłubak, Robert Dorosławski), goście specjálni (Emilia Krakowska, Piotr Machalica, Marek Mokrowiecki, Arkadiusz Głogowski, bp Antoni Długosz) i goszczący za pośrednictwem ekranu, bo spektakl został wzbogacony o fragmenty filmu dokumentalnego. Niektóre wspomnienia były bardzo osobiste, nostalgiczne i pobudzające do refleksji o tym, co w życiu ważne – a ważni są na pewno przyjaciele, co jasno wynikało z przesłania spektaklu. Perepeczko skupiał wokół siebie ludzi bardzo różnych, obdarzał ich swoją przyjaźnią, a oni się mu odwzajemniali. Ich przyjaźń przetrwała nawet śmierć.

Najbardziej malowniczą parę stanowili Emilia Krakowska i biskup Antoni Długosz. Nie znali się wcześniej, ale kiedy się już na scenie spotkali, stali się nierozłączni. Czyżby przyjaźń była zaraźliwa?.. Zapewne tak – zgodnie z porzekadłem: Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi.

Opowieści były suto okraszone anegdotami, bo Perepeczko był obdarzony wielkim poczuciem humoru, i przeplatane muzyką w wykonaniu Andrzeja Młodkowskiego, Michała Rorata, Krzysztofa Niedźwieckiego i Michała Walczaka. Ciąg dalszy przedstawienia odbywał się w foyer, nazwanego imieniem Marka Perepeczki, gdzie Andrzej Kalinin podpisywał swoją książkę. Tutaj była możliwość uzupełnienia wspomnień, powzdychania nad kruchością ludzkiego życia i zastanowienia się nad jego sensem. W dobie światów alternatywnych bardziej oczywiste wydaje się przeświadczenie, że człowiek żyje tak długo, jak długo trwa pamięć o nim. Pamiętajmy zatem o Marku Perepeczce...

Marek Perepeczko zmarł 17 listopada 2005 r. Koncert „Perep...” odbył się 10 grudnia 2015 r.

Ida Jadwiga Łubińska

POPLENEROWA WYSTAWA MALARSTWA „2015 PRAGA”

Na przełomie czerwca i lipca 2015 r. Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie zorganizował plener malarski w scenerii czeskiej Pragi i jej podmiejskich klimatów, dostarczając jego uczestnikom wielu artystycznych i estetycznych wrażeń. To m.in. utrwalone na płótnie zachwyty nad piękną, dobrze zachowaną architekturą stolicy Czech, nad średniowiecznymi zabytkami. To także odwiedziny Muzeum Alfonsa Muchy w Pradze, rejs statkiem po Węltawie, wieczorny spacer jej nabrzeżem czy wieczorna gra świateł na Hradczanach. Architektura Pragi jest taka kolorowa, taka inspirująca! – emocjonalnie komentowała podczas wernisażu swoje doznania jedna z malarek.

W lutym i marcu b.r. wystawę poplenerową zatytułowaną „2015 Praga” można było obejrzeć w Galerii Regionalnego Ośrodka Kultury przy ulicy Ogińskiego w Częstochowie. W kwietniu zmieniła miejsce ekspozycji na sale Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury w Ogrodzieńcu, a w maju wystawa znalazła swój finał w Fundacji Wspierania Aktywności Twórczej „Stara Szkoła” w Ryczowie.

W plenerze uczestniczyli instruktorzy, nauczyciele oraz plastycy w liczbie 14 osób, zaś jego celem była malarska interpretacja krajobrazu, poznanie historii i tradycji Czech, a także wymiana doświadczeń i integracja środowiska artystycznego naszego regionu.

Dodatkową atrakcją były wycieczki fakultatywne: do miasta Kutna Hora, zamku Karlstein, zamku w Nalahozeves, miasteczka Melnik i innych urokliwych zakątków w dolinie rzeki Węltawy, Łaby i Berounky.

Praga jest znakomicie skomunikowana (pociągi podmiejskie, metro, autobusy, tramwaje). Uczestnicy pleneru mieszkali w niewielkim hotelu w podmiejskich Czernoszycach. Budynek usytuowany jest naprzeciw dworca. Miało to swoje plusy. Dość szybko z tego miejsca można było się przemieścić do Pragi lub pobliskich, historycznie i krajobrazowo interesujących, miejsc. A całonocny bilet upoważniający do jazdy wszystkimi wymienionymi środkami komunikacji w atrakcyjnej cenie.

Na początku lipca w Czechach panował upał, który w połączeniu z suchym, górskim klimatem Pragi przywoływał skojarzenie z Madrytem i z jego letnią duchotą. Nie osłabiło to entuzjazmu dla indywidualnych podróży ani do rezygnacji z malowania. Te podróże, niezwykle krajobrazy, świetnie zachowana architektura Pragi, inspirowały uczestników i stwarzały dobry klimat dla twórczej pracy.

Na wystawie o nazwie „2015 – Praga” można było ocenić rezultat tych poczynąń. Przedstawione prace plastyczne prezentują różne style malarskie, techniki i różne spojrzenia na pejzaż.

Oryginalną interpretacją zwracają uwagę obrazy Małgorzaty Domańskiej, Krystyny Onysek, Barbary Szyk-Fonerko oraz Małgorzaty Chebel, która zastosowała własną technikę – złoty i srebrny relief naniesiony na namalowany pejzaż miejski. Dojrzałą, efektowną martwą naturę namalował Mirosław Rakowski, mimo że nie było w niej odniesień do praskiego pleneru.

A full-page background image showing an astronaut in an orange and white spacesuit sitting on a sandy, rocky surface under a hazy, orange sky. The astronaut is looking down at the ground.

MATT DAMON
MARSJANIN
Ridley Scott

Tomasz „Aztzenty” Barański

SENSACJA-REWELACJA, MIĘDZYPLANETARNA AKROBACJA! O FILMIE RIDLEYA SCOTTA „MARSJANIN”

Wszystkie moje „achy” i „ochy”, wszystkie moje „ę” i „ą” – jestem jak porażony! Mars! Czerwona Planeta – nasza przyszłość – a już w zasięgu ręki! Kto? Kto będzie tym szczęśliwcem i jako pierwszy postawi (ludzką) stopę na piaskach Marsa?

Ale o czym informuje nas ulotka reklamowa? „Marsjanin” to najnowszy film Ridleya Scotta, legendarnego twórcy „Gladiatora”, „Obcego – 8 pasażera «Nostromo»”, „Łowcy androidów”, „Prometeusza”, ekranizacja bestsellerowej powieści Andy’ego Weira. Straszliwa burza piaskowa sprawia, że marsjańska ekspedycja, w której skład wchodzi Mark Watney, musi ratować się ucieczką z Czerwonej Planety. Kiedy ciężko ranny Mark odzyskuje przytomność, stwierdza, że został na Marsie sam w zdewastowanym przez wicher obozie, z minimalnymi zapasami powietrza i żywności, bez łączności z Ziemią. Co gorsza, zarówno

pozostali członkowie ekspedycji, jak i sztab w Houston, uważają go za martwego, nikt więc nie zorganizuje wyprawy ratunkowej; zresztą nawet gdyby wyruszyli po niego natychmiast, dotarliby na Marsa długo po tym, jak zabraknie mu powietrza, wody i żywności. Czyżby to był koniec? Nic z tego. Mark rozpoczyna heroiczną walkę o przetrwanie, w której równie ważną rolę co wiedza, zdolności techniczne i pomysłowość, odgrywają niezłomna determinacja i umiejętność zachowania dystansu wobec siebie i świata, który nie zawsze gra fair... W roli „Marsjanina” nagrodzony Oscarem Matt Damon. Tyle ulotka.

Nie ma co taić, że w filmach science-fiction największe znaczenie mają efekty specjalne, a więc przysłowiowy odlot kosmiczny (już samo to wystarczyłoby, aby w zupełności się zachwycić) – tymczasem film ma swój bardzo ludzki wątek, a niektóre ujęcia przedstawiające

samego bohatera, jak i całą tę instalację – czyli bazę marsjańską – są bardzo profesjonalne i przemawiają do wyobraźni. Widz automatycznie wczuwa się w położenie rozbitka kosmicznego. Doskonały nastrój, który mimo grozy sytuacji powoduje, że odbiorca czuje się tak, jakby ktoś zafundował mu bez troski bajkowy weekend. Ktoś sam jeden na całej, obcej przecież planecie (przynajmniej na początku), za oknami (lukami) szalejąca burza, a tu nastrojowy spokój, niczym przy kominiku w Boże Narodzenie i do tego największe przeboje muzyki disco z lat siedemdziesiątych – co jeszcze bardziej podkreśla egzotyczność całego tego położenia. Perfidia twórców filmu przejawia się w kilku bardzo realistycznych sytuacjach z życia człowieka w obcym miejscu w ogóle, a na Marsie w szczególności. Jak pięknie zaaranżowano poletko, na którym w czerwonej marsjańskiej glebie wyrastają krzaki ziemniaków! Jest to bardzo ujmujące, szczególnie dla tych, którzy tymi zagadnieniami się interesują. Jeszcze kilka innych szczegółów, np. automatyczne zakładanie szwów na ranę albo poruszanie się łazików w scenerii marsjańskich gór, które tu na Marsie są o wiele wyższe i potężniejsze z uwagi na mniejszą grawitację, albo sytuacja, gdy bohater zalepia pęknięty hełm zwykłą taśmą klejącą.

Doskonale ukazana jest także cała sytuacja od strony psychologicznej – cóż, nie ma co kryć, że wymaga niezwykle hartu ducha (i to racjonowanie pożywienia), a potem kolejne etapy jej rozluźniania się – najpierw kontakt z Ziemią – a potem organizowanie pomocy i ciągle pojawiające się coraz to nowe przeszkody. Oczywiście, nie ma sensu opowiadanie całego filmu, chciałbym zwrócić tylko uwagę na efekty specjalne, dla których w kinie współczesnym nie ma już żadnych barier, np. ukazanie (jak na dłoni) statku kosmicznego w całej jego dwudziestopierwszowiecznej okazałości. Ważną niezwykle rzeczą jest tutaj trójwymiarowość, czyli tzw. 3D. (Film dostępny jest również w wersji

2D, ale tę będzie miał każdy, kto zakupi sobie film na płycie i go odtworzy – dlatego trzeba pójść do kina). Jeszcze do tej pory dudnią mi w uszach różne wybuchy w czasie seansu, które to uderzają jakoś tak od głowy i kończą się w nogach. Trzeba, trzeba wysupłać te 20 zł, aby zobaczyć, co człowiek potrafi osiągnąć technicznie albo co człowiek powinien umieć wytrzymać psychicznie, albo jak ma walczyć o swój byt. Jedyna krytyczna uwaga odnosi się do zakończenia, które choć brawurowe, było jednak stereotypowe.

Dziękuję mojemu miastu za piękny budynek Cinema City – położony w centrum miasta, cały oszklony szybami z zewnątrz czarnymi, a od wewnątrz przezroczystymi, przez które można podziwiać główne skrzyżowanie miasta i reprezentacyjne budynki. I jeszcze jedna sprawa – niby bez znaczenia, ale napiszę. Chodzi o spożywanie różnych pokarmów w czasie projekcji – cóż, czuję się jak sknera albo jak człowiek, który staje w poprzek całemu biznesowi rozrywkowemu... Otóż siedziałam za mną para zakochanych (chyba) i z tego, co wiem, to tylko on raczył się popcornem z jakiejś bardzo (niestety) szeleszczącej torebki, a później to ostentacyjnie chrupał. W chwilach ciszy na ekranie te odgłosy konsumpcji grzmiały bardziej donośniej niż prezentowana właśnie burza na Marsie. Nie wytrzymałem i odwróciłem się dość ostentacyjnie, mamrocząc coś o tym, że „nie da się wytrzymać” – no cóż (mówię o sobie) – chyba starość nie radość, w dodatku pani siedząca obok zareagowała na całą tę szopkę obezwładniającym mnie „bazyłem” przy wychodzeniu... – nieważne!

Widowisko było super. Trzeba się interesować odległym od nas o 225 mln km Marsem, gdyż to jest przyszłość (ludzkości?). Na koniec jeszcze jeden powód – wszystko wskazuje na to, że nasza przeszłość wzięła się z Marsa – a więc tym bardziej!

„Marsjanin” – reż. Ridley Scott, 2015r.

Krzysztof Muskalski

DYM, KTÓRY GRZMI

Wodospad Wiktorii



Mandzurscy władcy z dynastii Qing Mu schyłku swego blisko 300-letniego panowania, chcąc umocnić gospodarkę Chin weszli w konflikt zbrojny z Wielką Brytanią. Brytyjskie imperium kolonialne opierało swą potęgę na ekspansywnych Kompaniach Wschodnioindyjskich. W Chinach kupcy europejscy, głównie Brytyjczycy, kupowali w ogromnych ilościach jedwab, herbatę, ryż, porcelanę i wyroby rzemieślnicze. Jednak nie mogli za nie płacić innymi wyrobami czy produktami tylko żywą gotówką, czyli żywym srebrem. Nie do końca kalkulowało się to Brytyjczykom, zatem równoważyli ten bilans płatniczy dostarczaniem do Chin w dużych ilościach jednego z produktów upraw

roślinnych ze skolonizowanych przez siebie Indii. A produktem tym było... opium. Towar coraz bardziej pożądany w coraz większej ilości palarni opium w XIX-wiecznych Chinach. Z kolei to nie do końca kalkulowało się Cesarstwu Chińskiemu, bynajmniej nie ze względu na zdrowie rosnącej populacji Chin, ale ze względów czysto ekonomicznych. Tak więc cesarz Daoguang osobiście zlecił ówczesnej „brygadzie antynarkotykowej” pod przywództwem osobistego wysłannika Lin Zexu rozwiązanie tego problemu. Rozwiązanie było jednoznaczne i konkretne. Lin Zexu na czele swej „brygady antynarkotykowej” zablokował faktorie brytyjskie w Kantonie i zarekwirował ponad 20 000

skrzyń z opium. Następnie polecił zmieszać zawartości owych skrzyń z wapnem, solą i wodą, a następnie wrzucenie tej mieszanki do wód Morza Południowochińskiego. To zarekwirowanie, zmieszanie i wrzucenie trwające 22 dni stało się pretekstem do wysłania przez rząd jej królewskiej mości królowej Wiktorii karnej ekspedycji przeciwko Cesarstwu Chińskiemu, która w 1838 roku zapoczątkowała I wojnę opiumową, trwającą 3 lata. W jej wyniku Cesarstwo Chińskie poniosło sromotną klęskę, a Imperium Brytyjskie zajęło Kanton i poszerzyło swoje wpływy o kolejne miasta portowe, m.in. Szanghaj. Tak więc wojna opiumowa nie wyszła Chińczykom na dobre i pokrzyżowała im plany. Wojna ta pokrzyżowała również plany pewnemu brytyjskiemu młodzieńcowi, świeżo upieczonemu absolwentowi studiów medycznych na Uniwersytecie w Glasgow, niesienia pomocy medycznej ubogim Chińczykom w ramach działalności Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego.

A młodzieńcem tym był David Livingstone. Urodził się on 19 marca 1813 roku w ubogiej rodzinie kupieckiej w wiosce Blantyre nieopodal Glasgow. Rodzinie Livingstoneów tak jak większości rodzin w Blantyre nie przelewało się, w związku z tym większość dzieci nie miała długiego dzieciństwa. W jego trakcie trafiały one, zwykle w okolicach 10 roku życia, do pracy w miejscowej przędzalni. Trafiały na większą część dnia – od 6 rano do 8 wieczorem. Ale to nie był koniec ich codziennych obowiązków. Wiktorianańska Anglia kładła nacisk nie tylko na wytrwałą pracę swych poddanych, ale też na ich edukację. Zatem dzieci z wioski Blantyre po zakończonej pracy w przędzalni musiały uczęszczać do szkoły wieczorowej. Chyba słuszniej byłoby powiedzieć – nocnej. Tym bardziej, że większość dzieci zasypiała w swoich ławkach po ciężkim dniu pracy. Ale nie mały David. Wyniósł on ze swego rodzinnego domu pracowitość, wytrwałość, chęć poznawania nie tylko tego co ota-



Mieszkańcy Zambii

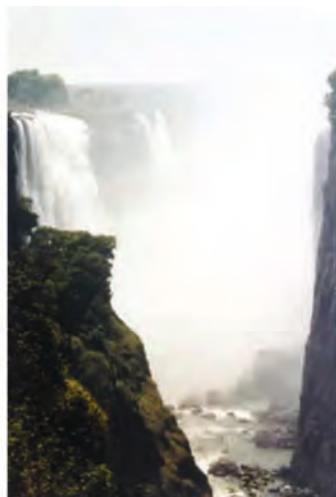
cza, ale też całego świata. Rozczytywał się w książkach podróżniczych. Swoje pierwsze podróże odbywał po okolicznych szkockich łąkach, wzgórzach i plażach zbierając tu do swych małych zbiorów okazy natury. Również jego życie duchowe było bardzo bogate, ugruntowując jego zaangażowaną postawę chrześcijanina już w młodym wieku. Zaangażowanie to zmaterializował w pracach nowootwartej placówki miejscowego stowarzyszenia misyjnego.

Jego pracowitość i zaangażowanie zostały docenione przyznaniem mu stypendium, które David Livingstone skrzętnie wykorzystał dla swojej edukacji. Ukończył na Uniwersytecie Glasgow nie tylko studia medyczne, ale również teologiczne wraz z greką. Napelniony wiedzą, zapalem do pracy i entuzjazmem eksploracji postanowił ruszyć w świat. W wieku 20 lat trafił w jego ręce artykuł niemieckiego misjonarza Karla Gützlaffa, urodzonego w Pyrzycach nieopodal Szczecina, opisującego swą pracę misyjną w Chinach. Gützlaff był niezwykle aktywny i efektywny w swej pracy misyjnej, nie tylko w Chinach ale także w Indochinach. W Tajlandii, w Bangkoku, założył pierwszą misję

protestancką, a także dokonał pierwszego tłumaczenia Biblii na język tajski. Również zaangażował się w opracowanie słownika angielsko-kambodżańskiego i angielsko-laotańskiego. Swoją działalność rozwinął w Chinach, gdzie był współautorem tłumaczenia Biblii na język chiński, szczególnie tłumaczenia tej części napisanej w języku jidysz. Swe działania misyjne prowadził głównie z Hong Kongu i Makao. Zaangażował się również w mediacje dyplomatyczne w trakcie wojny opiumowej. Jako jeden z pierwszych misjonarzy europejskich przywdział tradycyjny strój chiński. W uznaniu jego zasług jedną z ulic w Hong Kongu nazwano jego imieniem. Działalność i osiągnięcia Karla Gützlaffa rozbudziły wyobraźnię i entuzjazm Davida Livingstonea. W 1838 roku wstąpił do Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego z zamiarem wyjazdu na misję w Chinach, nie tylko jako misjonarz ale również jako lekarz. Niestety, wybuchła wspomniana I wojna opiumowa, która uniemożliwiła ambitnemu lekarzowi i misjonarzowi zbawianie ducha i ratowanie ciała chińskich współbraci. Swoją energię i siłę musiał zatem zwrócić w innym kierunku.



Dorzecze Zambezi



„Dym, który grzmi”



*„Most „Knife Edge” łączący
Zambię z Zimbabwe*

Los i opatrzność nie kazały mu długo czekać. W tym czasie zawitał do Londynu Robert Moffat, brytyjski misjonarz krzewiący wiarę chrześcijańską w zapadłych zakątkach Czarnego Łądu. Jego ośrodek misyjny był najdalej położonym ośrodkiem misyjnym w głębi Afryki – 800 kilometrów na północ od Kapsztadu. Moffat widząc w swoim rozmówcy świetny materiał na misjonarza, roztaczał przed nim zachwycające wizje piękna afrykańskiego łądu i wiosok, do których nie dotarła jeszcze Ewangelia. Była to iskra zapłonowa dla rozgrzanej głowy Livingstonea. Nie zwlekając, zwrócił się zatem do Londyńskiego Towarzystwa Misyjnego z prośbą o zmianę kierunku jego misji.

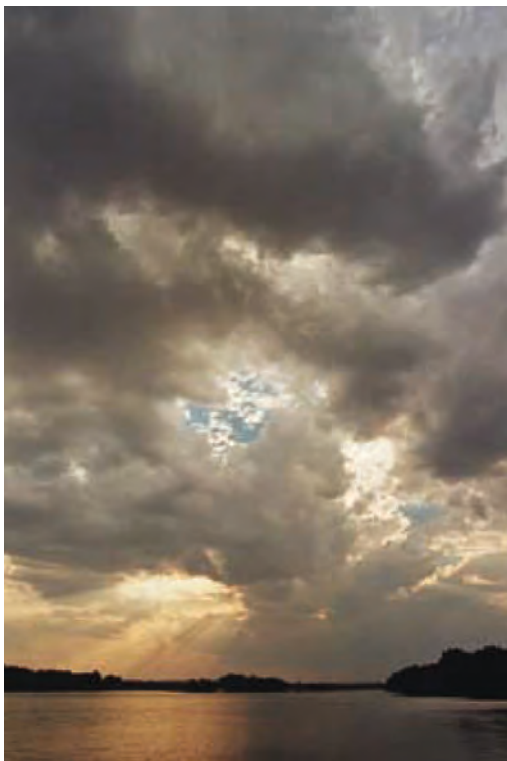
Nie chciał już czekać na rozwiązanie konfliktu brytyjsko-chińskiego i możliwość wyjazdu do Chin. Towarzystwo skwapliwie przystało, ku zadowoleniu Roberta Moffata, na propozycję młodego misjonarza. Tym samym już w 1840 roku David Livingstone postawił stopę na Czarnym Łądzie, podążając niezwłocznie do misji Moffata w Kuruman. Tutaj przez kilka miesięcy, w okolicznych wioskach, zapoznawał się z życiem tubylców, uczył się ich języka i starał się ich wspomagać w problemach zdrowotnych. Prowadząc działalność misyjną, krzewiąc wiarę, musiał zapuszczać się w coraz bardziej odległe zakątki Afryki. To zapewne rozbudziło jego zmysł eksploratora i odkrywcy. I zamiysł ten zdominował całe jego dalsze życie, które poświęcił Afryce.

Po usamodzielnieniu się na założonej przez siebie misji na północ od Kuruman, David Livingstone poślubił Mary, córkę pastora Moffata. Mary urodziła im sześcioro dzieci, z których jedno zmarło po urodzeniu. Nie zagrzała tu długo miejsca, bowiem ciągle niepokoje wywoływane potyczkami między Burami a tubylcami, powodowały poszukiwanie nowych miejsc pobytu, czego

efektem było założenie dwóch kolejnych stacji misyjnych. W trakcie penetracji nowych terenów Livingstone został zaatakowany przez lwa. Na szczęście uszedł z życiem, ale został ranny w ramię, które doskwierało mu już do końca życia. W 1849 roku wyruszył w swą pierwszą wielką wyprawę. Wraz ze swoim przyjacielem, sponsorem i myśliwym Williamem Cottonem Oswellem przemierzył pustynię Kalahari docierając do jeziora Ngami. W rok później na tę trasę, niewątpliwie wymagającą dobrej kondycji i niosącą wiele zagrożeń, zabrał... żonę z czwórką małych dzieci. Argumentował to tak: „Podróżowanie wozami jest czymś w rodzaju długotrwałego pikniku, wspianego dla zdrowia i znakomitego dla tych, którzy lubią przebywać na świeżym powietrzu.” W trakcie kolejnych wypraw, już bez rodziny, penetrował białe plamy na mapie Afryki w rejonie rzek Kwando i Zambezi. Dokładne opracowania terenów dorzecza tych rzek postawiły już wtedy Livingstonea w pierwszym szeregu odkrywców Afryki obok Węgry László Magyara i Portugalczyka Candido. Odkrycia i obserwacje te nie miały tylko wymiaru czysto geograficznego, ale też wymiar misyjny. Livingstone wytyczał rejony, w których będzie można zakładać kolejne stacje misyjne bez obawy na nękania Burów, traktujących Livingstonea i innych misjonarzy brytyjskich jako narzędzie ekspansywnej polityki kolonialnej jej królewskiej mości Wiktorii. Te kolejne wyprawy rozbudziły jego apetyt odkrywcy i jednocześnie uświadomiły mu w końcu, że nie jest to „coś w rodzaju długotrwałego pikniku...”. Tak więc odesłał żonę wraz z dziećmi do Anglii. Sam zaś, uwolniony od rodzinnych trosk, zabrał się do organizacji dużej wyprawy w głąb Czarnego Łądu. W czasie swojego pobytu w Afryce Livingstone sprzeciwiał się i walczył z handlem niewolnikami. Rozwiązanie tego problemu upatrywał w rozwinięciu handlu i wytyczeniu nowych, wodnych szlaków handlowych.

Temu też miała służyć jego kolejna wyprawa.

Było listopadowe popołudnie 18 dnia tegoż miesiąca 1855 roku. Livingstone wraz z towarzyszami podróży odpoczywał w obozie nad rzeką Zambezi. Przewodził ekspedycji zleconej mu przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne. Z typowo brytyjską flegmą i elegancją popijał sobie herbatę, gdy jego uwagę zwróciła wrzawa pośród tragarzy i tubylców z miejscowego plemienia Kololo. Tubylcy wskazywali na białego człowieka, czyli Livingstonea i wołali mosi-oa-tunya. Okazało się, że koniecznie chcą mu coś pokazać. Livingstone dopiwszy herbatę nieśpiesznie wsiadł do pirogi. Mini-flota tubylców popłynęła w dół Zambezi. Wkrótce Livingstone dojrzał nad równikową dżunglą słupy dymów. Sądził, jak to potem opisał, iż „unoszą się one nad pożarem rozległego pastwiska, co często widuje się w Afryce”. Tubylcy wyjaśnili Livingstonowi, że to jest właśnie mosi-oa-tunya, czyli „grzmiący dym”. Faktycznie, w miarę zbliżania słyszeli coraz większy huk. Livingstone doszedł do logicznego wniosku, że połączenie wielkiego hałasu z wielkim obłokiem mgły może świadczyć tylko o obecności w tej okolicy wielkiego wodospadu. I w ten sposób tubylcy z plemienia Kololo podzielili się swoim odkryciem z Davidem Livingstonem, który podzielił się swoim odkryciem z całym światem, zyskując sławę i splendor. W odróżnieniu do tubylców z plemienia Kololo, którzy sławy i splendoru nie zyskali. I aby odróżnić od siebie oba odkrycia nadał nową nazwę gigantycznemu wodospadowi. Oczywiście nie mogło być inaczej, aby poddany jej królewskiej mości mógł nadać imię tak wspaniałemu odkryciu inne niż imię miłośniczynie panującej królowej Wiktorii. Tak więc świat poznał jeden z największych wodospadów świata wodospad Mosi-oa-Tunya pod nazwą wodospadu Wiktorii.



Zachód słońca nad Zambezi

Wodospad Wiktorii powstał w wyniku ruchów sejsmicznych i wybuchów wulkanów sprzed około 200 milionów lat, kiedy to zarysowały się głębokie rozpadliny w bazaltowych skałach. Rozpadliny uległy erozji, powodowanej głównie przez nurty wodne, które wydrążyły głęboki kanion. Do niego właśnie toczy obecnie swe wody najdłuższa rzeka południa Afryki – Zambezi, tworząc niezwykle spektakl natury na granicy Zambii i Zimbabwe. Oba kraje spina ponad graniczną Zambezi wybudowany 1905 roku most „Knife Edge”. Ma on swój polski akcent. Otóż w 2003 roku na moście odbyła się jedna z konkurencji Mistrzostw Świata Strongmanów – przeciąganie pociągu. Konkurencję tą wygrał z miazdzącą przewagą nie kto inny tylko nasz „Pudzian” – Mariusz Pudzianowski. Wodospad Wiktorii liczący sobie 1670 m szerokości jest dużo szerszy niż niemniej słynny wodospad Niagara liczący sobie 998 m szerokości, ale i tak



*Autor u stóp pomnika Davida Livingstonea
w Parku Narodowym Mosi-oa-Tunya,
Zimbabwe*

dużo węższy od mało słynnego wodospadu Khome w Laosie liczącego sobie 10800 m szerokości. Jeśli chodzi o wysokość, wodospad Wiktorii liczący sobie 108 metrów znów wygrywa z równie słynną Niagarą liczącą sobie 58 metrów, ale oba wodospady przegrywają z mniej słynnym wodospadem Salto Angel w Wenezueli liczącym sobie 850 metrów wysokości. Również wodospad Wiktorii wygrywa konkurencję masy spadającej wody wynikiem 550 mln l/min z Niagarą, w której spada „tylko” 408 mln l/min. Ale i tu oba wodospady przegrywają z wodospadem Iguazú na granicy Brazylii i Argentyny, przez który przelewa się aż 12750 m³/s. Nad wodospadem Wiktorii unoszą się masy pyłu wodnego z przelewających się w każdej sekundzie 9 milionów litrów wody. Pył ten tworzy swego rodzaju

kolumny „dymu” sięgające chmur. Niekiedy można dostrzec na nich niespotykane gdzie indziej niezwykle tęcze – białe tęcze w ciągu dnia, czerwone tęcze wieczorem i tęcze księżycowe w czasie pełni księżyca. Nieopodal progu skalnego, z którego staczają się masy wody rzeki Zambezi do bazaltowego kanionu, znajduje się „diabelski basen” – bodaj najbardziej przerażający basen świata. Jest to naturalnie uformowana niecka skalna tuż przy krawędzi wodospadu, z której śmiałkowicie mogą względnie bezpiecznie w porze suchej, przy niskim stanie wód, pływać się i zaglądać w gardziel wodospadu. Względnie bezpiecznie, aczkolwiek zdarzyło się tu kilka śmiertelnych wypadków.

David Livingstone nie poprzestał na odkryciu odkrytego przez plemię Kololo wodospadu. Postawił przed sobą jeszcze ambitniejszy cel, mianowicie odkrycie źródeł Nilu. Jednak póki co w roku 1858 rząd brytyjski i Królewskie Towarzystwo Geograficzne zleciło mu, finansując jednocześnie, wyprawę mającą na celu wytyczenie drogi wodnej rzeką Zambezi. W skład wyprawy oprócz Livingstonea, przewodników i tragarzy weszła także jego żona Mary, która powróciła z Anglii, brat Charles oraz sześciu współtowarzyszy podróży. Całe to towarzystwo czekało sześć lat frustracji wywołanych brakiem porozumienia i współpracy oraz nękaniem chorobami. W trzecim roku wyprawy zmarła na malarię żona Livingstonea. Mimo długich okresów rozłąki – przez 18 lat małżeństwa razem byli niespełna 9 lat – Livingstone bardzo przeżył śmierć żony. Prowadząc wyprawy z Afrykańczykami nie miał problemów z dogadywaniem się i podejmowaniem decyzji. Mając za kompanów Brytyjczyków, dochodziło wielokrotnie do scysji i nieporozumień. Livingstone nie zwykł konsultować z nikim swoich decyzji. Mimo wszystko ekspedycja odniosła sukces, dostarczając światu wielu ważnych

danych geograficznych. Po tej wyprawie Livingstone powrócił do Wielkiej Brytanii w chwale i sławie. Mógł wreszcie poświęcić więcej czasu swoim dzieciom. Nie na długo – zew Afryki wzywał go i Livingstone po roku powrócił na Czarny Ląd.

Tym razem Królewskie Towarzystwo Geograficzne postawiło przed nim zadanie, będące jego marzeniem – dotrzeć do źródeł Nilu. W Afryce rozkwitał handel niewolnikami, któremu Livingstone był przeciwny. Po części jego odkrycia otwierały nowe szlaki dla tego handlu. Livingstone, postrzegany jako potencjalny handlarz niewolników coraz częściej spotykał się z wrogością ze strony tubylców. Do tego dochodziła coraz słabsza kondycja wywołana dawną raną odniesioną w starciu z lwem, atakami malarii, dyzenterią, hemoroidami. W końcu część ludzi opuściła go zabierając zapasy żywności i lekarstw. Aby uchronić się przed odpowiedzialnością skłamali, że Livingstone zmarł. Jednak Brytyjczycy nie mając pewnych dowodów nie wierzyli w te informacje. Ekspedycja ratunkowa uzyskała jedynie informację, że Livingstone żyje, tylko nie wiadomo gdzie. I wtedy do akcji wkroczyła w iście amerykańskim stylu redakcja gazety „New York Herald”. Węsząc sensację i potencjalne profity z niej wynikające zleciła swemu dziennikarzowi Henry’emu Stanley’owi zorganizowanie wyprawy do Afryki i odnalezienia słynnego Livingstona „bez względu na koszty”. 10 listopada 1871 roku wyprawa Stanley’a dotarła do Ujiji w okolicach jeziora Tanganika, gdzie schronił się wyniszczony przez choroby Livingstone. I wtedy nastąpiła słynna scena, ukazująca absurdalność sytuacji, gdy w afrykańskiej głuszy, gdzie w promieniu setek kilometrów nie ma białego człowieka, zamiast rzucić się wzajemnie w objęcia, panowie zachowują dystans i angielską flegmę. Tak to opisuje Stanley: „Podbiegłem w jego stronę, lecz ogarnął mnie strach; ob-

jałbym go lecz był Anglikiem i nie wiedziałem jak mnie potraktuje; dlatego zrobiłem to, co podpowiadały mi strach i fałszywa duma: podszedłem do niego spokojnie, zdjąłem kapelusz i zagadnąłem: Doktor Livingstone, jak sądzę? Taaak – odpowiedział z przyjemnym uśmiechem”. I po tym miłym powitaniu panowie zaprzyjaźnili się. Stanley przywiózł Livingstonowi żywność, lekarstwa i listy od rodziny. Namawiał go do powrotu do domu. Livingstone odmówił. Kontynuował, po części już na noszach, swoją misję odkrycia źródeł Nilu. Niestety jej nie dokonał. Dokonał zaś swego żywota – 1 maja 1873 roku, w tubylczej chacie w pozycji klęczącej w trakcie modlitwy. Jego serce pochowano u stóp pobliskiego drzewa, a zabalsamowane ciało przeniesiono przez pół Afryki przez 2500 km, w ciągu dziewięciu miesięcy marszu, a następnie przewieziono drogą morską do Anglii, gdzie pochowano je w Opactwie Westminsterkim.

Tak więc chińsko-brytyjska wojna o opium przyczyniła się do wielu odkryć w sercu Afryki, których symbolem stało się odkrycie „dymu, który grzmi”. Tylko czy rzeczywiście potrzebna była temu wojna...

*Tekst i fotografie©
dr n. med. Krzysztof Muskalski
k.muskalski@hipokrates.org*

Artykuł ukazał się w Częstochowskiej
Gazecie Lekarskiej nr 2 (63) 2015 r.

NOTY O KSIĄŻKACH

Marcin Zegadło
Hermann Brunner i jego rzeźnia



FORMA
21

Marcin Zegadło, *Hermann Brunner i jego rzeźnia*, Wydawnictwo Forma, Szczecin 2015. „Marcin Zegadło napisał książkę, która na długo zapada w pamięć, nie daje spokoju i szaleńczo biegnie przez jawę i sen. Hermann Brunner i jego rzeźnia to opowieść o pamięci, o pobycie na ziemi, końcu pewnych wędrówek i rozpoczynaniu nowych, przedzieraniu się przez doświadczenia języka i poszukiwaniu śladów tych, których już nie ma. Niezwykłe i gęste obrazy metaforyczne przemawiają do nas z gwałtowną ekspresją, by dawać świadectwa utraty i przechodzenia z dzieciństwa do cierpkiego czasu okaleczeń (w) tak zwanej dorosłości, to zapisy gorzkiej świadomości przemijania, kruchości, śmierci, samotności, głodu, lęku, zapadania w niepamięć. Tom Marcina Zegadły to przejmująca opowieść o dolach i niedolach wygnania, wędrówce przez ziemię bólu, ale także o szukaniu w świecie ratunku. W jednym z liryków autor spokojnie notuje: „ten sezon kończy szum latawców”. Ten sezon, proszę Państwa, należy do tych wierszy”. *Paweł Tański*

Małgorzata Januszewska,

Slajdy z kucykami,

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza,
Warszawa 2015.

Debiutancki tomik zdobywczyni I nagrody w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Haliny Poświatowskiej w 2015 r. Książka zawiera 29 wierszy, fotografie z prywatnych zbiorów Autorki oraz oryginalne drzewo genealogiczne. Z noty wydawniczej: „Ta książka to próba ujęcia spójnym ramieniem skrawków – odcisniętych niczym pieczęć – w szufladach pamięci, pełnej zmysłów. Przytulenie ich, mimo rosnącej odległości i upływu czasu. Dla zrozumienia nie tylko własnej, podlaskiej genezy”.

MAŁGORZATA JANUSZEWSKA

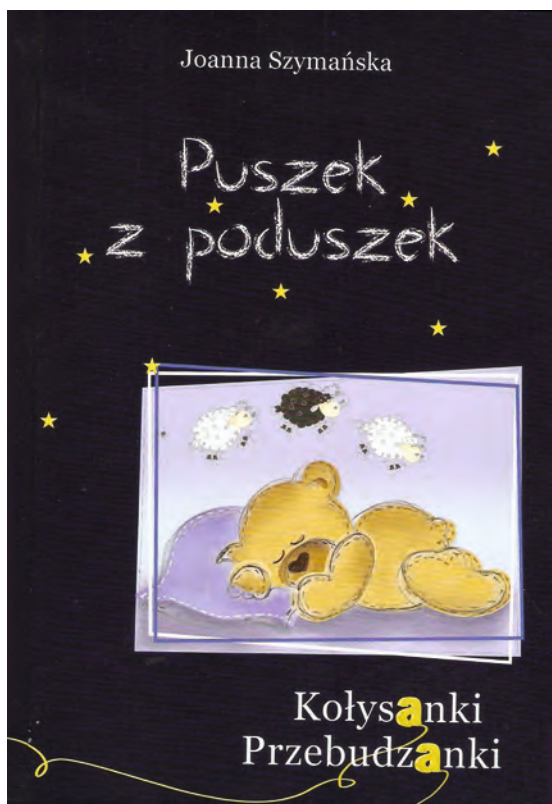


Joanna Szymańska,

Puszek z poduszek. Kolysanki.,

Przebudzanki, Częstochowa 2015.

Z posłowie Danuty Teper: „Tajemnica uroku tych wierszy tkwi w ich oddziaływaniu na odbiorcę, które odbywa się poprzez sztukę słowa. Głównym adresatem jest dziecko, stąd właściwa dla dziecięcych wierszy obfitość poetyckich szczegółów, ogromna metaforyzacja pejzażu, różnorodność zastosowanych środków stylistycznych. Poetka, posługując się semantyką kolorystyczną, odnawia związki poezji z malarstwem, doznaniem wizualnymi i zapachowymi, dzięki czemu pozwala odbiorcy na radosne doznania piękna i barw oraz jego intymną więź z naturą”.



Joanna Szymańska, *Pod skrzydłami świątecznych aniołów, Częstochowa 2015.*

Ze wstępu Małgorzaty Franc:” Joanna Szymańska przybliży czytelnikom niezwykłą tajemnicę, która towarzyszy nam od ponad dwóch tysięcy lat. Autorka w swoich kolędach i pastorałkach robi to pięknymi, prostymi słowami, które pozwalają nam zobaczyć i zrozumieć misterium przyjścia Boga i jednocześnie człowieka na nasz niedoskonały, zimny i często obojętny świat, w którym, jak się wydaje, jest coraz mniej czasu i miejsca na przeżywanie, odczuwanie i zawierzanie miłości, która stanowi sens życia”.



Agnieszka Złota, *Częstochowskie szkice literackie 2014-2015*, Częstochowa 2015.

Książka zawiera dziewięć tekstów krytycznoliterackich, rozmowę z Autorką oraz notę informującą o jej dorobku: poetyckim (3 tomy), krytycznoliterackim, redakcyjnym i naukowym. Tytułowy epitet „częstochowski” jest uzasadniony – szkice dotyczą twórców związanych z Częstochową. Tym razem A. Złota poświęciła swoją uwagę utworom Moniki Buli, Andrzeja Kalinina, Henryka Bardijewskiego, Urszuli Siemińskiej, Arkadiusza Frani, Janusza Mielczarka, Joanny Szymańskiej, Mariana Panka i Barbary Strzelbickiej. Książka pięknie wydana – również dzięki wkładowi pracy Autorki.

Częstochowa w czasie II wojny światowej.

Materiały z konferencji naukowej. 8 maja 2015 roku, Sala Sesyjna Rady Miasta Częstochowy, red. R. Stefaniak, R. Piotrowski, Częstochowa 2015.

„Publikacja będąca zbiorem materiałów pokonferencyjnych, powstałych w ramach projektu edukacyjnego: Ojczyzna to ziemia i groby – częstochowianie w czasie II wojny światowej może być doskonałym uzupełnieniem wcześniejszych prac naukowych i popularnonaukowych, usytuowanych w przestrzeni XX-wiecznej historii Polski. Jest ona adresowana w równej mierze do środowiska naukowego, nauczycieli, młodzieży szkolnej oraz wszystkich, dla których historia Częstochowy i regionu stanowi wartość nadrzędną” – ze wstępu autorstwa R. Stefaniaka i R. Piotrowskiego.





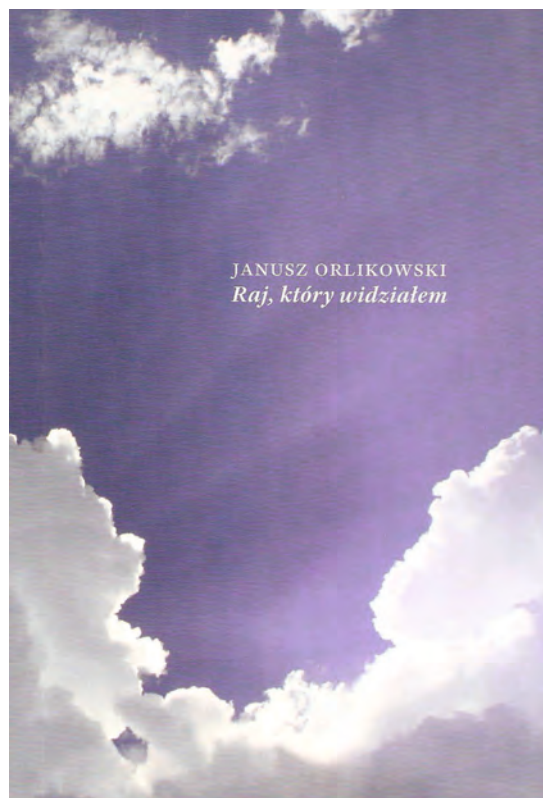
Marek Perepeczko w Częstochowie. Wspomnienia Przyjaciół. Wystuchał i zrelacjonował Andrzej Kalinin, Wydawnictwo Literackie „LiTWA”, Częstochowa 2015.

„Ta wielka wzajemność uczuć okazała się być czymś zupełnie niespotykanym w dotychczasowych dziejach naszego miasta. Bo Marek Perepeczko to żaden przecież krajan. W dodatku żył tu krótko, króciutko, bo zaledwie osiem lat” – napisał w przedmowie Andrzej Kalinin. „Więc skąd dla niego taka wielka atencja, że wystawiono mu pomnik, dokładniej – ławeczkę w centrum miasta, że Jego imieniem nazwano foyer w częstochowskim teatrze, że wciąż się o nim pamięta?” Książkę ufundowali przyjaciele – spora grupka ludzi, z którymi Marek Perepeczko spotykał się, których odwiedzał, którym zwierzał się. Pokochał go za prostolinijność, za serdeczność, za dobroć. Andrzej Kalinin zebrał ich wspomnienia w jedną spójną całość. Kiedy trzeba, jest chronologia, kiedy indziej wesołe dykteryjki, czasem powieje smutkiem, tęsknimy razem z nimi. To wielowątkowa historia o niezwykłym człowieku: sławnym aktorze, kreatywnym dyrektorsze teatru, o przyjacielu, na którego można liczyć, intelektualście, o dobrym człowieku. Przebywał w świetle ramp, w atmosferze uwielbienia, przyjmował słowa uznania, a doskwierały mu samotność i smutek.

Był duży i silny i jednocześnie kruchy i delikatny, zagubiony w rutynie codzienności.

Jaki był naprawdę? Zapewne nigdy nie dowiemy się. Publikacja przybliży nam Jego postać. A książka wciąga, czyta się ją jednym tchem. Treść wzbogacona jest prywatnymi zdjęciami autorów wspomnień. Przy okazji poznajemy kulisy częstochowskiego teatru i nie tylko.

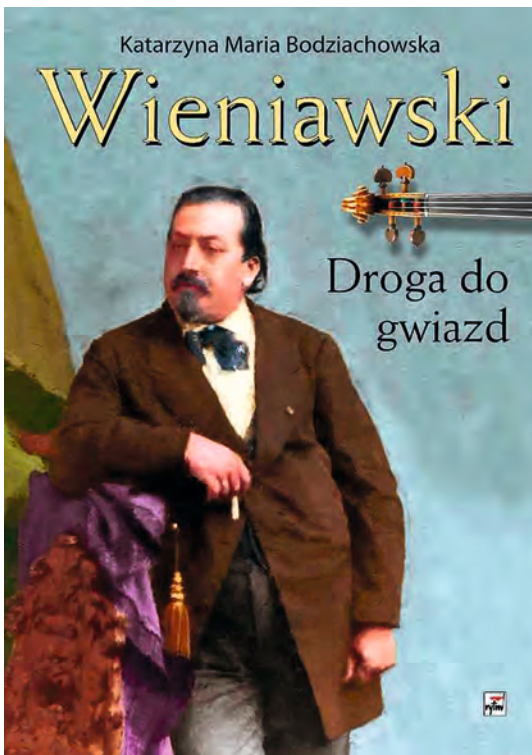
[oprac. I. J. Ł]



Janusz Orlikowski, *Raj, który widziałem*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2016. Jedenasty tomik poetycki poety, eseisty i krytyka literackiego. Przedmiotem refleksji są niełatwe uczucia, związane z przemijaniem, z miejscem poety w świecie i jego rolą w życiu. Teksty posiadają szeroki kontekst kulturowy, w tym zwłaszcza literacki. Tomik zawiera również wiersze, dedykowane osobom bliskim, poświęcone codziennemu życiu, rodzimemu krajobrazowi i pochvale zwykłego życia.

Cezary Jan Lis, *Kapitan Paweł. Czesław Kubik – 1910-1952. Przemilczany i zapomniany dowódca partyzancki*. Ahaus 2015.

Książkę można poprzedzić znanym zdaniem Józefa Mackiewicza „jedynie prawda jest ciekawa”. Utkana z faktów opowieść wymyka się prostym schematom, nie mieści się w ramach opisanych mitami o najnowszej historii. Odnajdziemy w niej dramat człowieka, odważnego partyzanta GL i AL, który był represjonowany i zniszczony po wojnie przez „swoich”. Autor – zamieszkały w Niemczech – Cezary J. Lis, znany jest miłośnikom historii regionalnej także z poprzedniej książki o zbrodni wojennej w Przyrowie.



Katarzyna Maria Bodziachowska, *Wieniawski. Droga do gwiazd*, Oficyna wydawnicza RYTM, Warszawa 2015.

Akcja powieści trwa zaledwie 10 dni i są to ostatnie dni życia wielkiego polskiego skrzypka. Jednak jest to także podróż w przeszłość, bowiem artysta snuje wspomnienia o swoim życiu, o jego blaskach i cieniach, o drodze do sławy i o cenie, jaką się za nią płaci. Życie wirtuoza ukazane jest wieloaspektowo, bo także z perspektywy członków rodziny i przyjaciół. Wspomnienia są pretekstem do refleksji nie tylko o życiu, ale także o sztuce i jej znaczeniu. To czwarta powieść Autorki.

Jan Nitka

O OBROTACH

W dyskusji narzuconej światu przez nieopanowaną dążność Kopernika do prawdy więcej argumentów z obserwacji i logiki mieli początkowo jego adwersarze. Oczywiście fakty przeczyły systemowi heliocentrycznemu (albowiem cała teoria Kopernika polega na nieporozumieniu – co prawda świat nie kręci się wokół ziemi, ale też nie kręci się wokół słońca, a w końcu okazało się, że nie tylko się kręci, ale i rozdyma), choć jeszcze bardziej oczywiste przeczyły wywodom Ptolemeusza. Miał zatem po części rację pierwszy wydawca dzieła Kopernika pisząc, że to tylko nowa metoda obliczania ruchów. *De Revolutionibus*, w zamysłu autora, nie było tak rewolucyjne, jak się powszechnie uważa – przywracało obliczeniom ufność umiarkowanym kosztem. Współcześnie nie jest trudne zbudowanie modelu heliocentrycznego metodą ptolemejską. Choćby dla takiego sobie popisu.

Przewrót kopernikański prawdopodobnie dalece przerósł zamiary astronoma z Fromborka, gdyż, jak się okazało, polegał on na czym innym, niż „wstrzymanie słońca i ruszenie ziemi”. Dziś wiemy, że oznaczał radykalne, definitywne i bolesne zerwanie z antykiem. Antykiem, który nie rozumiał ruchu, zasklepiiony w statyczności, w apollińskiej duszy, dla której istniało tylko tu i teraz. Współcześnie przedstawia się ów przewrót jako rodzaj herezji skierowanej przeciw Kościołowi Katolickiemu, jego nauczaniu i jego papieżowi. Służyć ma temu nie tyle biografia Kopernika i losy dzieła za życia jego autora, ale nieszczęsny los Giordana Bruna, mniej nieszczęsny Galileusza i fakt długiego przebywania dzieła toruńskiego kanonika na indeksie ksiąg zakazanych. Biografia Kopernika nie nadaje się do takich celów, bo uczony

był mocno związany z Kościołem, a zamiar wydania dzieła nie przysporzył mu kłopotów w warmińskiej kurii.

Związek Giordana Bruna z teorią Kopernika jest niewielki, a ohydny rytuał na Campo di Fiori nie wziął się z miłości byłego mnicha do teorii heliocentrycznej (pod względem wyobraźni przewyższał najwyraźniej Kopernika), ale ze sformułowanych przez niego ciężkich zarzutów pod adresem Kościoła, które uznano za herezję. Co zaś się tyczy Galileusza, pozwolę sobie przytoczyć opinię jednego z moich ulubionych filozofów – Paula K. Feyerabenda: „Proces Galileusza był jednym z procesów sądowych. Nie wyróżniał się żadnymi szczególnymi właściwościami, być może z wyjątkiem tego, że Galileusza potraktowano dość łagodnie, pomimo kłamstw i prób oszustwa z jego strony. Jednak nieliczna koteria intelektualistów, wspomagana przez złaknionych skandalu pisarzy, zdołała nadać sprawie tak potężny rozgłos, że to, co w gruncie rzeczy było sprzeczka między ekspertem a instytucją broniącą szerszego poglądu na świat, jawi się obecnie niemal jak bój pomiędzy mocami światłości i ciemności. Jest to podejście dziecinne i bardzo krzywdzące w stosunku do innych ofiar XVII-wiecznego wymiaru sprawiedliwości” (Paul K. Feyerabend *Przeciw metodzie* w przekładzie Stefana Wiertelewskiego). Austriacki filozof sprzeciwiał się rehabilitacji Galileusza, gdyż jak stwierdził – w świetle ówczesnej wiedzy, to Galileusz się mylił.

Co się tyczy wpisania *O obrotach* do indeksu ksiąg zakazanych, nastąpiło to w 70. lat po śmierci Kopernika i wynikało ze wspomnianego procesu Galileusza, a skreślono je z indeksu w 1757 r., czyli wychodzi niecałe 150 lat na indeksie – nieźle. Przy okazji warto wspomnieć o reakcji reformatorów spod znaku Lutra – wyśmiewanie, lekceważenie, łajanie – tak można w skrócie opisać zapamiętania protestantów na dzieło Kopernika.

To, co było rewolucyjne w myśli Kopernika, zawiera się w tytule jego dzieła: *De Revolutionibus – O obrotach*, świat Ptolemeusza był statyczny, a ruch tu był ruchem mechanizmu zegara z jego trybami – epicyklami, centralnym mechanizmem – ziemią i wahadłem – gwiazdami stałymi. Świat Kopernika stracił majestatyczną statyczność, zaczął wirować w zapierającym dech oszołomieniu. Tak rozpoczynała się nowoczesność. Kopernik przygotował grunt pod to, co najlepiej charakteryzuje współczesność – oswojenie się z nieskończonością, z dynamiką, rachunkiem różniczkowym i łukami katedr skierowanymi

ku bezkresnemu niebu. Posługując się obrazowym językiem Oswalda Spenglera możemy rzec, że wraz z Kopernikiem przemija dusza dionizyjska, będąca uosobieniem antyku, wyparta przez duszę apollińską symbolizującą nowoczesność.

Tak bywa, że dzieło w sensie *stricte* naukowym nieefektywne, raczej wtórne i po prawdzie nieskończenie nudne, z powodów pozanaukowych, ideowych i filozoficznych okazuje się przełomowe i odtąd uosabia to, co z takim pędem do przesady, nazywamy – postępem.

W marcu 2016 r.



Wojciech Ćwiertniewicz. *Bez tytułu (162)*, 2013, 65x81, akryl na płótnie.

Copyright © TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA

Redakcja:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Jarosław Kapsa (zastępca redaktora naczelnego), Bogdan Knop (redaktor naczelnny), Ida Jadwiga Łubińska, Magdalena Syguda (oprawa fotograficzna).

Stali współpracownicy:

Małgorzata Franc, Izabela Kołdej-Ptak, Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Alicja Nowak, Elżbieta Gola, Janusz Mielczarek, Aleksandra Keller, Jacek Gierasiński, Marian Panek, Agnieszka Złota, Andrzej Kalinin, Maciej Skalik, Rafał Socha, Wiesława Owczarek.

Projekt graficzny okładki:

Marta Konieczny

Skład:

J.M. Krasucki, Jarosław Leszczuk (redaktorzy techniczni)

Druk:



Drukarnia Usługowa „Gryf”

ul. Garibaldiiego 14 a

42-200 Częstochowa

www.gryf.czyst.pl

Printed in Poland.

Wydawca:



Towarzystwo Galeria Literacka

ul. Metlera 4

42-224 Częstochowa

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

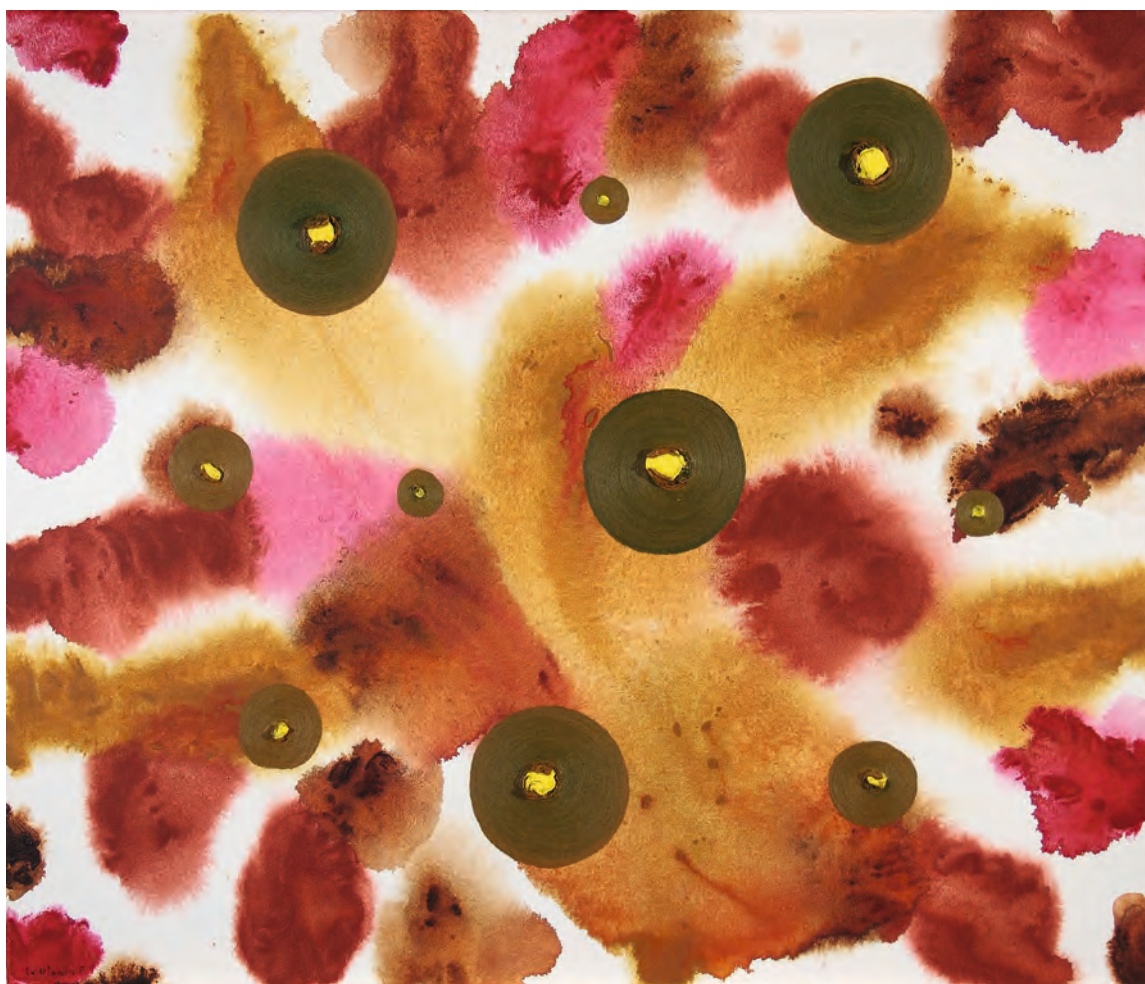
Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168

Nr rachunku: BOŚ Bank S.A. 40 1540 1014 2101 8518 7364 0001

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

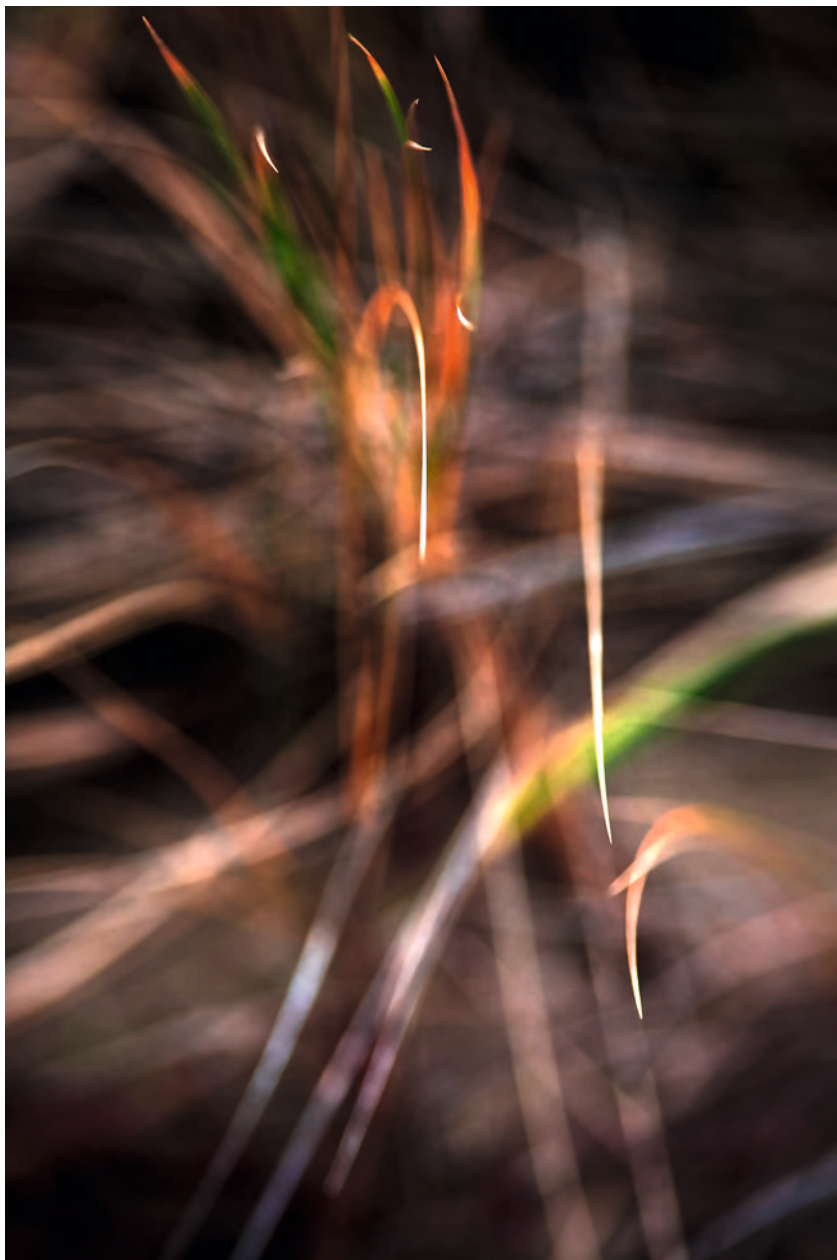
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Wojciech Ćwiartniewicz – Bez tytułu (268), 2013, 50x60, olej i akryl na płótnie.

FOTOgaleria



Andrzej Zembik – fotografik. Niedawno urodzony i jeszcze żyjący. Stawiający pytania i niezadowolony z treści udzielanych sobie odpowiedzi. Ciekawy świata i tego, co człowiek z nim i samym sobą czyni. Osobnik człowieczego kształtu, lecz ciągle jeszcze pozostający w nieustalonej formie istnienia.